

JAROSŁAW KLONOWSKI

# MIRIAM



img

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jarosław Klonowski

# MIRIAM

---

Wydawnictwo MG

# Prolog

## Inowrocław

Rynny zwieńczone kamiennymi rzygaczami obrzucały ulicę miasta strugami wody. Buty Bartłomieja Nieciszewskiego mlaskały w błocie, rozpryskiwały wodę kałuż. Mężczyzna minął masywną, schodkową fasadę kościoła Świętego Mikołaja, gdzie spędził ostatnie osiem godzin. Obrzucił pośpiesznym spojrzeniem szczyt fasady i pokręcił głową. Wpatrując się w blendy<sup>1</sup> zdobiące kościół, widział wytrzeszczone ze strachu oczy młodej inowrocławskiej mieszczki, którą tego dnia osądził. Oskarżona o utopienie trójki swoich noworodków, którego to koszmarnego czynu dopuściła się w ciągu ośmiu lat, kobieta do końca procesu sprawiała wrażenie niewinnej. Tylko że one wszystkie wydają się niewinne, pomyślał Nieciszewski.

Lało jak z cebra. Zdecydowanym więc krokiem ruszył ulicą. Wiedział, że deszczu nie ominie, a do domu dostać się musi. Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że Inowrocław po zmroku nie należał do miejsc ani bezpiecznych, ani przyjemnych. Jako podsędek, pan Bartłomiej najlepiej to wiedział. Od czasu gdy objął urząd, jego udziałem stało się sędzenie najgorszych możliwych przewinień, jak gwałty, rozboje i morderstwa. Do większości przestępstw dochodziło po zmroku, zupełnie jakby pobożnych mieszczan chwycił o tej porze w garść diabeł we własnej osobie, zmuszając ich do czynienia rzeczy potwornych, przeczących chrześcijańskim prawom. Tylko niewielki odsetek sądzonych stanowili tak zwani luzacy czy pospolici włóczędzy. Najczęściej przestępstw dopuszczała się czeladź. Fakty, choć przerażające, niezbitnie na to wskazywały.

Miał nadzieję, że przynajmniej pogoda powstrzyma wszystkie szuje i morderców od uczynienia krzywdy Bogu winnemu sędziemu.

Mężczyzna obrzucił szorstkim spojrzeniem zimno niebieskich oczu zrytą koleinami ulicę i potarł wierzchem dłoni pokryty żyłkami, zakrzywiony nos. Jarmark przyciągnął do Inowrocławia mnóstwo szumowin. Jakby mało ich było w mieście. Bartłomiej nie miał ochoty na spotkanie z jakimś szukającym łatwego zarobku przyjezdnym zabijaką, któremu nic nie mówiło nazwisko sędziego. Z drugiej strony reputacja nie zawsze stanowiła ochronę. Powinien zabierać kogoś ze sobą na podobne przechadzki. Niejeden zbir tylko czekał na możliwość wzięcia odwetu na podsędku za ten czy inny wyrok. Ostatni raz, obiecał sobie w duchu.

Wkoło zaległy ciemności. Ulica tonęła w błocie, a spadziste dachy i drewniane okiennice ożywały stukotem kropel. Poczul ukłucie strachu. Starzeję się, pomyślał. Kiedyś miał więcej odwagi. No, ale był wtedy młodszy, postawniejszy i sprawniejszy. Zaokrąglony brzuch i coraz bardziej zgarbioną sylwetkę udawało się sędziemu ukryć pod fałdzistym houpellandem<sup>2</sup>. Gorzej, gdy ktoś zauważył drżenie rąk czy

inne objawy coraz częściej nacierających sędziego ataków paniki. Sucha, pokryta plamami wątrobowymi przebarwiona skóra, która dawno straciła swój naturalny, różowy odcień, kontrastowała z czerwienią powłóczystych szat.

Za dużo się w życiu napatrzył. I oto efekt. Stargane nerwy i koszmary.

Nawet po zachodzie słońca w mieście trwał ruch. Nieciszewski był narażony w ciemności na rozjechanie przez olbrzymie koła wozów, stratowanie przez konie i utonięcie w pomyjach. Ktoś powinien coś z tym uczynić. We Wrocławiu zamyka się ulice na noc łańcuchami. Tutaj nie ma nawet porządnej straży miejskiej.

Nie lubił Inowrocławia. Cuchnęło tu w dzień i w nocy. Zresztą to, co cuchnęło, pływało właśnie przed jego oczami. W dużej mierze były to resztki, rybie głowy, szczyny i zwykłe pomyje. Nie tylko smród i mdłości groziły przejezdnym. Można było zostać pogryzionym przez wałęsające się ulicami zdziczałe psy albo zarobić pałą od miejscowego osiłka.

Bartłomiej splunął w breję. Łatwo tutaj o skręcenie karku, pomyślał. Wystarczy wpaść do studni. Jest też szansa, że obleją cię zza drzwi szczynami. Tutejsi Niemcy bardzo dbają o higienę. Ale nocniki opróżniają, jak wszyscy.

Lodowaty deszcz rozbryzgiwał się na twarzy mężczyzny.

– Inowrocław – warknął Nieciszewski. – Co ja tu właściwie robię? – Łatwo tu zarobić w mordę. Łatwo o trypra. Większa szansa, że wezmą cię za kogoś innego, jakiegoś bandytę, poszukiwanego za liczne gwałty i morderstwa, niż pozdrowią słowami „z Bogiem”. Kiedy tu przyjechał, zwabiony możliwością uwolnienia się od rodziny Kościeleckich, którym służył przez większość życia, miał wielkie nadzieje. Z czasem marzenia pierzchły. Okazało się, że nadal musiał się płaszczyć przed tymi samymi osobami. Szpony Kościeleckich sięgały nawet tutaj.

Powinien wiedzieć lepiej. W końcu kto zapewnił Nieciszewskiemu intratny urząd? Sam Mikołaj Kościelecki poparł kandydaturę Bartłomieja. Szantażowany przez Nieciszewskiego, który znał pewien wstydlivy i dość ponury sekret Kościeleckich, Mikołaj nie miał dużego wyboru. Być może pora na kolejny krok, pomyślał podsędek. Wszakże nadal mógł wykorzystać inne wstydlive tajemnice, skrywane przed resztą rodziny przez Andrzeja Kościeleckiego. Bartłomiej służył bydgoskiemu staroście praktycznie od początku i widział niejedno. To fakty z życia prywatnego starosty stanowiły podstawę do wysuwania żądań względem Mikołaja Kościeleckiego. Na samą myśl o wyczynach Andrzeja Bartłomieja przechodziły ciarki.

Zerwał z głowy przylegającą do czoła czapę i wyjął ją z wody. Zaklął, przesuważąc palcami po sztywnych siwych włosach. Zaczynał podzwaniać z zimna zębami.

– Nieciszewski! – rozległ się okrzyk. Bartłomieja zmroziło. W jednej chwili wszystkie obawy przybrały rzeczywisty kształt. Odwrócił się. Krępy nieznajomy stał w rozkroku u wylotu schowanej

między dwoma spadzistymi dachami uliczki. Cholewy jego wysokich butów nikięły w grudach błota, twarz skrywało rondo szerokiego kaptura. Za plecami mężczyzny przejechał wóz. Obcy obrócił bokiem kaptur, jakby nasłuchiwał skrzypienia osi. Potem popatrzył na podsędką.

– Musimy pomówić – mruknął stłumionym głosem.

– Nie znam cię, panie – odrzekł Nieciszewski, po czym cofnął się i ruszył w stronę domu.

Zakapturzony mężczyzna spokojnie poszedł śladem sędziego.

– Nieciszewski! – zawołał nieznajomy. Bartłomiej przyspieszył kroku.

W tej samej chwili z pobliskiego zaułka wypadły konie. Tylko dobry refleks uratował podsędką przed stratowaniem. Śmierć była tak blisko. Zaledwie kilkanaście kroków dzieliło konie od zaskoczonego miejskiego urzędnika.

Za zwierzętami wychynał z mroku wóz, do którego były zaprzężone. Pokryta czarnym materiałem kolebka<sup>3</sup> miała masywne, wzmacniane żelazem koła. Na koźle dostrzegł Bartłomiej woźnicę, łysego jak kolano, krostowatego łotrzyka. Powóz gnał prosto na ofiarę. Woźnica, miast zwolnić, uderzył lejcami. Szory się napięły.

– Co tu się wyrabia?! – Sędzia podkasał rąb szaty. W tej samej chwili poczuł, jak ktoś popycha go do przodu. Obrócił się na mgnienie oka, dostrzegając węże obrzydliwych ran, skrzące na twarzy stojącego tuż za plecami przybysza.

– Hola! – zawołał. I tyle zdołał powiedzieć, nim stracił równowagę i padł na kolana.

– Umieraj, śmieciu! – zawołał gromkim głosem nieznajomy, po czym z całej siły pchnął podsędką stopą prosto pod kopyta wierzgających koni. Zwierzęta parły, obrzucając twarz i długą szatę sędziego grudami błota. Sędzia zdołał zakryć głowę rękoma, po czym usłyszał chrupot, gdy kopyta zderzyły się z czaszką, przerabiając na miazgę kości żuchwy i policzki. Uszy Bartłomieja wypełnił łomot, a oczy błoto. Wciągnięte pod koła ciało przeturlało się. Szarpnęło osiami, na co kolebka podskoczyła z łoskotem. Po chwili już tylko stopy Nieciszewskiego konwulsyjnie drgały.

Nieznajomy wolnym krokiem ruszył w kierunku powozu. Kolebka zatoczyła łuk i stanęła niedaleko kościoła. Mężczyzna zawołał do woźnicy, po czym zerwał z głowy kaptur, odsłaniając zmarszczoną twarz, pokrytą osobliwymi, przypominającymi blady liszaj ranami. Dół jego szczęki zdołała kozia bródka. Po chwili ostre, naznaczone strupami oblicze obmył deszcz.

– Wsiadaj, byle chyżo – warknął mężczyzna z kozła. Głos miał ponury i wyprany z emocji. Morderca kiwnął szybko głową, po czym odsłonił wnętrze kolebki i zniknął w środku.

– Gdzie mam jechać? – burknął woźnica.

Ozdobione sygnetami kościste palce wychynęły przez materię.

– Na Złotniki – rozległo się ze środka.

Woźnica uderzył lejcami. Raz jeszcze przejechał trupa. Ciało Bartłomieja podskoczyło, nogi obróciły się pod niewłaściwym kątem, jakby same z siebie ożyły. Niemożliwa do rozpoznania twarz podsędka zaryła się w kałuży.

Po chwili już tylko z oddali dochodził tumult i tętent kopyt.

# Rozdział 1

## Bydgoszcz

Andrzej Kościelecki piął się po stopniach zmurszałych schodów. Mijał kolejne klatki schodowe i wnęki. Przeszedł obok dwójki żołnierzy. Czarne cienie sylwetek kładły się na ścianie. Mężczyźni wzniesli zdziwione oblicza, dotąd zamroczone snem, nad czworokątnymi pawężami<sup>4</sup>. Obaj zamarli na widok spojrzenia Andrzeja. Bystre oczy starosty żarzyły się zimno, niczym zamarzniete gwiazdy.

Nie zatrzymał się nawet, aby ich złajać. Poszerzone od bioder klinami cotehardie<sup>5</sup> Kościeleckiego wirowało za idącym pospiesznie mężczyzną. Za plecami pana Andrzeja rozszedł się szmer rozpoczętej przez strażników rozmowy. Niech szepczą, pomyślał.

Staął przed drzwiami i poprawił szeroki pas obejmujący szatę. Upewnił się, że wszystkie guziki spinające rękaw od nadgarstków do łokcia są zapięte. Szczupłe, niemłode już, a przy tym trochę obwisłe oblicze z wąskim nosem i łagodnym obrysem brwi przeciął chytry uśmiech, a podkrążone, piwne oczy rozbliły. To był jego moment. Starosta doskonale zdawał sobie z tego faktu sprawę. Moment, na jaki czekał od dwóch i pół roku.

Kościstą, żylastą dłonią rozwarł drzwi. Obite żelaznymi sztabami skrzydła huknęły, uderzając o ściany komnaty.

Mroczna sala ożywała dźwiękiem trzaskającego w kominie ognia. Starosta dotknął przenikliwie zimnej ściany. W ciemności iskrzyły się główce pochodni, rzucając ogniste cienie na posadzkę i ściany. Podniósł wzrok na wysokie okno. Stali tam jego goście, korpulentny mężczyzna i dwie modnie odziane damy. Obie odwróciły się w tym samym momencie. Powieka Kościeleckiego zadrżała. Westchnął spazmatycznie. Poczul, że zaczyna brakować mu powietrza.

– Panie... – Mężczyzna się uklonił. Wśród jego rzadkich włosów przeblyskiwała różowa skóra. Śniada cera mężczyzny o ciemnych, skośnych oczach i wąsko zarysowanych ustach przywodziła na myśl Cygana, a może Turka. Na jego tłustych palcach połyskiwały słabo kamienie wprawione w oczka pierścieni. Podobnie błyszcząły oczy przybysza.

– To chyba pomyłka? – Kościelecki rozejrzał się. Lecz w wypełnionej zapachem popiołu i długimi cieniami komnaty stała tylko ta trójka. Wpił zaskoczone spojrzenie w dwie niewiasty. Wyższa, której uroda i sylwetka od razu przykuwała wzrok, miała na sobie obszerną suknię z wysokim kołnierzem i dzwonowatymi rękawami. Podwyższony stan houpellandu spinała ozdobna szarfa. Całości dopełniała spięta srebrną obręczą chusta, spod której wзираły kosmyki kasztanowych włosów. Niższa, choć obrys wydepilowanych brwi i migdałowe oczy wskazywały na pokrewieństwo z pierwszą, nie była już taka urocza. Wielkie, ciemne oczy wydały się staroście trochę za szeroko osadzone i nieco wyłupiaste,



zupełnie jakby podwijka ozdobionej kruselerem<sup>6</sup> chusty zbyt mocno naciskała na szyję. Tępo zakończona broda i wąskie, nieczule ściśnięte usta sprawiały, że kobieta marniała na tle pierwszej, zapewne młodszej siostry.

Obie się ukloniły, odsłaniając dekolty. Kościelecki mimowolnie zwrócił uwagę na kształtne piersi ślicznotki. Po chwili nie mógł oderwać łapczywego spojrzenia od smukłej, kobiecej sylwetki. Mierzył łabędzią szyję i bladą, nakrapianą piegami twarz. Niewiasta miała wspaniałą, świeżą, bladą cerę. Nagle zapragnął tej kobiety.

– Czemu się tak na mnie gapisz? – przywołała go do porządku ruda. Nie podobał się jej wzrok tego posuniętego już w latach, żeby nie rzec podstarzałego, mężczyzny. Skronie przyprószył śnieg, a jemu nadal się wydawało, że jest w pełni wigoru i sił.

– Przepraszam, ja tylko... – Kościelecki się zmieszał.

– Ty tylko co?! – Nie odrywała ostrego spojrzenia od gospodarza.

– Doszły mnie słuchy o twojej urodzie, pani – odparł starosta, mając nieodparte wrażenie, że bełkocze. Starął się patrzeć w innym kierunku. – Lecz słowa nie oddawały tego, co zobaczyłem. Jesteś, pani, Katarzyną Telniczanką, prawda? Wybacz. O żadnej pomyłce nie może być mowy. Nie, wobec twojej, pani, urody.

– A jednak gdy tu wszedłeś, nie byłeś tego taki pewny. – Kobieta ściągnęła brwi. – Co to za pomyłka? Upraszałyśmy o spotkanie ze starostą bydgoskim. To chyba żaden nietakt, skoro przybywamy od króla? Jestem zdziwiona takim przyjęciem. I mam, zdaje się, po temu prawo.

Głos niewiasty był zaskakująco suchy i beznamiętny. Nie spoglądała na starostę. Raczej gdzieś poprzez niego. Patrzyła z wyższością, jakby sama pochodziła ze znacznie lepszego świata.

– Jestem Lenhardt Hohensteiger – wtrącił się jej towarzysz. Mężczyzna wyciągnął pulchną dłoń z pergaminem. Pismo przecinała czerwona wstęga, spięta ozdobionym pieczęcią lakiem. – Przynoszę pisma od Jego Miłości Zygmunta.

Uroczysty ton mężczyzny nappełnił Kościeleckiego odrazą. Wiedział, kogo ma przed sobą. Hohensteiger był mieszczaninem z Ołomuńca, który wkupił się w łaski pochodzącej z Moraw szlacheckiej rodziny Ochstatów i poślubił Małgorzatę Ochstat, brzydszą z dwóch sióstr, które od kilku lat mieszkały na dworze. Druga, Katarzyna, była oficjalną kochanką króla i matką trójki królewskich bękartów. Choć złośliwi twierdzili, że żadną szlachcianką nie była, a swą małą fortunę zawdzięczała hojności króla, nikt nie potrafił tego udowodnić. Wszakże do Moraw było daleko. Dalej niżli do Wawelu.

A Kasia prawie od roku sypiała z Andrzejem Kościeleckim. Przynajmniej tak sądził starosta, zanim ujrzał swoich gości. Katarzynę, znaną na dworze jako Katarzyna Telniczanka, widział bowiem pierwszy raz na oczy.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

– Co mu jest? – Katarzyna rozejrzała się, szukając poparcia u siostry. – Poblądł strasznie... Może jest niezdrów? Wygląda, jakby miał zamiar zemdleć.

– Kasiu, gdzie twoje maniery? – rzuciła jej siostra.

– A gdzie jego maniery?! – zawołała Katarzyna, łapiąc się pod boki. – Dopominamy się gościny na zamku. A on nas traktuje, jakbyśmy byli włóczęgami z gościńca.

Jej ostry głos wywołał w Kościeleckim złość.

– Dopominamy?! – powtórzył natężonym głosem.

– A jak ci się zdaje? – W głosie Katarzyny zabrzmiała jadowita słodycz. – Myślisz, że z jakiego powodu tu jesteśmy, panie? Dla tych kilku nic niewartych świstków?

– To królewskie listy – zauważył z naciskiem starosta.

– I co z tego? – Telniczanka wzruszyła ramionami. – Chyba nie sądzisz, panie, że sporządził je własną ręką Zygmunt? Zapewne nawet nie wie, że te dokumenty powstały.

– Spokojnie... – wtrącił się Hohensteiger. – Jesteśmy od kilku dni w drodze. Zdążamy do Gdańska, na spotkanie z przedstawicielami hanzy. Zamierzaliśmy się zatrzymać na zamku najwyżej jedną noc.

Katarzyna prychnęła.

– Natychmiast pośle do „Zgorzelca” – odparł rzeczowo Kościelecki. – Chętnie oddałbym własne komnaty, niestety, jak i reszta zamku, są w remoncie. Przykro mi. Za listy zaś, panie, dziękuję.

To mówiąc, niemal wyrwał pergaminy z rąk mieszczanina.

– Czy pan wie, z kim ma do czynienia?! – nie poddawała się Katarzyna. Popatrzył na niewiastę spode łba. Na usta cisnęła się zaczepna odpowiedź, lecz w końcu z niej zrezygnował.

– Nie odsyłam was byle gdzie – oznajmił. – I nie mam, niestety, wyboru.

Zaśmiała się nieszczerze.

– To niedorzeczne. – Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. – Małgosiu, chodźmy. Same znajdziemy sobie nocleg w tej dziurze.

– Pani, ja naprawdę... – Starosta powiódł za kobietą wzrokiem.

– Ja też naprawdę. Dobranoc, starosto.

Lenhardt poczerwieniał i nabrał wody w usta. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się odziany w wams<sup>7</sup> wąsaty mężczyzna. Zmierzył Katarzynę wzrokiem, zmrużył głęboko osadzone, ukryte pod czarną grzywką oczy, a potem podszedł zaaferowany do starosty.

– Co znowu? – wysyczał Kościelecki, widząc przed sobą Piotra z Zagajewic. Podstarości nachylił się do ucha Andrzeja i wyszeptał coś tak cicho i szybko, że chyba prędzej dałoby się zrozumieć bzyzącą w komnacie muchę. Hohensteiger zamarł, jakby od słów mężczyzny zależało jego życie, a obie kobiety

odwróciły się, zaskoczone tą kolejną, tym razem już całkowicie jawną oznaką lekceważenia.

– Jeszcze raz – zażądał Kościelecki, na co Piotr ponownie się pochylił.

– Katarzyna Telniczanka oczekuje cię, panie, w komnatach – rzekł podstarość, po czym podejrzliwym wzrokiem zmierzył trójkę nieznamomych.

Andrzej złapał mężczyznę za oba ramiona. Ścisnął boleśnie palce.

– Odprowadź naszych gości do „Zgorzelca” – niemalże warknął. – Zadbaj, aby wszystkiego mieli w bród. Najlepsze kwatery. Na mój rachunek. Jasne?

Katarzyna Telniczanka prychnęła, znikając za drzwiami. Piotr runął w pędzie do drzwi, prawie potracając Małgorzatę.

– Panie, pragnę usprawiedliwić zachowanie mojej... – podjął Lenhardt.

– W porządku Hohensteiger – rzekł Kościelecki. – Nie jestem zły. Naprawdę. Później pomówimy.

Starosta był myślami gdzieś bardzo daleko. Mieszczanin uśmiechnął się słabo i kłaniając raz po raz, dołączył do kobiet już w drzwiach.

\*\*\*

Komnata tonęła w ciemnościach, rozrzedzonych blaskiem polan dogasających we wnętrzu kaflowego kominka. Od razu zwrócił uwagę na ozdobiony barwnym deseniem baldachim skrzyniowego łoża, ozywający bladą sylwetką rozebranej kobiety.

– Witaj, panie – mruknęła leżąca na brzuchu niewiasta. Wyprężyła się niczym kotka i podnosząc obie nogi, zaczęła kołysać stopami w górę i w dół. Powitała starostę lubieżnym uśmiechem i pełnym namietności spojrzeniem czarnych oczu. Zmrużyła powieki pokryte krzykliwym, złotym makijażem. Wzrok niewiasty spoczął na Kościeleckim. Była cudowna. Aż dech zapierało. Czarne oczy dziewczyny miały kształt migdałów. Nad nimi wisały pięknie ukształtowane, grube brwi.

Andrzej stał znieruchomiał i obserwował kochankę. Makijaż, bransolety oraz gęste, pokryte olejkami czarne włosy – to było wszystko, co na sobie miała. Przekręciła się na bok i podparła brodę na łokciu. Ujrzał ciemne sutki.

– Co ty tu robisz? – zapytał, zawierając z hukiem drzwi. Zmierzył dziewczę zamglonym wzrokiem. Nie była przygotowana na chłód, który usłyszała w głosie kochanka.

– A jak ci się zdaje? – nie poddawała się. Widziała go już wzburzonego. Coś musiało wyprowadzić moją mężczyznę z równowagi, pomyślała.

– Po co tu przysłaś? – Zmarszczył brwi. – I jak właściwie weszłaś do moich komnat?

– Wpuścili mnie żołnierze. A po co przysłałam, to zaraz ci powiem. A raczej, pokażę.

Obróciła się i opierając na kolanach i łokciach, wypięła kształtną pupę w kierunku starosty.

– Przyszłam, żeby dać ci to. – Odrzuciła włosy na ramię i zaśmiała się wyzywająco.

Widział każdy szczegół jej anatomii. Blask pochodni migotał na krągłych krzywiznach pośladków. Zerknęła w kierunku kochanka i zamarła. We wzroku starosty dostrzegła coś ciemnego, zwierzęcego. Złękła się.

Zerwała się z łoża i dała krok w tył, w kierunku okna.

Podszedł i chwycił dziewczynę mocno za ramiona. Jęknęła, nie wiadomo z bólu czy podniecenia. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły na twardo spoglądającego starostę. Mężczyzna dotknął policzka dziewczyny wierzchem dłoni. Poczuł pod palcami miękkość jej skóry. Miała takie młode, przypominające skórę brzoskwini policzki. Zmrużone oczy posłały staroście miękkie spojrzenie. Niewiasta zadrżała i cofnęła się.

– Kasiu. – Westchnął cicho. Poczuł, że stojąca przed nim dziewczyna staje się krucha niczym szkło.

Zacząła szeptać słodkie miłosne zaklęcia. Zafascynowany smętnym głosem dziewczyny mężczyzna spoglądał na nią nieprzytomnie. Bezwiednie odpowiedział w podobnym tonie. Co ja mówię? – spytał sam siebie.

Po chwili słowa nie miały żadnego znaczenia. Andrzej poczuł, jak ogarnia go fala gorąca. Ciało oszustki poruszało się, odpowiadając na dotyk palców mężczyzny. Odskokzyła, śmiejąc się do starosty migoczącymi oczami. Zwodziła go. Dał krok w stronę dziewczyny. Zakołysała biodrami, także się zbliżając.

Przyłgnęli do siebie w ciemności, niczym para ślepych zwierzątek.

W komnacie zaległa cisza. Potem w szybę uderzyły pierwsze krople deszczu.

Oczy dziewczyny posłały Kościeleckiemu przyzwalający sygnał. Usta kochanki dotknęły jego warg. Poddał się ogarniającej go namiętności. A potem całkiem się w niej zatopił. Runęli na łożo. Zaczęli walczyć ze sobą o każdy oddech. Dusząc się, gniotąc na sobie pościel i szarpiąc za włosy. Pod palcami poczuł delikatne łopatki.

\*\*\*

Stał nad nią dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że dziewczyna śpi. Zastanawiał się, co z nią zrobić. Nie może jej wypuścić bez poznania prawdy. Umierał wprost z ciekawości, kto i dlaczego wpuścił do jego łoża tę oszustkę. Z drugiej strony usunięcie jej po kryjomu mogło nie załatwić sprawy. Musi najpierw dotrzeć do mocodawców dziewczyny. Komuś bardzo zależało, aby go zwieść. Przechytrzyć i oszukać. Tylko po co?

No i był jeszcze list od króla. List, a raczej nominacja, dzięki której Kościelecki stawał się formalnie jedynym zarządcą kopalni w Bochni i Wieliczce. Od kilku lat pieczę nad żupami sprawował wraz

z Mikołajem Jordanem z Zakliczyna i Janem Bonerem z Krakowa. Rok temu przejął zarząd nieformalnie, teraz doczekał się oficjalnej nominacji. Już wraz z przejściem bogatego starostwa spiskiego Andrzej zaczął rozmyślać o pozostawieniu Kujaw i przeniesieniu się na południe. Przejęcie kopalni w Krakowskiem było niemałym zaszczytem. Kościelecki miał powód do zadowolenia.

No, ale cóż w tym dziwnego? Dał się poznać jako rzutki i błyskotliwy administrator. Ostatnie lata były dlań niezmiernie łaskawe. Piał się po szczeblach politycznej kariery zaskakująco szybko i, jak się okazywało, o własnych siłach. Do tej pory sądził, że zawdzięczał wszystko znajomości z Telniczanką oraz przyjaźni, którą jeszcze jako dworzanin Jana Olbrachta zawarł z młodym królewiczem Zygmuntem podczas poselstwa na Węgrzech. Przyczyniły się do tego także pożyczki, których udzielał Jagiellonom. Wiele udanych transakcji, które doradził młodemu Zygmuntowi, zaowocowało wymiernymi korzyściami. Misje dyplomatyczne w Malborku i Budzie zaskarbiły Andrzejowi uznanie rodziny królewskiej. Gdyby tylko udało mu się przejąć pieczę nad finansami Korony, jak od początku zamierzał. Wykorzystałby swoją wiedzę do jak najlepszego przysłużenia się Rzeczypospolitej. Oto co kierowało starostą. Patriotyzm i miłość do Korony. Jak wiele mógłby osiągnąć... A przy okazji zrealizowałby własne ambicje i pragnienia. Sięgnąłby po władzę... Prawdziwą, niepodzielną, płynącą z bogactwa i wpływów.

Za nominacją kryło się znacznie więcej niż nagroda za pożyczki. Król chciał mieć Kościeleckiego bliżej siebie, aby móc kontrolować jego poczynania. Zygmunt musiał słyszeć o zainteresowaniach Kościeleckiego okultyzmem. Starosta dzielił je wszakże z królewiczem Władysławem, o czym Zygmunt także dobrze wiedział. Podczas pobytu w Budzie nieraz toczyli dyskusje o naturze kabały i demonologii. Młody Zygmunt tylko się przysłuchiwał, nie wyrażając własnego zdania. Z czasem okazało się jednak, że młody Jagiellon nienawidzi magów i dworuje sobie z alchemii.

Dla Władysława z kolei magia była jedynie zabawą, wybawieniem od nudy. Kościelecki uważał okultyzm za środek służący do osiągnięcia wytyczonych celów. A były one zawsze takie same. Nie zmieniły ich ani lata, ani kolejne niepowodzenia.

Skupienie w swoim ręku władzy. Osiągnięcie wpływów. Bogactwo. Ambicje starosty były wszechstronne, mierzył wysoko. Służyły temu w równym stopniu liczne kontakty z krakowskimi szlachcicami, jak i próby przyzywania istot z innych sfer istnienia, których pan Andrzej dokonywał w tajemnicy. Skrupulatnie zbierając stare tomiszczą, wykorzystywał wiedzę zgromadzoną przez groźnych czarowników.

Wraz z ostatnią nominacją zamykała się pewna droga. Co teraz się stanie? Będzie musiał wynieść się z Bydgoszczy, najprawdopodobniej porzucić swoje badania i być może już tu nie powróci. Zmiana otoczenia wiązała się z potrzebą zachowania większej ostrożności, przynajmniej przez jakiś okres. Rok, może nawet dwa lata. Na taki czas będzie musiał pozostawić swoje metafizyczne studia na boku.

Staroście będą patrzeć na ręce rozliczni szpiedzy Zygmunta.

Co to wszystko miało oznaczać? I jaką rolę odegrała we wszystkim ta mała kurewka?

Kościelecki wolno zbliżył się do łóżka, biorąc do ręki pochodnię. Po krótkim namyśle podszedł do kominka i wetknął głowicę między węgle. Po chwili jasny płomień ogarnął żagiew. Podchodząc, obrzucił kształtne plecy śpiącej zadowolonym spojrzeniem.

Dziewczyna, być może czując ciepło, a może nasłuchując syku ognia, podniosła głowę i powiodła zaspanym wzrokiem w kierunku stojącego nad łóżkiem mężczyzny. W blasku pochodni twarz starosty przybrała upiorne rysy, a cień za nim przypominał kształtem skrzydlatego demona. Mężczyzna był nagi od pasa w górę. Kędziory na jego szerokiej klatce piersiowej lśniły odcieniem czerwieni, splatając się w okolicy splotu słonecznego niczym dwugłowy smok.

– Co robisz? – zapytała zaspana. Jej gardło ścisnął nagły strach. Andrzej spoglądał obco. Jego oczy błyszczały obłędem.

Sięgnęła do poręczy, przez którą przewiesiła suknię. Kopnął stołek, przewracając mebel. Rozległ się klekot, a dziewczyna poderwała się na równe nogi, umykając przed napastliwym kochankiem pod ścianę. Powiodła wzrokiem w górę, zerkając na pochodnię. Dała jeszcze jeden krok w tył. Nigdy nie widziała go takiego.

– Wiesz co? – mruknął oschle. – Jedno mnie bardzo zastanawia. W jaki sposób zapłaciłaś żołnierzom, żeby cię wpuścili. Nie wierzę, że złotem. Mają dobry żołądek.

Parsknął, przez co jednoznaczność pytania stała się wręcz uderzająca.

– Jak śmiesz?! – Zmierzyła go srogim spojrzeniem.

– No tak, przecież jesteś szlachcianką. Nie dajesz byle komu.

Runęła do drzwi, na co starosta zastąpił jej drogę i zawarł wrota ramieniem.

– Gdzie?! – wrzasnął.

– Przepuść mnie. Wychodzę.

– W tym stroju? – Przesunął pochodnię z góry na dół. Odskokzyła, czując na ramionach i brzuchu gorąco. Stała przez moment jak słup soli.

– A może jeszcze im nie zapłaciłaś? – Spojrzał na drzwi. – Może tam nadal czekają?

W oczach mężczyzny zobaczyła mgłę. Jego usta ściągnęła nienawiść. Kolana dziewczyny całkiem zmiękły.

Jest zupełnie niepodobna do Telniczanki, pomyślał Andrzej. Prawdziwa Katarzyna Ochstat miała klasę dojrzałej kobiety. Przed sobą zaś miał dziewczynę. Śniada karnacja i drobna budowa oszustki powodowały, że z daleka wyglądała najwyżej na szesnaście lat. Gęste, ciężkie włosy, sięgające dziewczynie do pasa, pogłębiały to wrażenie. Dopiero z bliska dało się dostrzec siateczkę zmarszczek

wkoło wąskiej linii zaciśniętych ust i zgrabnego noska.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – spytał bez związku. – Że ja naprawdę w nas wierzyłem. Snułem plany. Marzenia.

Spuścił głowę. Kiedy ją podniósł, w jego oczach znowu kipiała wściekłość.

– Co ja mówię. – Pokręcił głową. – I po co ci to mówię? Nie wiem nawet, jak masz na imię.

– O czym ty...

– A jak ci się zdaje?! – wrzasnął. – Wiem, że nie jesteś tą, za którą się podawałaś.

Zamarła.

– Jak masz naprawdę na imię? – Wlepił spojrzenie w kochankę. Subtelny, nerwowy uśmiech nie zniknął z jej ust. Tak jakby znała jakiś wielki sekret, którym zamierzała się podzielić dopiero w odpowiedniej chwili i tylko ze starostą.

– Pytam, jak masz na imię?! – Złapał ją za nadgarstek, lecz się wyrwała.

– Zostaw! – Odskoczyła. Złapał w garść jej włosy i przystawił żagiew tak blisko twarzy, że zawyła, aczkolwiek bardziej ze strachu niż bólu.

– Sara! – odrzyknęła, na co pchnął ją do przodu. Upadła przed nim na kolana.

– Ładnie – rzekł spokojnie, po czym zaczął jedną ręką rozsypywać portki. W drugiej nadal trzymał płonąca pochodnię

– Co robisz? – Popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– A jak myślisz? Nadal jesteś moją kurwą. Jesteś mi winna posłuszeństwo. Więc chodź tu i zrób to, co najlepiej potrafisz. Jeszcze się nie nasyciłem.

Zerwała się i stanęła twarzą w twarz z Kościeleckim.

– Nie – mruknęła. – Koniec z tym.

Uderzył ją z całej siły otwartą dłonią. Głowa jej odskoczyła, dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Jak mogłeś?! – Skoczyła do oczu mężczyzny. Uderzył ją ponownie, na odlew, tak że obróciła się i upadła.

Przez dłuższą chwilę zbierała się z ziemi. W końcu została na podłodze. Zgarnęła włosy. Starła przegubem krew ciekącą jej z nosa.

– Wiedzą, że tu jestem – mruknęła. – Przyjdą po mnie.

– Ach, tak? A kto taki?

Oczy mężczyzny błyszczały obłędem.

– Nikt.

– No właśnie – rzucił. Stał nad leżącą na zimnej posadzce dziewczyną. Dał jeszcze krok w jej

stronę, z przyjemnością widząc, jak czarnowłosa się odsuwa. Spodobał mu się strach, który zobaczył w migdałowych oczach. Brał ją we władanie powoli, jak choroba.

Cofnęła stopy tkwiące między nogami Kościeleckiego. Podkuliła je.

– Zapłacisz za to – wysyczała bezsilnie, choć sama w to nie wierzyła.

– Może chociaż wstań z ziemi? Leżysz i mi przy tym grozisz? Nie jest to najlepsza pozycja do ciskania gróźb. Nie uważasz?

– Położenie lubi się zmieniać – odparła, tym razem pewniej.

Przez chwilę stał nad nią, jakby coś rozważał. Wreszcie podał kobiecie dłoń.

– No już dobrze – rzekł miękkim głosem. – Wstań.

Nie wierzyła w szczerść słów starosty. Odmierzyła odległość, jaką musiałaby przebyć, aby dotrzeć do drzwi prowadzących do pozostałych komnat Kościeleckiego.

Runęła do wrót, modląc się w duchu, aby były otwarte. Całkiem go to zaskoczyło. Nacisnęła klamkę i pchnęła je, wpadając pochylona do środka niewielkiej izby. Zawarła drzwi w tej samej chwili, gdy po drugiej stronie rozległ się wrzask. Po chwili drewno strzeliło, nie ustępując jednak napierającej z zewnątrz sile.

– Dziwka! – usłyszała przytłumiony męski krzyk dochodzący zza drzwi. Walenie się nasiliło. Spojrzała w kierunku klamki. Wściekle za nią szarpał.

Po chwili spokoju drzwi zaatakowała przeraźliwa siła. Strzyknęły zawiasy, rozległ się dźwięk pękającego drewna.

– Odejdź, panie! – wrzasnęła przerażona. W odpowiedzi zabrzmiało tylko kolejne uderzenie. Zamek wystrzelił z framugi. Sara krzyknęła, podskakując w miejscu. Do środka, otwierając sobie drzwi następnym kopniakiem, wpadł Kościelecki.

– Przeklęta suko! – prychnął pogardliwie starosta.

Dopadła do ustawionego w niewielkim pomieszczeniu klęcznika. Nie myśląc za wiele, złapała mosiężny świecznik i uniosła nad głowę.

– Ani drgnij! – wrzasnęła. Starosta uśmiechnął się pobłaźliwie i dał kolejny krok. Wtem jego ręka wystrzeliła do góry, a rozżarzona pochodnia uderzyła w świecznik. Łomot wypełnił komnatę, a dziewczyna zawyła z bólu, czując gorąco bijące z potrzaskanych palców. Kolejny cios trafił zaskoczoną ofiarę między oczy. Uderzenie pochodni sprawiło dziewczynie niewyobrażalny ból. Jej włosy zajęły się na moment ogniem. Runęła na klęcznik, przewracając go wraz z otwartym ewangelialem. Starosta stał i spoglądał to na niewiastę, to znów na obrazek z Matką Boską Szkaplerzną, zawieszony ponad klęcznikiem.

– Możesz krzyczeć do woli – rzucił. – Krzyczałaś wcześniej i także nikt nie przybiegł.



Opuścił wzrok na podrygującą w spazmach ofiarę. Włosy Sary zgasły, za to zlepiony kołtun odsłaniał czerwone bąble na policzku dziewczyny. O dziwo, pod wpływem szoku wcale nie czuła bólu.

– Czego... Czego ode mnie chcesz? – spytała, zerkając w górę.

– Kto cię przysłał?

– Mężczyzna. Pomógł mi, gdy przyjechałam do miasta – oznajmiła łamiącym się głosem.

– Jaki mężczyzna?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Pomógł mi, gdy miałam kłopoty.

– Kłopoty, skarbie, to ty dopiero będziesz miała.

– Wiem. – Pokiwała głową. – Nie rób mi krzywdy.

– Krzywdy? – Wydawał się rozbawiony. – Mogę cię oddać moim żołnierzom. Niech się z tobą zabawią. Na mój koszt. Mogę cię kazać wtrącić nagą do ciemnicy. Szczury wydrążą kilka dodatkowych otworów w tym powabnym ciele.

– Jesteś odrażający.

– A ty głupia – odparł lodowato. – Nie rozumiesz? Mogę z tobą zrobić wszystko. Wszystko. I nikt ci nie pomoże.

– Proszę... – Płacz dziewczyny przeszedł w kwilenie. Spazmy wstrząsały nagim ciałem Sary.

– Co robisz w Bydgoszczy? Czego szukasz?

– Siostry.

– Siostry? – Skrzywił się, a ona pokiwała głową.

– Rozdzielono nas – oznajmiła, zanosząc się łkaniem. – Dorastałyśmy w innych sierocińcach. Kilka lat temu pewien cudzoziemiec opowiedział mi o Miriam.

– Miriam? – Andrzej powtórzył imię, jakby coś mu mówiło.

– Tak ma na imię – oznajmiła już trochę spokojniej. – Ten cudzoziemiec widział się z nią. Ale jak przyjechałam do Bydgoszczy, już jej nie zastałam. Wpadłam za to przez Miriam w kłopoty. Okazało się, że moja siostra była poszukiwana. I to w dodatku za morderstwo. A że jestem bardzo podobna...

– Wzięli cię za Miriam – dokończył starosta.

– I wtedy pomógł mi mój przyjaciel. Mężczyzna, o którym już mówiłam. Ukrył mnie w jednej ze swoich kamienic. Na Wyspie Młyńskiej.

– Wyspie Młyńskiej? A jak zwie się ten samarytanin?

– To Żyd – odparła.

– W dodatku Żyd? – parsknął. – No to już trudno nazwać zbiegiem okoliczności.

– O czym mówisz, panie? – Dziewczyna ściągnęła brwi.

– Tak się składa, że także wynajmuję czynszówkę na Wyspie Młyńskiej. Od pewnego Żyda Lewina. Mówi ci coś to nazwisko? Kupiłem od niego kilka książek. To o nim mówisz? O Lewinie?

Oczy dziewczyny rozbłysły. Nie potrafiła kłamać. Nie w żywe oczy.

– To ten sam Żydek, prawda? – zapytał. Ujrzał zmarszczkę na czole czarnowłosej.

– Nie musisz już nic mówić. To on – oznajmił. – Lewin.

– Proszę – rzuciła. – Nie krzywdź mnie. To wszystko, co wiem. Faktycznie, to był Lewin. Żyd Lewin. Nie wiedziałam, że się znacie. Ja nic więcej nie wiem. Naprawdę.

– I w tej chwili to twój największy problem – odparł. Potem złapał dziewczynę za włosy i zaczął ciągnąć w kierunku drzwi. Wrzasnęła, szarpnęła się i zaczęła okładać napastnika pięściami. Dwa ciosy rozżarzonej pochodni, jeden wymierzony w brzuch, drugi w piersi, całkiem ją uspokoiły.

Gdy przeciągnął Sarę przez próg komnaty, już tylko lekko kwiliła.

# Rozdział 2

## Kruszwica

Bartek Chodyna poruszył się w siodle ciska. Szczupły, ciemnowłosy mężczyzna obserwował okolicę z brzegu jeziora, wyglądając przez szeleszczące tajemniczo bujne krzewy.

Od wyjazdu z Bydgoszczy czuł, że ktoś go śledzi. Za Złotnikami jego prześladowca już nawet się nie ukrywał. Jechał bezczelnie za Bartłomiejem, tyle że w pewnej odległości. Bartek skierował konia w bok, okrążając pokryte trzcinami brzegi Gopła. Jezioro przecinały mokradła. Mężczyźni towarzyszył ochrypli rechot obudzonych po zimowej drzemce żab.

Nakłonił wierzchowca do ruszenia z miejsca. Gdy po jakimś czasie osiągnął zachodni brzeg i ujrzał spadziste dachy Kruszwicy, zsiadł z wierzchowca i wy dobył przytroczony w pobliżu łuku siodła jatagan<sup>8</sup>. Zwierzę zastrzygło uszami i parsknęło. Ostrzegło swego pana. Ktoś nadchodził.

Odwrócił się błyskawicznie. Spłoszony cisek pocwałował na bok. Lecz prześladowca, kimkolwiek był, rozpląnął się w powietrzu. Bartłomiej schował broń i podszedł do konia. Po krótkim namyśle z powrotem go dosiadł.

Przejechał kawałek zabłoconymi ulicami miasta. Rozległo się wściekłe szczekanie. Odgłosy nie przypominały jednak dźwięków wydawanych przez zwykłe psy. O nie. Szczekanie było podszyte przerażeniem. Dobiegało z czeluści miasta. Z chwili na chwilę stawało się coraz to bardziej zajadłe.

Ściany domów rzucały na ulice łagodne cienie. Z kolei odległy zamek spowił całkowity mrok, od czasu do czasu tylko pojawiał się w oddali blask pochodni, wstęga kopącego dymu, migocące światła okien, czy wreszcie słabo świecące gwiazdy.

Ulice sprawiały wrażenie opuszczonych. Kruszwica, niechroniona żadnym murem czy choćby palisadą, przycupnęła nad czarnymi wodami Gopła i usnęła niespokojnym, mrocznym snem. Pozamykane okna, pozawierane okiennice i spadziste, pokryte mchami dachy przywodziły Bartkowi na myśl ponure, wymarłe wsie, które widział w Ziemi Dobrzyńskiej. Minał maleńki drewniany kościółek o wypaczonych ścianach, z niewielkim cmentarzem spoczywającym u stóp wybująłych brzoź. Ze środka dobiegały odgłosy nabożeństwa, lecz widoczne przez okna wnętrze, rozświetlone blaskiem świec, nie napawało otuchą.

Zatrzymał się dopiero na opuszczonym, pełnym kałuż placu przed gospodą. Zamarł na moment. Niebo zrobiło się w ciągu paru chwil ciężkie i gęste od postrzępionych chmur. Wiosenne powietrze było rześkie i mroźne. Wkoło panowały ciemności. Cały dzień był taki.

Zerknął w kierunku pobliskiego budynku. Zrębowy dom był opuszczony, pokryty słomą dach zapewne przeciekał, ale ściany chroniły przed zimnem i wiatrem. O solidną framugę uderzały masywne

drzwi. Były obite skórą i wzmocnione sztabami metalu. Słoma opadała z wysokiego dachu przypominającego kształtem wieżę. Chłopi w Kruszwickiej Wsi powiadali, że oberża nie jest opuszczona i że prowadzi ją Żyd imieniem Dawid.

Czuł, że coś jest nie tak. Niepokoiła go grobowa cisza panująca w tym miejscu. I niezdrowa ciemność, która ogarnęła dziedziniec. Rozpalił żagiew. Jedno nieostrożne stąpienie jego ciska i Chodyna skrzyłby kark. Głupia śmierć. Długie cienie, tworzące się od blasku pochodni, sprawiały wrażenie żywych stworzeń poruszających się niczym ćmy w blasku ognia. Podjechał bliżej. Z szerokiej bramy budynków stajni wyłonił się zakapturzony mężczyzna.

– Hej! Ty tam! – zawołał Chodyna do mężczyzny, który targał ceber z wodą.

Parobek stanął jak wryty i puścił ogromne naczynie, wylewając całą wodę do stojącej kałuży. Zapewne z trudem dostrzegał zarys pobliskich drzew, a co dopiero siedzącego w siodle intruza.

Przez drzwi karczmy wybiegł drugi sługa.

– Panie, wybacz – wybełkotał. – Janko, nie stójże tak! Gościa mamy.

To mówiąc, zbliżył się i złapał zwierzę łagodnie za grzywę. Chodyna przerzucił nogę przez łęk siodła i zsiadł, mierząc cały czas wzrokiem sługi. W blasku pochodni widział wiązane pod pachami kaptury, naciągnięte na głowy, kaftany oraz portki. Niewiele więcej. I choć chłodno było i paskudnie, to chmury nie uрониły kropli deszczu. Czemu nosili te kaptury, nie wiedział.

– Szukam karczmarza Dawida – zagadnął. – Ponoć prowadzi ten interes.

To mówiąc, wskazał karcznię. Obaj mężczyźni zdziwieni popatrzeni po sobie, a następnie na Bartłomieja. Przybysz mógł czuć zadowolenie z własnego wyglądu. Kędzierzawe włosy byłyby powodem do dumy niejednej białogłowy, mimo pojawiających się przedwcześnie siwych kosmyków. Idealnie kontrastowały ze smagłym obliczem mężczyzny. Wyrazista, kwadratowa szczęka musiała przykuwać spojrzenia kobiet, podobnie jak błękitny kolor miękko patrzących oczu i lekko zakrzywiony nos. Wąski nos i łagodne rysy sprawiały, że Chodyna nosił cały czas przystrzyżoną starannie brodę, którą dodawał sobie powagi i wieku. Policzek przybysza przecinała brzydka, postrzępiona blizna, dotykająca ust. Była to pamiątka po barbarzyńskim szkoleniu, któremu poddawano na południu młodych chłopców, zanim stawali się janczarami<sup>9</sup>. Oczy mężczyzny przypominały dwa uwięzione za ciemnymi powiekami kamienie. W skupieniu i złowrogo mierzyły otoczenie.

Przyodziany w jednolicie czarną, sięgającą do bioder jopulę<sup>10</sup> i ozdobiony wycinanką w szachownicę jaskrawożółty kaptur z ogonem wyglądał groźnie niczym głodny wilk. Zamiast guzików wierzchnią szatę zdobiły na rękawach i z przodu błyszczące ćwieki. Za pasem trzymał sztylet oraz zakrzywiony kindżał<sup>11</sup>, a znad juków wystawała rękojeść jatagana.

– Dawid od wielu tygodni nie wychodzi ze swej izby – oznajmił parobek, który wybiegł z gospody. Poprawił kaptur, odsłaniając krostowate policzki, ptasi nos i płową grzywkę. Przerzucił uzdę przez kark

należącego do Chodyny konia i wolnym krokiem zaczął prowadzić zwierzę w kierunku stajni. Bartek ściągnął brwi ze zdziwienia.

– Hej! Poczekaj! Co to miało znaczyć?!

– Miał na myśli to, że Dawid się boi – wytłumaczył drugi sługa.

– Kogo?

– Powinieneś spytać czego, panie – odparł mężczyzna. – Chodź lepiej do środka. Znosi się od rana.

No i pewnikiem jesteś zdruzony.

– Prawda to. – Chodyna westchnął, po czym dołączył do parobka. – Muszę pomówić z karczmarzem. Im rychlej, tym lepiej. Chodzi o pewną kobietę, którą gościliście w karczmie tej zimy.

Parobek jakby wrósł w ziemię. Niższy od Chodyny i krępy, zerknął w górę, błyskając oczami. Minę miał nietęgą. Nerwowo szarpnął za przetykaną siwizną brodę.

– Kobietę, powiadasz? – zapytał.

– Żydówkę.

– I jeszcze do tego Ży...

– Nie musisz po mnie powtarzać każdego słowa. – Bartłomiej ściągnął brwi. – Ani tym bardziej udawać, że jej tu nie było. Wiem o niej od jednego żołnierza. Był tu wraz z ludźmi starosty bydgoskiego tej zimy. I nie martw się, coś ci wpadnie. Mam czym zapłacić, przyjacielu, tak za gościnę, jak za informacje.

Rzykował, wspominając o pieniądzach, jako że ta dwójka mogła należeć do jakiejś bandy, która wzięła karczmarza na zakładnika, aby nabierać podróżnych. Z drugiej strony ci tutaj wyglądali raczej na mięczaków.

– Nie o to idzie, panie – odparł mężczyzna drżącym głosem. – Chodzi o tę kobietę. To właśnie jej boi się Dawid.

– Ach, tak? – Bartłomiej stanął w miejscu. Pierwsze, ciężkie krople przecięły powietrze. – A skąd wiesz, że właśnie jej się boi?

– Wiem, i już. Zresztą co ja tam będę mówił. – Sługa machnął ręką. – Wejdziecie do środka, sami go zapytacie.

\*\*\*

Wnętrze karczmy tonęło w ciemnościach. Parobek poprowadził Chodynę wzdłuż ściany i dalej, schodami, na piętro. Bartłomiej rozglądał się w poszukiwaniu pułapek, lecz nikt nie usiłował go ogłuszyć. W końcu zaczął wierzyć w przedziwną opowieść parobków.

Mimo że nie zgasił pochodni, szedł prawie po omacku. Sługa raz po raz upewniał się, czy przybysz

zmierza jego śladem. Chodyna popatrzył w oblewaną światłem twarz. Sługa zmrzył boleśnie oczy spoglądające z wystraszonej, ziemistej twarzy. Za plecami mężczyzny wstawały długie cienie.

Deszcz, który tymczasem lunął, tłumił większość dźwięków, bębniąc o ściany i dach. Z oddali dochodziło ciężkie dudnienie. Przypominało odgłos kłusujących koni.

– Tam, panie. – Sługa wskazał drzwi na końcu korytarza. Chodyna poświecił na wrota. Deski podłogi trzeszczały pod jego stopami. Skupionym spojrzeniem zlustrował pomieszczenie. Uniesiona brew nadała mężczyźnie diabelski rys.

– Mam już zacząć się bać? – mruknął, marszcząc się, przez co postrzępiona blizna, przecinająca czerstwy policzek, wydawała się jeszcze czerwiejsza.

Parobek podszedł do wrót i mocno w nie zastukał.

– Panie, mamy gościa! – zawołał.

– Nie chcę się z nikim widzieć – odezwał się gruby, męski głos.

– Nie obchodzi mnie to – rzekł głośno Bartłomiej. – Jak mnie nie wpuścisz, wykopię te drzwi. Obiję gęby twoim ludziom, a potem spalę tę budę, z nimi i tobą w środku.

Mówił spokojnym, niemal monotonnym głosem, zupełnie jakby nikt nie stał obok. Parobka przeszedł dreszcz. Odsunął się niepewny, co uczynić. Nagle wkoło zrobiło się osobliwie zimno.

Słowom janczara odpowiedziała cisza.

– Nie wierzysz mi? – zapytał Bartek, spoglądając w stężałą twarz parobka. Sługa odsunął się pod ścianę. W tej samej chwili schody ożyły dźwiękami kroków. Ukradkowe na początku odgłosy przybrały na sile.

– I tak cię nie wpuszczę – dobiegło z izby. – Jak chcesz, to pal.

Chodyna zgrzytnął zębami.

– Nie wpuścisz mnie zatem? – powtórzył. – Mam ci pokazać, co potrafię?

Znowu nie doczekał się odpowiedzi. Postanowił zmienić metodę.

– Nawet jeśli przychodzę od siostry Miriam, Sary?

Tym razem ciężkie milczenie zapadło na dłużej. W korytarzu pojawił się drugi parobek. Bartłomiej zamarł, mierząc mężczyznę wzrokiem.

Po chwili zamek w drzwiach obrócił się z chrzęstem. Drzwi skrzypnęły i rozwarły się.

– Wejdz, panie – zaprosił go ochryply głos.

– Ale... – zaczął sługa, który przecież słyszał wszystkie groźby Bartłomieja.

– Masz coś do dodania? – Chodyna zmroził parobka wzrokiem. – Stój lepiej, gdzie jesteś, i nie wtrącaj się. To sprawa między mną a gospodarzem.

To mówiąc, wcisnął parobkowi pochodnię do ręki i wszedł do wnętrza oświetlonej świecą izby.

W jej blasku wynurzyła się pobladła śmiertelnie twarz korpulentnego mężczyzny odzianego w tunikę.

Chodyna zmrużył oczy. Ostrożnie się rozglądając, przemierzył izbę. Deski trzeszczały pod jego stopami. Pomieszczenie było ciasne i niesamowicie zagracone. Przypominające skrzynie meble nakryto materia. Okna zakrywały ciężkie okiennice.

Dłoń karczmarza obejmowała sprzączki szerokiego pasa i wyraźnie drżała.

– Kim jest Sara? – zapytał oberżysta, dając krok w tył.

– Przyjaciółką. Przez lata poszukiwała siostry i wpadła nawet przez nią w poważne tarapaty. Mów. Muszę wiedzieć, gdzie jest Miriam. Muszę się z nią rychło zobaczyć. Zapłacę ci.

– Zaczny panie, ja doprawdy niewiele wiem. – Oberżysta odsunął się, jakby z obawy, że oberwie kułakiem.

– Interesuje mnie twoje „niewiele”. Mów. Nie mam dużo czasu.

– Ta kobieta była tu pierwszy raz zimą... – Żyd się zawahał. – Znaleźli ją żołnierze pana Kościeleckiego z Bydgoszczy. Przywlekli ją z lasu. Potem jeden z nich, chyba dowódca, wziął Miriam do łóżka. Następnego dnia wszyscy wyjechali. Po jakimś czasie Miriam wróciła z innym mężczyzną. Zresztą widziałem go już tutaj. Bydlak zamordował dwie osoby. Była wielka awantura i mężczyznę zastrzelili przed drzwiami karczmy bydgoscy żołnierze. Nie mam pojęcia, o co poszło. Ani co przeszkrobała dziewczyna. Ukryłem ją przed żołnierzami, gdy wlekli ciało jej towarzysza gościńcem.

– Pytali o Miriam?

– Czy pytali?! – prychnął Żyd. – Pewnie, że pytali. Ale ona mi zagroziła, więc jej nie wydałem. Groziła mi, panie, już wtedy mi groziła, ta suk... Kazała sobie przynieść ubrania tego zamordowanego w szopie cystersa. Przebrała się w nie. Ogoliła głowę, żeby wyglądać jak mężczyzna. Przez noc została w karczmie. Wreszcie wyjechała. Przynajmniej tak sądziłem wtedy.

– Jakiego znowu cystersa?! – parsknął Chodyna. Powoli tracił cierpliwość. Rozpostarł rękę i uderzył w stół, aż zadzwoniły leżące na nim monety. Karczmarz drgnął wystraszony.

– Pytałem cię o coś – rzucił Bartłomiej. – Odpowiadaj z łaski swojej.

– Młodego mnicha, chyba jeszcze nowicjusza – rzekł ponuro Żyd, patrząc spode łba. – Ten towarzysz Miriam torturował chłopaka i zamordował go w mojej szopie. Po tych dwóch morderstwach prawie cała służba mi wymówiła. Musiałem nająć te dwie łazęgi, choć nie nadają się do niczego i są leniwi jak wszyscy diabli. Całej służby mam teraz czterech ludzi, w dodatku wszystkich przygłupich.

– Dwóch morderstwach? Wspomniałeś o mnichu. A drugie?

– Przed drzwiami gospody poderżnięto gardło jednemu z żołnierzy. Prawdopodobnie uczynił to towarzysz dziewczyny.

– A kim był ten towarzysz? Pierwsze słyszę, żeby Miriam miała kompana.

– Jakiś Niemiec. Ale to bez znaczenia. Jak już powiedziałem, ludzie Kościeleckiego przydybali go w obejściu i zastrzelili wkrótce po tych wydarzeniach.

– Czego tu szukał Kościelecki? Bydgoszcz jest daleko od Kruszwicy – zauważył Bartłomiej.

Karczmarz wzruszył ramionami.

– Najwidoczniej kłopotów – rzekł. – No i je, he, he, znalazł.

Chodyna doszedł do wniosku, że karczmarz jest niespełna rozumu. Podbródki Dawida trzęsły się, a oczy migotały niezdrowo.

– Po kolei – rzekł spokojnie Bartłomiej. – To, co mówisz, nie ma sensu. A ja wolę, gdy ktoś mówi z sensem.

Żyd pokiwał nerwowo głową i podszedł do okna.

– Tu już nie ma co opowiadać. Miriam zabrała habit i pojechała w diabły – oznajmił. Chwycił w palce rękaw koszuli i przetarł nim spocone czoło. – Sprawa przycichła. Żołnierze ruszyli do Bydgoszczy. Potem ni stąd, ni zowąd dziewczyna wróciła.

– Kiedy?

– Przed niecałym miesiącem. Myślała, że jej nie poznałem. Była przebrana w te szaty, które zabrała. Z nią byli ojcowie od Świętego Gotarda, szpitalnicy. Przyjechali po zapasy. Zachowywali się, jakby Miriam była jedną z nich. Stało się dla mnie jasne, że ukryła się w szpitalu przed pościgiem.

– Dlaczego w takim razie nie opuściła miasta?

– Nie mam pojęcia, panie. Jej spytaj.

– Nie udawaj niewiniątka. Pomogłeś jej. – Z przekonaniem pokiwał głową. – Jesteś współwinny jej zbrodni bez względu na to, jakie były. Na pewno wiesz więcej, niż mówisz. Nie ukrywaj przede mną prawdy, bo pożałujesz.

– To nie tak. – Dawid pokręcił głową. – Zrozum, panie. Nie popełniłem żadnego grzechu. Cysters nie żył. Pomyślałem: Wszystko mu jedno. I oddałem Miriam szaty. Jaki miałem wybór? Nie jestem odważnym człkiem. Groziła mi śmiercią.

Wytarł nos wierzchem dłoni.

– Zaprawdę, gorsi od zwierząt u Boga są ci, którzy odrzucili wiarę i nie wierzą – wyrecytował Chodyna. – Tym brak odwagi, aby postępować zgodnie ze słowami księgi.

– Co mówisz, panie?

– Nic. Mówiłem do siebie – odparł janczar.

Jeden z parobków przysłuchiwał się wszystkiemu z progu. Bartłomiej popukał się na widok mężczyzny w czoło. Krzywy uśmiech wykwitł na ustach najemnego.

– Mam pamięć do twarzy, rzecz konieczna w mojej profesji – oznajmił Dawid, zmieniając się na



twarzy. Zamiast zastraszonego, spoconego, tłustego szczura Chodyna na moment miał przed sobą dawnego, obrotnego człowieka interesu. Nie trwało to długo. – Od razu poznałem, z kim mam do czynienia. Ale nie chodzi o to, że wróciła. Z nią przyszło coś jeszcze. Mówię ci, panie. Ta kobieta to demon w kobiecej skórze. Istny sukkub. Zwodziła żołnierzy i nakłaniała ich do rozpusty. A teraz pewnikiem to samo czyni z duchownymi od Gotarda. Bo po cóż innego mieliby ją tam trzymać?

– Sukkub? Demonica?! – parsknął Chodyna. – Co ty opowiadasz, człowieku? Kto ci takich głupot do głowy nakładł? Mnie chodzi o fakty, nie jakieś bajki.

– Nikt mi nic nie nakładł! – Głos Żyda przeszedł w skrzek kojarzący się z odgłosem wydawanym przez przestraszone zwierzę. – Byli u mnie na krótko przed żołnierzami z Bydgoszczy ludzie naszego starosty, Jana Oporowskiego. Wzięli mnie na spytki. Mówili, że ktoś na życie pana starosty nastawał. Przy zamachowcu znaleziono jakieś żydowskie medaliony. Na początku podejrzenie padło na mnie. Ale to była ona! Cały czas! Ta żydowska sucz była wszystkiemu winna. Od samego początku.

– No, no. – Pogroził palcem. – Uważaj na język, Żydku!

– Wiem, co mówię! Ta kobieta jest zła!

– A ty jesteś pomyłony – rzucił Chodyna i skierował się do drzwi.

– Tak myślisz?! – zawołał Żyd. – To dlaczego odwiedziło mnie we śnie płonące żywym ogniem widmo?! Czemu powiedziało, że jak zdradzę, zginę w płomieniach?! Czemu kazało trzymać wszystko przygotowane na przyjście Miriam?! Nawet teraz słyszę głos złego.

Rozejrzał się po izbie. Komnatę wykrzywiały czerwone cienie.

– Tu nikogo poza nami nie ma – rzekł Chodyna, nie odrywając wzroku od obłąkanego Żyda. Poczł jednak lodowate ciarki.

– Ale ja go słyszę – pisnął przerażony karczmarz. – Przemawia do mnie. Słyszę słowa tam, gdzie inni jeno ogień słyszą.

– Bzdury.

Dawid nie słuchał.

– Tam ktoś jest – mruknął ochryple. Bartłomiej posłał mężczyźnie zjadliwy uśmiech.

– Przesłyszałeś się. Tam nic nie ma. Jesteśmy sami.

A jednak... I on usłyszał dobiegające z dachu skrzypienie i łoskot, zupełnie jakby nad belkami stropu przechadzały się podkute konie. Po chwili dołączył do tych odgłosów trzepot gigantycznych skrzydeł stukających o okiennicę.

Odgłos uderzeń wypełnił izbę. Okna posepnie zadrżały. Karczmarz odskoczył pod przeciwległą ścianę, na którą wypełzły wydłużone, szponiaste cienie.

Bartłomiej potrząsnął głową i omamy znikły, zastąpione odgłosem padającego deszczu. Pewnie

jakieś ptaszyska mają gniazda na poddaszu, pomyślał. Reszta była kwestią wyobraźni. Zerknął raz jeszcze w załamane oczy karczmarza, odbijające blask migoczącej świecy.

– To jakiś cholerny obłąd. Wszyscy macie nie po kolei w głowie. – Z tymi słowami odepchnął służącego i zniknął za progiem. – Sprawdzę tego twojego cystersa. A jeśli kłamiesz, wrócę tu. Lepiej tego zacznij się bać.

# Rozdział 3

Cmentarz, mijany przez trójkę jeźdźców, spowijał cień. Tylko wysokie drzewa, z których dobiegało krakanie dziesiątków wron, malowały już promienie wschodzącego słońca. Na ziemi słały się coraz dłuższe cienie. Sine, zmrożone przez poranną rosę liście połyskiwały w świetle pochodni niczym odłamki szkła. Wierzchowce głośno parskały. Blask szarpanych wiatrem pochodni wyolbrzymiał cienie rumaków i jeźdźców, oblewając nagrobki migotliwymi postaciami olbrzymich, rogatych maszkaronów. Jeden z jeźdźców rozejrzał się, jego oblicze skrywał kaptur. Długie opończe, odrzucone na masywne zady wierzchowców, przesiąkały marznącym deszczem. Pod płaszczami nieznajomi nosili kurty pokryte plamami rdzy i błota. Przy pasach brzęczały pochwy z mieczami.

Brat Onufry stał zgarbiony przy jednym z kruszejących krzyży i obserwował z ukrycia nieznajomych. Jeźdźcy pojawiali się jeden za drugim, aby po chwili zniknąć wśród gałęzi wybujałych drzew otaczających drewniany kościółek ze spadzistym dachem. Choć przejeżdżali blisko i od Onufrego dzielił przybyszów jedynie niewysoki, sięgający najwyżej do piersi murek cmentarza, nie dostrzegli zakonnika. Odziany w czarny habit grubawy mężczyzna z łatwością stapiał się z jednolitą czernią tła. Westchnął cichutko.

Obserwacja prędko znużyła mnicha. Oparł nogę na jakimś wyszczerbionym kamieniu i oddał się rozmyślaniom. Jego uwagę przykuły odgłosy kroków. Spojrzał w bok. W oknie kościoła dostrzegł światło. Bracia napalili już pewnie w kominku. Na śniadanie Onufry nie liczył. Z racji piątkowego postu musiał poczekać do wczesnego obiadu. Usłyszał przeciągłe burczenie w brzuchu. Dobrze, że nie odezwało się, gdy przejeżdżali nieznajomi. Mogliby je usłyszeć. A tego Onufry nie chciał.

Z okazji piątku na obiad pewnie będą śledzie albo, co najwyżej, ogon bobra. Wedle reguły zakonnej pozostawiający wiele do życzenia twardawy przysmak traktowano jako pokarm bezmięśny. Onufry więc dalej marzył o krupie porządnie okraszonej słoniną.

– Co taki brat zamyślony? – usłyszał, ale kiedy rozejrzał się dookoła, nikogo nie spostrzegł. Nie odpowiedział na zaczepkę. Postanowił zachować zimną krew, bez względu na to, z kim miał do czynienia.

– Ogłuchłeś, kapłanie? – rozległo się kolejne pytanie. Głos, który padał z ciemności, był jak świst wiatru błędzącego w przerwach między kamieniami. W tej samej chwili spostrzegł chwiejący się cień. Kształt błędził po kamieniach. Nieznajomy zbliżył się do benedyktyna kocimi ruchami. Na widok cienia mężczyzny Onufry poczuł na plecach ciarki.

Obcy zmierzył kapłana płonącymi oczami. Zakonnik odwrócił twarz.

– Nie, synu. Nie ogłuchłem. – Onufry uśmiechnął się z trudem. – Dobrze cię słyszę.

Czujne spojrzenie brata przebiło półmrok, który spowijał nieznajomego. Twardy wzrok przybysza

sprawił przerażające wrażenie.

– To czemu się tak gapisz? – mruknął obcy. Ściągnięte dotąd brwi uniosły się, sprawiając, że brodate oblicze mężczyzny złagodniało. – Ty się trzęsiesz! Jak osika. Boisz się mnie czy co?! Nie martw się. Nie jestem jednym z tamtych. Ci ludzie jedynie jechali za mną.

– Jechali za tobą?!

– A jakże. – Obcy kiwnął głową. Nad oczyma mężczyzny widniały czarne brwi. Porośnięta zarostem, po męsku zarysowana szczęka, z wyrazistym podbródkiem i drobnymi zębami dodawała smagłemu cygańskiemu obliczu ostrości. Włosy nieznanego były czarne jak węgiel. Opadały na jedno oko. Na siwym płaszczu nosił jaskrawożółty kaptur ozdobiony wycinanką.

Onufry cofnął się na widok brzydkiej blizny szpecącej policzek mężczyzny.

– Wiesz, kim są ci ludzie – zauważył.

Odpowiedziało mu kiwnięcie.

– Dwóch rozpoznałem. To parobcy z gospody – oznajmił zaskakująco swobodnie brunet. – Trzeciego nie znam.

Oczy mężczyzny mierzyły zakonnika. Przybysz coś żuł. Mnich ujrzał, jak w pewnej chwili mężczyzna się krzywi i nagle objedzoną kość wyrzucił precz za siebie, a następnie wytarł dłonie o kurtę. Okrążając Onufrego, poklepał przerażonego zakonnika po ramieniu.

– Bez obawy – rzekł. – Nic ci nie zrobią. Myślę, że chodzi im jeno o mnie.

– Skąd wiesz?

– Pewien jeździec śledził mnie od Bydgoszczy. Nie sądzę, aby miał związek z tymi bałwanami z gospody, ale przecie nigdy nic nie wiadomo...

– Smacznego – mruknął Onufry, wodząc wzrokiem za przybyszem.

– Dziękuję – odparł mężczyzna, mlaskając. – Choć jadałem w życiu lepszego koguta. Mięso niedogotowane i twarde jak podeszwa. Nic dziwnego, że Żydek nie ma klienteli.

– Mowa o Dawidzie. – Onufry kiwnął głową.

– A o kimże innym? – burknął przybysz, przełykając głośno. – A tak w ogóle to mam do braci sprawę.

– Do nas? – Na czole benedyktyna pojawiły się zmarszczki.

– Muszę pomówić z jednym z braci. Młodym cystersiem, przebywającym w waszym przytułku od zimy. Bardzo urodziwy chłopak, zdaje się, że z Koronowa.

Dostrzegł, jak nalana twarz duchownego tężeje, a wyraz oczu twardnieje.

– Nikogo takiego nie ma w szpitalu – wychrypiał bez przekonania zakonnik, odwracając wzrok. – Ktoś ci źle powiedział, panie.

– Nie drwij ze mnie – ostrzegł mężczyzna. – Muszę pomówić z cystersem. Jego siostra ma poważne kłopoty. Zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Tylko on może mi pomóc odnaleźć Sarę. Nie mam czasu na zabawy. Już może być za późno.

– Za późno?

– Tak. Ale z drugiej strony, jak powiadają mędracy, człowiek żyjący bez nadziei nie różni się niczym od zwierzęcia.

– Mateusz ma więc siostrę? – nie potrafił ukryć zaciekawienia Onufry. – Nie sądziłem...

– Wiem, że nie. Obchodzą was jeno wasze zdrowaśki. – Przybysz obdarzył zakonnika zagadkowym uśmiechem. Nie był pewny, ile może powiedzieć mnichowi. Z drugiej strony zawsze był zdania, że najlepiej w takich sytuacjach mówić prawdę. Snuł więc swoją historię, zmieniając tylko odrobinę fakty.

– A jednak Mateusz ma siostrę – rzucił, jakby od niechcienia. – Sara jest mi bardzo droga. Od kilku lat usiłowała odnaleźć brata. Niestety, bez powodzenia. A ostatnio wpadła przez swoje poszukiwania w poważne kłopoty. Myślę, że została porwana. Tylko Mateusz pomoże mi znaleźć dziewczynę.

– Jak to?! – Ciekawość brała górę nad ostrożnością, ba! nawet nad instynktem samozachowawczym grubego benedyktyna.

– Rozdzielono ich w dzieciństwie – oznajmił mężczyzna. – Niestety, pech chciał, że dopiero po zniknięciu Sary dowiedziałem się, gdzie przebywa jej brat. Całkiem przypadkiem podsłuchałem rozmowę dwóch żołnierzy w bydgoskiej karczmie. Rozprawiali o swoim pobycie w Kruszwicy. Mówili wiele ciekawych rzeczy. Łąca się tu podobno krew ostatniej zimy. To prawda? Były dwa trupy, czyż nie?

– Myślę, że ci żołnierze byli pijani. Oto, co o tym myślę. – Onufry się skrzywił. Nieznajomy posłał mu w odpowiedzi leniwy uśmiech. Nie wierzył w prawdomówność zakonnika.

– Ci dwaj żołnierze byli w Kruszwicy tej zimy. Na rozkaz bydgoskiego starosty. I dobrze o tym wiesz. Mówili prawdę, mnichu. Byli pijani, prawda. Ale to nie ma znaczenia. Po prostu trunek rozwiązał im języki. Na trzeźwo nie ośmieliliby się rozmawiać głośno o tych wydarzeniach.

– Czego ty od nas chcesz?! – pisnął Onufry. Jego twarz stała się tak blada, że w swoim czarnym habicie wyglądał niczym trup. Woskowa biel policzków kontrastowała z zażawionymi, błękitnymi oczami.

– Zniknięcie Sary musi mieć związek z jej bratem. Trop wiedzie tutaj.

Czarnowłosa zbliżył się do zakonnika. Zawisł nad grubym mężczyzną. Zgarbił się i oparł rękę o ramię jednego z krzyży. W dłoni ścisnął brązowe, szerokie poły rękawic.

– Zaprowadzisz mnie do brata – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Onufry skwapliwie pokiwał głową. Drżał na widok przybysza. W tej samej chwili oczy nieznajomego zaczęły za czymś wodzić, rozbiegane i czujne. Obserwował wnikliwie otoczenie.

– Nie jesteśmy tu sami – wysyczał. Odrzucił na ramię płaszcz, odsłaniając czarne, podróżne odzienie. Sięgające powyżej kolan buty mężczyzny pojaśniały od starości i kurzu. Onufry zwrócił uwagę na połyskującą powierzchnię kaftana. Dla niewprawionego oka jopulę ozdabiały ćwieki i kółka. Zakonnik pojął jednak, że nie są to żadne ozdóbki.

Nieznajomy chwycił coś lśniącego między zęby. Kątem oka obserwował, jak Onufry się wzdryga i cofa na bezpieczną odległość. Widząc wyraz twarzy benedyktyna, mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Kogo my tu mamy?! – wykrzyknął donośnie nieznany, ochryply głos. Zza nagrobka wyszedł mężczyzna w kapturze zadymowym. W opuszczonej dłoni trzymał topór. – To ten?

Pytając, spojrzał wymownie na boki. Stali tam dwaj parobkowie Dawida. Jeden pokiwał głową, drugi odpowiedział.

– Ten sam – rzucił. – Nazywa się Bartek Chodyna. Wypytywał o dziewczkę.

– Nie szukam kłopotów. – Bartłomiej wyciągnął ręce w obronnym geście. Wzrost mężczyzny z toporem był imponujący, podobnie rozmiar buta i masywne barki. Zbrojni spojrzeli po sobie, a następnie w kierunku zagadkowej, ciemnej twarzy przybysza, na której perlił się zimny pot.

– To nie ma znaczenia – burknął jeden z parobków. – Kłopoty właśnie znalazły ciebie.

– Czego ode mnie chcecie? I czego chcecie od Miriam? – zapytał janczar.

Onufry nic już nie rozumiał. Na wszelki wypadek wołał się jednak wycofać.

– Jakiej Miriam?! – zapytał.

– Dosyć gadania! – burknął mężczyzna, którego Chodyna zapamiętał jako Janka. – Dalej, Każko. Kazano nam pozbyć się wszystkich świadków.

Większy mężczyzna pokiwał znacząco ukrytą w kapturze głową.

Niebo rozcięła błyskawica. W oddali odpowiedział jej pomruk przypominający odgłos wydawany przez niedźwiedzia. Chodyna rozejrzał się po pustym cmentarzu z niepokojem. Uniósł lewą brew. Rzucił okiem na bramę oraz dzwon kościoła Świętego Gotarda, wyrastający ponad koronami drzew.

Dostrzegł w ręku parobka lekką kuszę.

– Ani drgnij, panie Chodyna – rzucił ten, a potem zawołał do wielkoluda. – Każko, rób swoje!

– Ciekawe, kto komu teraz obije mordę – zauważył drugi służący, zrywając z głowy kaptur.

– Ty także, braciszku. – Kusznik spostrzegł Onufrego. – Zostań tam, gdzie stoisz.

Ręka Bartłomieja wystrzeliła do przodu. Kusznik drgnął. Jednak zanim rozległ się świst zwalnianej cięciwy, mężczyzna legł na ziemi, chwytając się oburącz za gardło. Z przeciętej tętnicy szyjnej buchnęła czarna krew, zalewając kaptur. Bartłomiej minął rannego i lekkim krokiem ruszył na pozostałych, którzy cofali się przed nim z błędnym wzrokiem. Napięta twarz nieznajomego nie wyrażała uczuć, lecz ukryta pod zniszczonym płaszczem dłoń przesunęła się w kierunku pasa. Cichy szmer trącej o pochwę stali

rozległ się w ciemności. Wydobył sztylet. Z buta wyszarpnął lewak.

– Już jesteś martwy – zauważył wielkolud, chwytając stylisko topora w obie ręce. – Te kawałki stali nic ci nie pomogą.

Chodyna udął wypad, a potem wyprostował się i uśmiechnął w sposób iście diabelski. Stojący jeszcze na nogach parobek zadrżał i cofnął się, obrzucając spojrzeniem wykrwawiającego się w tej samej chwili kamrata. Bartłomiej ruszył do ataku niczym do tańca. Na cmentarny mur wpełzły wyolbrzymione, harujące cienie, chwiejące się w takt kroków walczących.

– Każko! – zawołał panicznym głosem sługa. – Bierz tego bękarta!

Każko runął na ofiarę. Zawisł nad Chodyną i zamachnął się gwałtownie. Zaśmiał się tak dziko i ochryple, aż zmroziło to krew w żyłach Onufrego. Bartek umknął przed ciosem. Nim olbrzym zdołał zareagować, znalazł się przy nim. Ciął szeroko nożami. Krew bryznęła długim pasem na kaptur Bartłomieja. Z rozciętego przedramienia lała się posoka. Wielkolud wypuścił topór. Żeleźce z głuchym łoskotem uderzyło w mogiłę. Chodyna przystąpił bliżej ofiary, po czym dotknął masywnego karku ostrzami noży. Wtem mężczyzna chwycił go jedną ręką za szyję. Tego się janczar nie spodziewał. Zerknął zaskoczony w wyłupiaste oczy wroga, spozierające po obu stronach spłaszczonego nosa. Błyszczały obłędem i choć nogi mężczyzny uginały się pod ciężarem zwalistego ciała, oprych dalej toczył walkę. Druga ręka opadła do boku, zupełnie bezwładna i zbryzgana posoką, lecz zbir nie zamierzał się poddawać. Przed oczami Chodyny migotały już złotawe plamki. Krew uderzyła mu do głowy. Zamaszystym ruchem rozłożył szeroko ramiona. Wielkolud zakręcił się na pięcie po raz ostatni. Struga krwi chlusnęła na murek. Po chwili głowa mężczyzny z głośnym hukiem uderzyła o nagrobek. Momentalnie na trawie zaczęła się tworzyć purpurowa kałuża.

– Panie, oszczędź! – Parobek odskoczył, choć jednocześnie wyszarpnął miecz z pochwy. Zawadził jednak o jeden z krzyży i padł jak długi.

– Sami mówiliście. Żadnych świadków – odparł lodowato Chodyna. Uśmiechnął się. Oddychał płytko i z lekkim poświstem. – Co to, Janko? Nagle zmieniłeś zdanie?!

– Poczekaj! – wrzasnął najemny, widząc zbliżającego się Bartłomieja. – Powiem wszystko! Powiem, kto nas nasłał!

– A co mnie to obchodzi? – Chodyna wzruszył ramionami. – Oporowski czy kto inny, dla mnie bez różnicy. Choćby was wysłał sam Wszechmogący, to i tak nie ma dla mnie znaczenia. A ty pleciesz te bzdury jedynie po to, aby wydłużyć swoje marne, nic niewarte życie. Co i tak ci się nie uda. Jesteś robakiem, Janko. A ja już od małego uwielbiałem deptać robaki.

– Stój! Nie rozumiesz?! Oporowski nie bez powodu kazał obserwować Dawida! – Parobek odczołgał się pod sam mur. – Podejrzewał, że stary Żyd jest z Miriam w zмовie. Oporowski za tym wszystkim stoi. To znacznie grubsza sprawa, niż ci się zdaje! Jest jeszcze Kościelecki! Ale to nie

wszystko!

Bartek stanął w miejscu.

– No? Więc? Słucham – oznajmił znudzonym głosem. – Co jeszcze masz do powiedzenia? Co to za grubsza sprawa?

– Ja... To znaczy... – Widać było, że biedak usiłuje coś naprędce zmyślić. Nawet jeśli coś wiedział, to za mało, aby sklecić z tego sensowną całość. Biedny idiota.

– Tak właśnie myślałem – odparł Chodyna.

– Nie dostaniesz mnie! – wykrzyknął parobek. Zamarkował cięcie. Bartłomiej szybko cofnął się, po czym wbił ostrze sztyletu pod brodę ofiary. Kopnął miecz podrygujący w drżącej ręce umierającego, a następnie wyrwał nóż. Krew bryznęła na skrzywioną twarz zabójcy. Ofiara runęła na kolana. Chodyna jak gdyby nigdy nic odwrócił się do benedyktyna. Z krwiożerczym uśmiechem na ustach wyglądał jak ucieleśnienie śmierci.

– Bronilem się – zauważył z tym samym uśmiechem, oczyszczając ostrza w piasku. Z brody zabójcy kapąła krew. Chodyna czuł to samo przyjemne mrowienie co zawsze, gdy używał swoich sztyletów. Krew pulsowała raźniej. Gorąco ogarniało pachy i kark Bartka. – Sam widziałeś. Jeśli zaczniesz rozpowiadać coś innego, odnajdę cię. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

– Kim... Kim ty jesteś?! – Zakonnik dał krok do tyłu. Nogi miał jak z waty, jakby sam był ranny. – Na litość boską... Tyle krwi...

– Będzie więcej, jeśli szybko nie wywiozę stąd Miriam. Inkaust uczonego i krew męczennika mają w niebie tę samą wartość, czyż nie? A teraz nie każ mi czekać. Prowadź. Muszę jeszcze pozbyć się zwłok, zanim zaczną śmierdzieć.

Spojrzenia obu mężczyzn spotkały się.

– Chyba że wolisz spytać Janka, czy stał po właściwej stronie. Prędko mogę cię zabrać tam, dokąd on się udał. I tak wszystkich was to czeka, jeśli Oporowski się dowie, kogo ukrywacie.

Tłuste podbródki Onufrego zadygotały jak galareta. Pokręcił znacząco głową.

– Niezmiernie mnie to cieszy – przyznał janczar. – Chodź. Zostawiłem konia z tyłu kościoła, przy drodze.

Znaleźli ciska w miejscu, o którym mówił Chodyna. Ściana szpitala stykała się w tym miejscu z cmentarzem, przez co mur się załamywał. Od strony sąsiadującej ze świątynią wschodniej przeprawy przez Gopło wionął charakterystyczny, metaliczny odór, niesiony przez chłodny wiatr. Chodyna wręczył benedyktynowi uzdę ciska. Zakonnik przez moment się zawahał. W końcu wziął wodze.

– Jesteś stanowczo przeczulony – wyszeptał Bartłomiej. – Gdybym chciał, już byś był po drugiej stronie. No już, nie bój się.



– Myślisz, że się boję, psiakrew?! – wychrypiał zakonnik.

– Nie klnij. Nie wypada braciszkowi.

Słowom janczara odpowiedziała jasna błyskawica. W jej świetle twarz Chodyny przemieniła się w wyszczerzoną nagą czaszkę.

Dudnienie stukających o ziemię kopyt zagłuszył grom.

# Rozdział 4

## Wyspa Młyńska, Bydgoszcz

Smród dolatujący z pobliskiej farbiarni był trudny do wytrzymania. Mimo że pan Andrzej rozkazał zaciągnąć na okiennice grube zasłony, nie powstrzymało to fetoru. Zapach docierał do izby przez rozległe Międzywodzie rozdzielające dwie części Wyspy Młyńskiej. Nieprzyjemnemu zapachowi towarzyszyła woń butwiejących ścian pokrytych przez liszaj grzybów. Kościelecki miał ochotę przytknąć chustkę do nosa. W prawej ręce dzierżył modlitewnik, który kupił od Żyda Lewina, właściciela kamienicy. Pod tym oto nazwiskiem ukrywał się przestępca znany w Bydgoszczy jako Diabeł Węgliszek. Węgliszek czerpał zyski z wielu podejrzanych interesów i w ciągu ostatnich sześciu lat stał się kimś w rodzaju miejscowego księcia złodziei. Dla straży nietykalny, przestępca rozwinął swoje interesy, doprowadzając do ruiny konkurencję. Wszystkie zamtuzy, gospody i cały przemysł były w mniejszym lub większym stopniu kontrolowane przez Węgliszka. Z Kościeleckim łączyła Diabła niepisana umowa, dzięki której przestępca kontrolował półświatek Bydgoszczy.

A wszystko zaczęło się sześć lat temu, gdy Węgliszek trafił do ciemnicy wskutek śledztwa przeprowadzonego przez ówczesnego hutmana<sup>12</sup> i kapitana straży Karola Plotzlicha. Przy Diablu znaleziono ewangeliarz zrabowany z karmelickiego kościoła.

Węgliszek w ogóle nie miał pojęcia, co wpadło mu w ręce. Stary dureń. Modlitewnik Warnieńczyka, dobre sobie! Choć młody Władysław był właścicielem książeczki, napisano ją dla kogoś zupełnie innego. Władysław Jagiełło wiedział, na czym polega istota magii. Nie traktował jej jak zabawy. Miał do tych spraw należny im szacunek i cześć. Ewangeliarz miał długą i zawiłą historię. Jego autorem był niejaki Nicolaus Hinczonis de Casimir, przyjaciel astrologa Władysława Jagiełły, Henryka Czecha. Pierwotnie napisany dla Jagiełły, dostał się do rąk jego potomka, Władysława Warnieńczyka. Ale nie dla niego został napisany, o nie.

Kamienica, którą wynajmował incognito Kościelecki, mieściła się w zachodniej części wyspy w otoczeniu uroczych, założonych przez mieszczańskie rody ogrodów. Urządzona po spartańsku, z odpadającym od ścian tynkiem, spod którego wyzierała nadgniła słoma i pogryzione przez robactwo belki, izba sprawiała przerażające wrażenie. Na ścianach żerowały pająki, na podłogach szczury. Nie pomógł przywleczony przez Lewina olbrzymi rudy kocur. Zwierzę wolało wygrzewać się na niedającym prawie ciepła kominie, niż uganiać za gryzoniami.

Kamienicę postawiono w tej części Okola, gdzie rzadko ktokolwiek się kręcił, co sprzyjało planom starosty. Przyjeżdżał tu od miesiąca w każdej wolnej chwili. Oczywiście wymawiał się sprawami administracyjnymi.

Bydgoszcz w dużej mierze utrzymywała się z handlu towarami, które płynęły wodami Brdy właśnie przy wyspie, nazywanej przez niektórych Królewską, przez innych znów Okolem lub po prostu Wyspą Młyńską. Zatwierdzony przez Kościeleckiego cech szyprów bydgoskich był pierwszym na terenie Rzeczypospolitej i znacznie wyprzedzał powstałe w innych miastach. Rozbudowa wyspy również była pomysłem pana Andrzeja. Miała wspomóc handel zbożem i suknom prowadzony z Pomorzem. W miejscu, gdzie Międzywodzie łączyło się z rzeką Młynówką, mieściły się należące do Kościeleckiego młyny królewskie. Ogromne, napędzane pięcioma kołami młyny i tartak stanowiły źródło niemałego dochodu. Andrzej miał także udział w profitach pochodzących z młynów słodowych i foluszy<sup>13</sup> sukienniczych i szewskich. Jego ludzie pobierali haracz od właściciela pobliskiej łaźni miejskiej. Praktycznie każdy interes prowadzony na wyspie był w jakiś sposób wykorzystywany przez starostę.

Lecz to, co przyciągało Kościeleckiego naprawdę, nie miało związku z handlem czy zarządzaniem miastem.

Andrzej zmówił krótką modlitwę, w której powierzał się pieczy Matki Boskiej. Szeptem wyrecytował *Stabat Mater*. Twarde deski lichej podłogi odcisnęły ślady na chudych kolanach starosty. Przygotowywał się od samego rana. Spowiedzi, potrzebnej przez dokonaniem rytuału, dokonał w Farze. Spowiadał go młody kanonik z Fordonu, starosta nie zapamiętał nawet jego imienia.

Czas na kolejną modlitwę. Ta miała polski rodowód. Choć Andrzej nie był dokładnie pewny, skąd pochodziła.

*Chryste, najwyższa mocy Boga, majestacie niepodzielny w jedności, całą treścią modlitwy mojej wzywam imienia Twojego świętego: wysłuchaj mnie, gdy serce moje płonie żądzą wiedzy. Wejrzyj Panie na me błagania i zlej na mnie Wiedzę, owoce Twe Chleba i Wina z właściwą hojnością rozdaj; przed Tobą uchylam karku, przed Tobą upadam na kolana, Ciebie wyznaję Panem Bogiem, żeś jest jeden w Trójcy Świętej; złam Panie moc nieprzyjaciół naprzeciw mnie, wybaw mnie od niebezpieczeństw, chroń mnie we wszelkich sprawach i oskarżeniach, broń mnie chorego i złożonego niemocą, i pozwól, by to, czego dopełnić nie mogłem, było jakby dopełnione.*

Westchnął, trąc kolanami i prawie rozmazując kredę, którą wyrysował oznaczony hebrajskimi literami i cyframi pentakl. W jego wnętrzu leżał kubicznego kształtu kryształ przypominający liść koniczyny. Poprawił zapinany na kilka guzików, sięgający do połowy uda płaszcz na kole i przyglądał długą, staromodną tunikę z czerwonego sukna. Zerknął kątem oka na tekst, przypominając sobie początek modlitwy wzywającej Anioła Stróża. Z kart ewangeliarza spozierał przedstawiony na miniaturze młody człowiek o wydatnym, garbatym nosie. Na głowie nosił koronę, w ręku berło i tarczę przy boku, ze srebrnym orłem w koronie na czerwonym polu.

Rycina odwróciła uwagę Kościeleckiego od tekstu. Lecz tylko na moment.

*Angelus Domini nuntiavit Mariae.*

*Et concepit de Spiritu Sancto.*

*Ave, Maria, gratia plena...*

*Ecce ancilla Domini,*

*Fiat mihi secundum verbum tuum.*

*Ave, Maria, gratia plena...*

*Et Verbum caro factum est,*

*Et habitavit in nobis.*

*Ave, Maria, gratia plena...*

*Ora pro nobis, sancta Dei Genetrix,*

*Ut digni efficiamur promissionibus Christi.*

*Oremus. Gratiam tuam, quaesumus, Domine, mentibus nostris infunde; ut qui, Angelo nuntiante, Christi Filii tui incarnationem cognovimus, per passionem eius et crucem ad resurrectionis gloriam perducamur. Per eundem Christum Dominum nostrum.*

Wyryte na sześciu płaszczyznach kryształu święte imiona Boga zaśniły delikatną poświatą. Po kilku chwilach jednak blask rozmył się i przygasł.

– Agla, Sabaoth, Tetragammaton, Emanuel, Messias – wymruczał starosta, powtarzając słowa wyryte na szóstce. Z oczu mężczyzny bił niezdrowy blask. Poczłł osobliwy pęd powietrza. Po chwili i on ustał.

Kościelecki zaklął cichutko przez zaciśnięte wargi. Modlitwy były załedwie wstępem do tego, aby Matka Boska i Chrystus przysłali świętych aniołów: Michała, Gabriela, Rafaela i Hariela. Lecz jeśli na wczesnym etapie tak niewiele się działo, Kościelecki nie mógł liczyć na więcej. Musi mieć Miriam, czy raczej to, co w niej tkwi, aby sprawa się powiodła. Potrzebuje Hariela, jednego z chóru cherubów. Wstawiennictwo Hariela ześle na starostę łaskę pozostałej trójki aniołów wymienionych w rytuale. Gdy Miriam będzie na miejscu, w kryształach pojawią się wizje przyszłości. Andrzej osiągnie swój cel. Pozna losy Korony. I wykorzysta je z korzyścią dla siebie.

Jest tylko jeden szkopuł. Miriam musi przystąpić do rytuału dobrowolnie...

Andrzej dowiedział się, że młody cysters z Koronowa, Mateusz, został opętany przez tajemniczego anioła, Hariela. Tego samego, który występował w ewangeliarzu jako anioł przynoszący krystalomancie oświecenie i zsyłający na maga wizje przyszłości. Po śmierci Mateusza ta sama siła weszła w Alfreda Ostenwalda, byłego papieskiego legata i zawziętego świętoszka. Wskazywały na to relacje siepaczy,

których starosta wysłał do celi Niemca, aby uciszeli niewygodnego świadka. Mężczyźni wrócili stamtąd bladzi, przerażeni i w nadpalonych szatach. Twierdzili, że Alfred rozmawiał z nimi nieswoim głosem i w obcych językach, groził im, a potem samą siłą woli sprawił, że ich szaty stanęły w ogniu.

Po śmierci Ostenwalda, zastrzelonego przez ludzi bydgoskiego starosty, Hariel opętał Miriam. Piotr z Barcina, rycerz na usługach Jana z Oporowa, opowiadał Andrzejowi, jak podczas próby pojmania Żydówki doszło do osobliwego zdarzenia, bardzo przypominającego relację z więzienia. Wyjaśnienia szlachcica były jednak tak mgliste i bełkotliwe, że bydgoski starosta nic z nich nie rozumiał. Poza tym, że Piotr z Barcina był idiotą i tchórzem, który wypuścił z rąk cenną zdobycz, a teraz usiłował odmalować się w zupełnie innych barwach.

Miejmy nadzieję, że Wrona, tajemniczy człowiek Piotra z Zagajewic, nie zawiedzie. Gdyby żył Carolus, Kościelecki posłałby do Kruszwicy Karola Plotzicha. Lecz Krzyżak zginął tej samej nocy, gdy Alfred Ostenwald uciekł z celi. W okolicznościach cokolwiek dziwnych, spadł bowiem z konia, na którym krążył po Kruszwicy w środku nocy, do tego w pełnej płytowej zbroi. Czego lub kogo szukał, już się Kościelecki nigdy nie dowie. Szkoda. Plotzich był, jaki był, ani zły, ani dobry, ale przynajmniej trzymał porządek w mieście. Bez Carolusa miasto się sypie.

Nawet dzwony, uderzające na wieży pobliskiego kościoła, wydały się staroście posepnie żałobne. Szybko zresztą ich dźwięk przebrzmiał.

\*\*\*

Koronowo

*Śmierć zapewnia nam równość w prawach*

*Śmierć sprawiedliwość przynosi we wszystkich sprawach*

*Śmierć uczciwie osądza dobre i złe czyny*

*Śmierć mści się na grzesznych, dostrzega ich winy.*

*Śmierć dumnych strąca i winnych każe*

*Śmierć prawdę i jasność wszystkim nam ukáže.*

Przebrzmiały ostatnie wersy wiersza Helinanda z Froidmont, francuskiego trubadura i arystokraty, który porzucił życie w przepychu, aby wstąpić do zakonu cystersów. Głos brata Anzelma, który dokonał przekładu z francuskiego, załamywał się raz po raz. Pozostali bracia spuścili nisko głowy, wpatrując się w zdobiące ich piersi czarne szkaplerze<sup>14</sup>, to znów w spowite całunem ciało konfratra.

Pomiędzy braćmi stał Mikołaj. Ogoloną do gołej skóry głowę zakonnika urozmaicała blizna na tyle przerażająca, że każdy, kto patrzył mu w oczy, mimowolnie się wzdrygał. Fałd skórny wydawał się

pokrywać gołą czaszkę. Z nijakiej twarzy spoglądało tylko jedno zmrużone oko. Zamiast drugiego ziała okropna, czerwona blizna. Mężczyźni wydali złowróżbny pomruk. Ciało brata Marcina znaleziono pod oknem wychodzącym z celi na wirydarz<sup>15</sup>. Opat nie był do końca pewny, jak potraktować tę śmierć. Okoliczności wskazywały na samobójstwo. Po klasztorze nie kręcił się nikt obcy. Nie zauważono jednak żadnego osobliwego zachowania podstarzałego zakonnika. Zawsze chętny, aby otworzyć serce przed współbraćmi lub wysłuchać tego, co ciążyło innym, Marcin był lubiany wśród konfratrów. Nie zrobił się nagle małomówny, nie sprawiał wrażenie bojaźliwego czy przejętego czymkolwiek. Nie był też chory, choć wielu w jego wieku cierpiałoby zarówno na ciele, jak i duchu.

No i w tym samym czasie zniknęły z biblioteki dokumenty dotyczące procesu Katarzyny Kucharczykowej, w którym brat Marcin uczestniczył.

Mimo protestów brata Bogumiła, który uważał, że do wyjaśnienia okoliczności dziwnej śmierci powinno się przyjąć scenariusz z samobójstwem, jako najbardziej prawdopodobny, opat Pankracy podjął decyzję o pochówku.

Ranek przed pogrzebem brata Marcina był niezwykle pogodny. Za sprawą słów opata zakonnicy nie rozpowiedzieli o zgonie Marcina, aby uniknąć plotek na temat dziwnych okoliczności śmierci. Na cmentarzu przy kościele zgromadzili się wyłącznie bracia cystersi. Smutne, szare twarze wзираły z nad odświętnych kukulli<sup>16</sup>. Lecz oprócz żałoby, skromnej uroczystości pogrzebowej towarzyszył także strach. Melancholijna fantazja Anzelma ubrała śmierć Marcina w pozę makabrycznej świętości. Nie ulegało wątpliwości, że od pewnego czasu w koronowskim klasztorze działy się osobliwe rzeczy. Nikt nawet szeptem nie chciał o tym wspominać, lecz brat Mikołaj, świadek wydarzeń, dobrze wiedział, że myślą na ten temat wszyscy. I podświadomie winią właśnie jego, Mikołaja Nieciszewskiego, za wszystkie wypadki.

Wszystko zaczęło się wiele lat wcześniej wraz ze sprowadzeniem do klasztoru młodego Mateusza. Bracia podejrzewali, że jest to nieślubny syn jakiegoś możnego pana, może samego Jagiellona, i że został w Koronowie ukryty jedynie na krótki czas. Do siódmego roku życia Mateusza wychowywały wiejskie mamki, potem chłopca sprowadzono z powrotem do opactwa. Miał w tym udział brat Mikołaja, Bartłomiej Nieciszewski, podstarości bydgoski i pomocnik Andrzeja Kościeleckiego, dworzanina Jana Olbrachta. Z tajnych rozmów, które Bartłomiej Nieciszewski prowadził z ówczesnym opatem, Wiesławem, a które podsłuchiwał brat Zygmunt, sekretarz opata, można było wywnioskować, że komuś bardzo zależy na zachowaniu tajemnicy.

Chłopiec pozostał w klasztorze przez kilka następnych lat. Gdy dorósł, przyjął wstępne święcenia. Już jako nowicjusz ujawnił swój wielki talent plastyczny. Ozdobił freskami część krypt w kościele Wniebowstąpienia. Malowidła okazały się jednak na tyle bluźniercze, że opat Wiesław rozkazał je usunąć. Podobnie stało się z pracami wykonanymi w jednej z kaplic tego samego kościoła. Opata

zaniepokoiły również sny, które trapiły młodzieńca, a z których zwierzył się Wiesławowi podczas spowiedzi. Z czasem zaczęto unikać młodego nowicjusza. Zakonnicy podejrzewali opętanie.

Zimą tego roku Mateusz zniknął wraz ze szkatułą zawierającą skromne ofiary mające posłużyć renowacji ołtarza głównego. Niecały miesiąc po zniknięciu do nowego opata doszły alarmujące wieści na temat napadu, którego dopuścił się Mateusz w Bydgoszczy, na strażnika miejskiego. Niedługo później nadszedł kolejny list. Okazało się, że wkrótce po dokonaniu haniebnego czynu Mateusz sam padł ofiarą morderstwa.

Nowy opat Pankracy, pochodzący ze Szpetala koło Włocławka, nic nie wiedział o tajemnicach opactwa w Koronowie. Po śmierci brata Marcina zaczął wypytywać. Przy okazji wyszło na jaw, że w rozmowach Bartłomieja Nieciszewskiego z opatem Wiesławem uczestniczył także świętej pamięci brat Marcin. Błóżniercze w wymowie pogłoski na temat matki Mateusza, sądzonej i skazanej w Bydgoszczy czarownicy Katarzyny, wydawały się potwierdzać zgromadzone w bibliotece klasztoru dokumenty z procesu. Teraz wszystkie w tajemniczy sposób zniknęły.

Wiele rzeczy wymagało wyjaśnienia. Jak choćby zagadkowa śmierć brata Marcina.

Brat Mikołaj się zadumał. Wymacał dłonią zgrubiałą szramę biegnącą na krzyż przez oko. Blizna, którą nosił od dnia urodzin, była obrzmiała i twarda. Nigdy nie zasłaniał ziejącej w oczodole dziury. Uważał, że w ten sposób przypominał innym, ile Bóg dał im w posiadanie. Dziś doszedł jednak do innego wniosku. Wszyscy są równi w obliczu śmierci. Rozejrzył się. Z twarzy innych zakonników nie schodził pełen kontemplacji wyraz. Palce splekli razem. Uroczystość wydawała się nie mieć końca. W uszy Mikołaja znowu uderzył wysoki, nabożny śpiew.

*Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw,  
mieszkańcy chwały wszyscy święci Boży;  
Z obłoków jasných zejździe aniołowie,  
Z rzeszą zbawionych spieszcie na spotkanie.*

*Anielski orszak niech twą duszę przyjmie,  
Uniesie z ziemi ku wyżynom nieba,  
A pieśń zbawionych niech ją zaprowadzi,  
Aż przed oblicze Boga Najwyższego.*

*Niech cię przygarnie Chrystus uwielbiony,  
On wezwał ciebie do królestwa światła.  
Niech na spotkanie w progach Ojca domu  
Po ciebie wyjdzie litościwa Matka.*

– Nie powinniście się mieszać. Żaden z was nie powinien – usłyszał wypowiedziany wprost do ucha, pełen natężenia szept. Obrócił się, lecz ujrzał jedynie fragment kościstej szczęki pokrytej przez rzadki, siwy zarost oraz kanciasty kaptur przesłaniający twarz mężczyzny. Nie przypominał sobie, żeby któryś z braci nosił siwy zarost. Poczuł piekące ukłucie w boku i kolejne w okolicach brzucha, tuż pod żebrem. Tajemniczy brat podtrzymał go, zadając następne pchnięcie. Mikołaj westchnął, odnosząc wrażenie, jakby uchodziło zeń powietrze. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Napotkał nienawistny wzrok swojego zabójcy. Wrzasnął, a wkoło zakotłowały się habity. Dziesiątki par rąk wyciągnęły się, żeby przytrzymać mdlejącego. Ich palce zacisnęły się na szacie Mikołaja niczym szpony. Usiłował dostrzec narzędzie, którym zadano cios, lecz najwyraźniej zostało ukryte przez zamachowca w rękawie albo fałdach szaty.

– Na litość boską! Co mu jest?! – krzyknął któryś z mnichów.

– Zasłabł chyba – odezwał się inny głos.

Mikołaj dostrzegł, jak jeden z zakonników, zamiast nieść pomoc, usuwa się, oddala, cofając się, z kapturem nisko opuszczonym na czoło. Nieznajomy wszedł w cień rozłożystych drzew. Mikołaj usiłował krzyknąć, wskazać pozostałym mordercę. Lecz w tej samej chwili opat wzniósł ręce tak, aby wszyscy zobaczyli krew, która splamiła wnętrza dłoni.

– Panno przenajświętsza! – wykrzyknął, na co pozostali zakonnicy całkiem zasłonili Mikołaja, dusząc rannego zapachem spoconych ciał i cuchnących jak piżmo habitów. Ktoś zapłakał, ktoś inny osunął się na kolana. Reszta wykrzyknęła. Ostatnim obrazem, nim ciemności całkiem zawarły się nad umierającym cystersem, były oblicza współbraci. Wykrzywione, pełne cierpienia rysy, zgarbione sylwetki i wytrzeszczone oczy. Przypominali wizerunki cierpiących piekielne katusze z obrazów Hieronima Boscha. Lecz w tej ostatniej chwili Nieciszewski zrozumiał, że jeśli ktokolwiek uda się dziś do piekła, to właśnie on.



# Rozdział 5

## Szpital Świętego Gotarda, Kruszwica

Bartłomiej Chodyna rozglądał się, próbując zebrać myśli. Co tu właściwie robię, pytał sam siebie. Pachnące kadzidłem i woskiem wewnątrz kościoła sprzyjało refleksjom. Może nawet to ono je wywołało.

Potrząsnął głową, wyrывая się z zamyślenia. Stał naprzeciw kruchty kościoła, do którego tylnej ściany, obok dzwonnicy, przylegał budynek szpitala, przypominający kształtem nakrytą dwuspadowym dachem stodołę. Murek otaczający budynek zarosły mchy tak gęste, że kamienie znikły pod ich bujną zielenią. Weszli wraz z milczącym, roztrzęsionym zakonnikiem do środka. Wnętrze pełne było ciemności i echa. Bartłomiej poczuł intensywny zapach łożowych świec. Na drewnianym klepisku kładły się dzikie, roztańczone w ogniu cienie dwójki maszerujących.

– Gdzie są wszyscy? – Chodyna zwrócił się do Onufrego. Zmierzył mężczyznę wzrokiem, unosząc brew. Spozierał na toczony ciemnością korpus kościoła ze zdziwieniem pomieszanim ze zgrozą. Nie lubił chrześcijańskich świątyń. To całe gadanie o odkupywaniu grzechów i modlenie się do ukrzyżowanej postaci nie mieściło mu się w głowie. Islam był pod tym względem o wiele bardziej ludzki.

– Jesteśmy tutaj. – Z mroku tuż za ich plecami wyszedł wysoki, błękitnooki zakonnik. W rękę dzierżył króciwą, którą wycelował w Chodynę. Ręka zakonnika drżała. Rzadki zarost pokrywał policzki mężczyzny, nie ukrywając jednak do końca śladów po przebytej ospie. Mnich nie był młody, oczy całkiem mu się zapadły w oczodoły, a czoło pobruździły zmarszczki. Tuż za nim, przy okazałej chrzcielnicy, stał jeszcze jeden duchowny, którego potargana czupryna wyglądała, jakby była umazana we krwi. Okrągłe niczym talary oczy świdrowały Chodynę, podczas gdy zakonnik nerwowo się uśmiechał.

Kwaśny zapach potu mieszał się z ciepłym oddechem. Dalej, między rzędami ław, dostrzegł Bartłomiej dwóch braci, wysokiego drągala i drugiego, drobnej budowy. Na głowy spuścili kaptury.

– Broń? W rękach księdza? – rzekł janczar z podziwem.

– Mam dość sprzątnięcia trupów ze świątyni – nawiązał do nie do końca znanego Chodynie zdarzenia kapłan. Trząsał się ze źle ukrywanej złości. – Odsuń się, panie, pod ścianę. Onufry! Chodźże tu!

– Bracie Jędrzeju! – zawołał Onufry. – Na litość boską! Tak się nie godzi!

– Nie wymieniaj imienia Pana Boga nadaremno, Onufry – mruknął brat Jędrzej, mrużąc oczy. Głos miał niski, ale donośny. – Brat Damian widział z okna szpitala, co działo się na cmentarzu. Gdy tylko mi powtórzył, czego był świadkiem, wiedziałem, jakie przedsięwziąć środki. Pamiętaj Onufry, że jestem szafarzem klasztornym. Wypełniam we wszystkim wolę przeora. Przywlokłeś do kościoła mordercę.

A teraz chodź tu!

Grubawy mnich nie czekał, od razu poczłapał do braci, trzęsąc się jak galareta.

– Zwą mnie Chodyna. Szukam cystersa – oznajmił przyjaźnie Bartłomiej. – Odłóż króciwę, zanim kogoś naprawdę postrzelisz.

– Ma rację, bracie Jędrzeju! – zawołał potężnie zbudowany mnich. Odgarnął kaptur z włosów i wpatrzył się w przybysza bladoniebieskimi oczami. Na szerokiej twarzy nosił gęstą, poprząsywaną siwizną brodę i wąsy, a na głowie krótką, szpakowatą szczecinę. Postawny niczym żołnierz był przeciwieństwem tego, co Bartłomiej do tej pory myślał o zakonnikach. Skłonił się, na co drugi, niższy zakonnik, szybkim ruchem drobnej dłoni zerwał kaptur z głowy, odsłaniając błyszczące oczy w kształcie migdałów spozierające zuchwale z chłopięcej twarzy w kształcie serca. Oblicze młodzieńca było jeszcze ciemniejsze niż twarz Chodyny. Kształtną głowę zdobiły sterczące kosmyki czarnych włosów, do tego dochodziła jeszcze długa, szczupła jak u niewiasty, łabędzia szyja. Brak wypukłości w okolicy grdyki upewnił Bartłomieja w jego podejrzeniach.

– Jestem bratem Mateuszem – wycedził zakonnik cichym głosem, przypominającym skwierczące w ogniu liście. – Nie wiem, czego możesz ode mnie chcieć. Nie mam rodziny ani przyjaciół. Wszyscy, jakich znam, są tutaj, u Świętego Gotarda.

Bartłomiej dostrzegł uderzające podobieństwo. Miał przed sobą przyodzianą w czarny habit Miriam. Przeszły go ciarki.

– Jeszcze raz? Jak cię zwał, panie? – spytał.

– Mateusz.

– A może brat Alfred? – Bartłomiej uśmiechnął się bezczelnie. Nie spuszczał wzroku z Miriam. Oczy dziewczyny zamigotały złowroźnie, lecz twarzy oszustki nie przeciął żaden grymas, choćby najmniejszy.

– Nie znam nikogo takiego – odparł „brat Mateusz”. Głos brzmiał melodyjnie, niczym cicha muzyka. Chodyna rozpoznał na pierwszy rzut oka siny ślad biegnący przez szyję Miriam i udając brak zainteresowania tym faktem, wzruszył ramionami, niby to poprawiając odzienie. Spodziewał się znaleźć więcej takich pręg na plecach i ramionach dziewczyny. Ślady biczowania.

Rozświetlone blaskiem świec oczy w kolorze bursztynu zamigotały.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, panie – odrzekła uprzejmie niewiasta.

– W takim razie powiedz mi, skąd pochodzisz, bracie Mateuszu. Kim byli twoi rodzice. Tego typu rzeczy.

– Czy te przesłuchania są konieczne? – zapytał wysoki zakonnik. Dotknął ramienia Miriam, usiłując dodać jej otuchy.

– Tak? A czy cysters paradujący w benedyktyńskim habicie godzi się z waszą regułą?

– Ja... Eee... – Potężny zakonnik nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie musisz odpowiadać, bracie Łukaszu – wtrącił się brat Jędrzej. – Pamiętaj, nie unikniesz grzechu w nadmiernym gadulstwie. Nasza reguła to nasza sprawa.

Zwrócił się do gościa.

– Co do ciebie, panie, jeśli już musisz wiedzieć, nasza reguła jest tą samą, którą przyjęli cystersi.

– Jasne, nic mi do tego – przyznał Chodyna.

– Wreszcie się rozumiemy. – Jędrzej kiwnął zdawkowo głową.

Janczar przeniósł spojrzenie na dziewczynę.

– Miriam, przychodzę od Sary – nie poddawał się. – Twoja siostra ma kłopoty.

– Sary?! – rzuciła zmienionym głosem dziewczyna. – Mojej Sary?!

– Bracie Łukaszu, wyprowadź stąd Mateusza – warknął brat Jędrzej. Pozostali bracia spojrzeli na Jędrzeja ze zdziwieniem.

– Nie! – wrzasnęła dziewczyna. Widząc, jak ręka Łukasza zaciska się na jej wiotkim ramieniu, szarpnęła się z całej siły. – Zabieraj łapska!

Chodyna uśmiechnął się w duchu.

– Bracie Mateuszu! – Jędrzej wybałuszył oczy. – Nie jesteś sobą!

– Lepiej bym tego nie ujął – przyznał Chodyna, ściągając brwi.

Dziewczyna dała krok do przodu, raz jeszcze odpychając brata Łukasza, który najwyraźniej nie wiedział, jak się zachować. Zmierzyła ponurym wzrokiem Bartłomieja, po czym nagle zdzieliła go pięścią w szczękę.

– Auuu... – Złapała wciąż zaciśniętą pięść w drugą dłoń i mocno nią potrząsnęła. Chodyna lekko się zachwiał, ale wpił śmiejące się zuchwale oczy w Żydówkę.

– No i proszę, wyszło, co w tobie siedzi – zauważył.

– Nie. Jeszcze nie – mruknęła. Nie zauważył nadlatującej stopy. Kopniak odebrał Bartkowi całe powietrze. Poczul rwący ból, jakby ktoś mocno pociągnął go za mosznę. Zwinął się, warcząc niczym ranny wilk.

– Dopiero teraz uwolniłam to, co we mnie siedzi – dodała. Z zaciśniętych, drżących ust dziewczyny wyczytał satysfakcję. Oczy Miriam, choć bezczelnie się śmiały, były jednocześnie smutne i puste, jak bezgwiezdna noc.

Benedyktyni stali jak wryci. Jedynie Łukasz wykazał się rozsądkiem. Złapał dziewczynę za ramiona i poderwał ją jednym szarpnięciem do góry.

– Dość tego, Mateuszu, Miriam czy kimkolwiek jesteś! – rzucił. – To jest dom boży i nie pozwolę...

Niewiasta wpadła w szal. Nadepnęła mężczyźnie na palce i zamachnęła się pięścią, okręcając się przy tym. Lecz mnich złapał pięść i ścisnął palce między swoimi. Potem złapał dziewczkę wpół, przycisnął i właśnie zamierzał powiedzieć coś uspokajającego, gdy prawa ręka natrafiła na zaskakująco miękkie miejsce. Poczzerwieniał jak burak i wypuścił ze świstem całe powietrze.

– Na Boga! Więc to prawda! – wykrztusił, odczuwając ze zdziwieniem, jak burzy się w nim krew. Obrzucił pozostałych braci zaszokowanym spojrzeniem.

Twarze zakonników spowijał cień.

– Łukaszu! – zawołał brat Jędrzej, lecz potężny mnich nie zareagował.

– Co mu jest? – zapytał pozostałych Onufry.

– Po prostu. – Miriam wzruszyła ramionami. – Pierwszy raz w życiu sobie pomacał.

– Bracie Mateuszu, wracaj do swej celi i czekaj tam na mnie – polecił Jędrzej głosem, który miał brzmieć dostojnie.

– Sam sobie idź do celi – odwarknęła Miriam.

– Nie tym tonem – przerwał kobiecie Onufry. – A w ogóle jak możesz być taka niewdzięczna?! Szpital cię nakarmił! Dał ci dach nad głową.

– A ciebie przekarmił. – Parsknęła śmiechem, odchylając głowę do tyłu. – Co to ma do rzeczy? Nie byłam tu dla waszych wygod. Ukrywałam się. Chwilowy brak szczęścia i pusta sakiewka mogą być niezmiernie bolesne. Oszukałam was? Sami to ciągle robicie. Oszukujecie się obietnicą nieba i wiecznego szczęścia, na które żaden z was nie zasługuje. Byłam niewdzięczna? Całe życie jestem niewdzięczna, grubasie. Jak chcesz, pomódl się za moją zepsutą duszę. A mnie daj spokój.

– Dlaczego taka jesteś? – spytał płaczliwie Onufry.

– Taka... Twarda? Życie mnie tego nauczyło, braciszku. Gdybyś wyszedł stąd dalej niż do lasu po grzyby, sam byś poczuł na tłustej dupie kilka kopniaków. Może wtedy by ci zadek stwardniał. Biczujecie się, klepiecie swoje zdrowaśki za resztę świata i myślicie, że to jest życie. Myślicie, że otworzycie sobie takim zachowaniem bramy niebios? Przez parę siniaków i odciski na kolanach? Gównowiecie.

– Byłaś jednym... To znaczy... jedną z nas! – pisnął Onufry.

– No i widzisz – zauważyła dziewczyna. – Sam nie potrafisz się zdecydować. Byłam jedną z was, mówisz? A znasz stare przysłowie o wchodzeniu między wrony? Parę zdrowasiek i podrapane plecy nie zrobią ze mnie Matki Boskiej.

– Dość już usłyszałem – wtrącił się Jędrzej. – Błuźniesz!

Odpowiedział mu złowróżbny uśmiech wąskich ust.

– Jeszcze się nie rozkręciłam – oznajmiła dziewczyna. – Co mi zrobisz? Poślesz na stos? Od dwóch

miesiący znosiłam wasze żarcie, wstawanie w środku nocy i chrapanie Onufrego. Przyszedł czas na zapłatę.

– Przynosisz hańbę habitowi, który przywdziałas! – wykrzyknął piskliwie Onufry.

– Tak? Przynajmniej się w nim mieszczę. Ja hańbię habit, co?

– Tak.

– To było pytanie retoryczne, idioto – odparła. Przyjrzała się benedyktynom. – A co do waszych łachów? Biercie je. Drapiają, jakby w środku były pchły.

I zanim którykolwiek zaprotestował, rozwiązała cingulum<sup>17</sup> i ściągnęła przez głowę szkaplerz wraz z habitem, pozostając w samej koszuli. Szata sięgała dziewczynie do pół łydki i bynajmniej nie zasłaniała wdzięków.

Brat Łukasz nie mógł oderwać wzroku od drobnej i wiotkiej sylwetki kobiety, którą brał do tej pory za brata Mateusza, cystersa z konwentu w Koronowie, co to, jak sam opowiadał, wskutek nieuczciwych posądzeń, musiał ukryć się w kruszwickim szpitalu. Łukasz gorąco wierzył w historię chłopca i uważał, że sumienie nakazuje ukrywać takiego zbiega, tak samo jak opiekować się każdym innym potrzebującym. Święty Gotard, będąc biskupem Hildesheim, napominał wiernych do udzielania takiej pomocy i sam jej udzielał. Benedyktyn myślał, że zna się na ludziach. Że pozna szczere serce zawsze i w każdym momencie. Mylił się.

Powinien był wiedzieć, co oznaczają sercowatego kształtu twarz oraz patrzące z zadziwiającym chłodem, obwiedzione naturalną ciemną obwódką smutne piwne oczy. To było zaproszenie do grzechu. Miał przed sobą diabelską wszetecznicę, która przysłała do Świętego Gotarda, aby zwieść braci na manowce i uczynić z nich grzeszników.

– Zabrać ją sprzed moich oczu – wychrypiał Jędrzej. – Łukasz, Onufry, Damian! No co tak stoicie!

Zaśmiała się piskliwie.

– Skończyłam i tak z waszym zakonem! – krzyczała, gdy brat Łukasz chwycił ją wpół i przerzucił przez ramię. Natychmiast zaczęła wymierzać mu razy pięściami i kopać po żebrach. Niezrażony tym mnich wyniósł dziewczkę przez prezbiterium. Prawie zatoczył się na tabernakulum, na szczęście w porę złapał równowagę. Onufry głośno wypuścił powietrze, wzdychając. Nie mógł oderwać zahipnotyzowanego spojrzenia od tej pary.

– Ta kobieta jest szalona. – Brat Jędrzej pokręcił głową.

– Zgadza się – rzekł Chodyna i powiódł spojrzeniem w kierunku ołtarza. Zmarszczył brwi. Chrystus wisiał na swoim miejscu. Ale kto miał mu je zająć? – Dlatego im prędzej znajdzie się daleko stąd, tym lepiej dla braci. Kiedy mogę porozmawiać z opatem albo przeorem w tej sprawie?

Jędrzej odpowiedział nieobecny głosem.

– Mówisz o przeorze Ambrozym. Znajdziesz go, panie, w opactwie przy kościele Świętego Piotra. To przy drodze na Świątyniki, po drugiej stronie Kruszwickiej Wsi. Nie musisz więc przekraczać Gopła. – Wytarł nos wierzchem rękawa, a potem machnął ręką. – Zresztą chętnie sam cię zaprowadzę. Jak mówi księga: „usuńcie złego spośród was, aby jedna chora owca nie zaraziła całej trzody”. Zabieraj tę ladacnicę z dala od szpitala. Póki jeszcze nie pochłoniął nas wszystkich ogień piekielny.

To mówiąc, przeżegnał się szybkim, wprawnym ruchem.

– Dobrze sobie – parsknął Chodyna. Otoczyli go benedyktyni o hardych, nieustępliwych minach.

– Kim-ona-jest? – zapytał brat Onufry. Brał oddech po każdym słowie.

– Oszustką. – Bartłomiej wzruszył ramionami. – To chyba oczywiste.

– A Sara, o której wspominałeś? – Brat Jędrzej ściągnął brwi.

– Jej siostrą. Niewiele lepszym gagatkiem.

Zakonnik nachmurzył się. Usiłował ochłonać po tym, co zaszło.

\*\*\*

Dopiero na stopniach wiodących w stronę pomieszczeń szpitala brat Łukasz postawił dziewczkę na ziemi. Panował tu głęboki mrok, potęgowany przez rzucające cień drewniane schody. Z ciemności wyzierała wisząca na ścianie ikona, przedstawiająca mężczyznę w stroju biskupa z modelem kościoła w ręce.

– Puszczaj! – zaprotestowała głośno Miriam. Zakonnik posłuchał, na co dziewczyna odepchnęła go i zaczęła okładać pięściami po klatce piersiowej.

– Co ty wyprawiasz?! – zapytał brat Łukasz. – Po co przyszłaś do szpitala?! Masz jakieś sumienie, kobieto? Czy może nie boisz się Boga ani kary, która spotka cię za takie zachowanie?!

Parsknęła głośnym śmiechem. Benedyktyn zmierzył niewiastę karzącym wzrokiem. Nie rozumiał Miriam. A tym bardziej tego, co z nim wyczyniała. Nigdy nie miał grzesznych myśli w stosunku do kobiet. Po dziś dzień. Tak jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, kim jest i czego pragnie. Czuł się w dwójnasób oszukany. Przez tę wszeteczną dziewczkę oraz własne ciało.

Pokiwiała głową.

– Nie mam się czego obawiać – oznajmiła zuchwale. W jej głosie brzmiał jednak smutek i rozgoryczenie.

– Nie masz się czego obawiać? – powtórzył.

– Nie rozumiesz? – warknęła. – Onufry to proszę, a Jędrzej myśli, że wszystkie rozумы pozjadał, ale tobie mogę powiedzieć prawdę. A wiesz, jaka jest prawda? Nie mam nikogo. Jestem sama. Nawet siostra, o której wspominał ten śniady wędrowiec, to dla mnie obca osoba. Mam się bać kary?

Osamotnienia? A może śmierci i kary za grzechy? Popatrz na świat dokoła, braciszku. Wszyscy tylko udają rozmodlonych, gdy w rzeczywistości dążą do trzech rzeczy. Żeby podupczyć, popić i najeść do syta.

– Co to ma do rzeczy? – Zakonnik nachylił się, a jego głos przeszedł w półszepot. – To nie tłumaczy twojego zachowania. Oszukałaś nas. Wszystkich.

– Musiałam. – Pokręciła głową. – Ale ty tego nie zrozumiesz. Dla ciebie rzeczy są albo czarne, albo białe.

Łukasz nabrał wody w usta.

Zbliżyła się do benedyktyna. Ścisnęła dłoń zakonnika w swojej. Złączyła palce, kładąc je sobie na piersi.

– Wiem, czego pragniesz. Mogę ci to wszystko dać. Tylko ucieknij ze mną. Zostaw wszystko w diabły.

W oczach dziewczyny pojawiła się niema prośba. Bała się obcego mężczyzny, który zjawił się dziś w szpitalu. Tego, co wiedział o niej i Alfredzie. Wolą brać nogi za pas, i to jak najprędzej. Dlatego urządziła całe to przedstawienie.

Prawda była taka, że została w Kruszwicy, choć jedną nogą była już praktycznie poza miastem. Rozmyśliła się w ostatniej chwili. W mieście trzymał ją skarb ukryty w jukach konia, na którym przyjechali tu z Alfredem.

Ostenwald pozostał przy zwierzęciu. Ochraniał ukrywającą się w karczmie przyjaciółkę i dlatego poniósł śmierć. Miriam ukryła się w karczmie. Widziała na własne oczy, jak jeden z żołnierzy Kościeleckiego prowadzi ku stajni konia wraz z monetami ukrytymi w jukach. Następnego dnia ten sam koń opuszczał Kruszwicę jako luzak, rozkulbaczony. Wniosek? Ktoś ukrył siodło i juki na terenie karczmy albo w gospodarstwie. Ktoś dowiedział się o monetach. Skarb pozostał na miejscu.

Początkowo zamierzała jechać śladem żołnierza. Lecz po tym, gdy prawie ją pojmano podczas przeprawy przez Gopło, doszła do wniosku, że nic nie osiągnie, uganiając się za żołdakiem Kościeleckiego. Nie widziała twarzy mężczyzny. Mógł to być ktokolwiek z drużyny zbrojnych. Co zrobi? Pojedzie i zacznie wypytywać po karczmach? Niby o co? Mężczyzna obłowił się, prawda, lecz monety zostały w Kruszwicy. Złodziej nie zacznie się rozbijać po szynkach, bo nie ma za co. Postanowiła pozostać na miejscu. Zaczaić się, w razie gdyby strażnik powrócił.

Na miejscu mogła przeszukać dokładnie gospodę i stajnie. Lecz mimo kilku wypraw do gospody, nie udało się jej niczego odkryć. Bydlak dobrze ukrył juki.

Czekała więc.

Łukasz wybelkotał coś niezrozumiale po to tylko, aby wyrwać się z objęć Miriam. Spoglądał na dziewczynę niczym obłąkany, tak jakby była bazyliszkiem.

– Czarownico! – wrzasnął. – Nie kuś mnie swoimi diabelskimi sztuczkami! *Apage!*

– Dupa Jaś – odparła dziewczka. – Nie potrafisz się zachować jak chłop, ot co.

Uśmiechała się z zaskakującą łagodnością. Po chwili namysłu dodała:

– Jak sobie chcesz. Nie będziesz miał drugiej takiej okazji.

Zabrała ręce.

– Jestem zakonnikiem, cenobitą! – oznajmił mnich, tak jakby musiał się z czegokolwiek tłumaczyć.

Posłał w stronę Miriam wstrzemięźliwy uśmiech.

– Jesteś też mężczyzną – wtrąciła lekceważąco dziewczyna, ruszając dłonią przed twarzą Łukasza.

Zakonnik wydawał się nie słyszeć jej słów.

– Nie zwiedzisz mnie na manowce. Szatan przywiódł cię, żeby...

Uszy Miriam zaczerwieniły się ze złości.

– Jesteś przede wszystkim tchórzem chowającym się za habitem – oznajmiła.

– A kim ty właściwie jesteś? Demonem? Marą? A może sukkubem?! – Łukasz sam zauważył, jak jego głos łamie się, słabnie. W końcu nie wytrzymał. Wziął dziewczynę w ramiona. Parsknęła głośno i wycisnęła mokry pocałunek na ustach benedyktyna.

– O, tak – rzuciła śpiewnie. – Wreszcie. Po co masz być powściągliwy jak wszyscy inni? Nie ty, Łukaszu. Ty jesteś mężczyzną.

Padł przed nią na kolana i z zamkniętymi oczami zaczął powtarzać Regułę.

– Nie cudzołożyć, nie kraść, nie pożądać, nie świadczyć fałszywie, szanować wszystkich ludzi, nie czynić nikomu, co tobie niemiłe, wyrzekać się samego siebie, aby iść za Chrystusem, ciało poskramiać...

– Dureń – oznajmiła. – Nic ci to nie da.

– Ciało poskramiać, nie szukać przyjemności, post kochać... – ciągnął. Nagle nie wytrzymał i zerknął w okrutnie roześmiane oczy kobiety. Zerwał się i objął ją mocniej niż poprzednio, mimo że na twarzy Miriam dostrzegł wyrachowanie. Uderzyła Łukasza wierzchem dłoni w pierś i cicho mruknęła. Kąciki ust dziewczki zadrżały. Zniżyła głos do pomruku, przyklejając się do zakonnika całym ciałem. Poczwała, jak mężczyzna sztywnieje, przypatrując się jej błyszczącymi obłędem oczami.

Czuła, że traci nad sobą kontrolę. Gorąco, które ogarniało jej ciało, było uczuciem zupełnie obcym. Przejmowało ją zgrozą.

– Powstrzymaj to, Łukaszu – mruknęła sennym głosem, czując rozpalający ciało ogień. – Coś złego się ze mną dzieje.

– Co takiego?! – Odsunął się od niej.

– Widzę ogień i dym na twarzach Onufrego i Damiana. – Przymknęła oczy. – Widzę krew na rękach braci.



Wzrok miała nieruchomy i obłąkany.

– Co ci jest?! – krzyknął benedyktyń.

– Widzę rzeczy, których nie powinnam – odpowiedziała cieniutkim, słabnącym głosem. – Rzeczy, które przyjdą.

Oczy zakonnika się rozszerzyły.

– Święta Panienko – zdołał wysapać. Spozrzegł kątem oka, jak drzenie ogarnia ikonę ze świętym Gotardem, autorstwa brata Onufrego. Poczł zimno atakujące nozdrza i zobaczył parę wydobywającą się kącikami ust dziewczyny. W tej samej chwili rozległ się huk. Ikona odpadła od ściany i wylądowała z klekotem na ziemi. Łukasz, choć nie należał do tchórzy, wykrzyknął na całe gardło. Rzucił się do świętego obrazka, lecz gdy dotknął ramy, wyczuł coś lepkiego między palcami.

Gdy nadbiegli pozostali bracia, wraz z cudzoziemcem, Łukasz klęczał obok schodów, spoglądając na okrwawione palce.

– On... – wykrztusił brat Łukasz. – Obrazek... Krwawi!

– Łukaszu! – zawołał stojący najbliżej Onufry. Potężny zakonnik popatrzył w rozszerzone strachem oczy grubego konfratra.

– Krwawi?! Bzdura – oznajmił Jędrzej sceptycznie, nachylając się do obrazka. – Coś musiało się stać z farbą pod wpływem wilgoci i...

Urwał, spostrzegłszy rosnącą na podłodze, ciemnoczerwoną plamę.

Wszyscy powiedli spojrzeniem w stronę Miriam. Stała blisko jaśniejszego śladu pozostałego po świętym obrazku. Przykurczone palce włożyła w usta, na twarzy pobladła, jakby wtapiając się w ścianę. Oczy miała rozszerzone przerażeniem. Chodyna zaryzykował, dając krok w stronę dziewczki. Odskoczyła, chowając się pod stopniami schodów.

– Ani kroku! – zawołała, a w jej oczach zabłysnęła ogień. W tym samym momencie wszyscy poczuli pęd gorącego powietrza, a trzy pierwsze stopnie wybuchły jasnym, kopącym płomieniem, który szybko wspiął się po belce balustrady. Płomienie wydawały się lizać drewno, choć go nie spalały. Bracia zasłonili twarze przed ogniem i czarnym dymem, dwóch pośpiesznie się przeżegnało. Jeden Bartłomiej stał dalej, wpatrując się w płonące nienawistnie oczy Żydówki. Wciągnął w nozdrza ostry zapach. Zmarszczył nos.

– Jam jest Ogień Oczyszczenia – mruknęła Miriam, przymykając oczy. Dziewczyna spoglądała w stronę cisnących się po obu stronach korytarza benedyktyńów. – Stoję ponad grzechem i niewinnością. Zawołano mnie i oto jestem między ludźmi.

– Tylko nie ty! – wrzasnęła wibrującym głosem Jędrzej.

– Tylko nie kto? – Chodyna powoli obrócił twarz i spojrział na klasztornego szafarza. – O czym ty

mówisz?

Jędrzej przez chwilę świdrował wzrokiem śniadoliciego cudzoziemca. Namyslił się i odwrócił oczy.

– Wody! – wykrzyknął do braci. – Prędko, przynieście wody ze studni!

Chodyna odsunął się, przepuszczając mnichów. Klekot sandałów i krzyki wypełniły jego uszy. Po chwili benedyktyni wrócili, wnosząc kubły rozlewającej się wody. Chlusnęli na oślep, oblewając piszczącą z wściekłości Miriam. Dwa uderzenia zimnej wody wystarczyły, żeby ugasić słaby pożar.

Bartłomiej spokojnie spozierał na czarną plamę przyklejoną do stopni schodów. Wreszcie zbliżył się i pochylił.

– Odejdz! – warknęła klęcząca Miriam. Chodyna obserwował wykrzywione brzydko oblicze dziewczyny przez drewniane stopnie.

– Bo co zrobisz? – wyszeptał cicho, tak, aby nie usłyszeli benedyktyni. – Znowu użyjesz saletry do swoich sztuczek?

– O czym ty mówisz?! – Spojrzała złowrogo na mężczyznę. Zmarszczyła brwi.

– O tym. – Wziął w dłoń sztylet i zeskrobał czarną, sklejoną z drewnem substancję ze schodka.

\*\*\*

– To opętanie, jestem przekonany – obwieścił po chwili ponurego namysłu Jędrzej. – Ta biedna kobieta padła ofiarą podstępnej działalności nieczystego ducha.

Bartłomiej odpowiedział parsknięciem. Byli tu sami. Rozmawiali szeptem, siedząc w zabudowanej drewnianym baldachimem stali prezbiterium. Ławki miały wysokie oparcia i obudowane z przodu klęczniki. Cholernie uwierały w plecy Bartłomieja. Głosy, mimo że ciche, niosły się po całym kościele. Przed drzwiami wystawał jeden z mnichów. Chodyna nie widział go wcześniej w kościele.

Pozostali benedyktyni odprowadzili Miriam do dormitorium<sup>18</sup> i nie spuszczali jej z oczu. Bartek wspominał wyraz twarzy niewiasty. Po pożarze ucichła. Pozwoliła się prowadzić, nieobecna myślami i przedziwnie spokojna.

– Opętanie? – Janczar obrzucił zakonnego szafarza długim, natarczywym spojrzeniem. – Mówisz, jak sądzę, o Miriam?

– Między innymi.

– Między innymi?!

– Wierzę, i mam powody, aby w to wierzyć, że opętania już się zdarzały.

Brat Jędrzej wstał i przeszedł się w stronę kredencji z naczyniami liturgicznymi. Dłonie splótł za plecami. Dopiero po chwili przypomniał sobie o obowiązku uczczenia Najświętszego Sakramentu. Ukląkł więc i przeżegnał się. Chodyna skwitował jego zachowanie kpiącym uśmiechem. On, niewierny,

w ogóle nie powinien przebywać w prezbiterium.

– Masz powody, aby tak sądzić? Opowiedz mi jakie. – Bartłomiej poprawił się w ławce. Wyciągając rękę przed siebie, splótł palce razem, jak do modlitwy. – Bo rozumiem, że kryje się za tym jakaś długa, ponura historia.

– To prawda. W dodatku moja opowieść nie została stworzona dla uszu osoby spoza Kościoła.

– Stworzona? Zmyślona raczej – rzucił lekko Bartek.

Szafarz skarcił Bartłomieja ruchem palca wskazującego.

– Potrzeba wiary, mój synu, aby uznać wydarzenia, do których doszło w Kruszwicy, za rzeczywiste – oznajmił. – Inaczej łatwo wziąć je za wytwór wyobraźni lub nadmiernej pobożności.

Z tymi słowami zmierzył mężczyznę wzrokiem.

– Mam otwarty umysł. W miarę zdrowego rozsądku, oczywiście – odparł lakonicznie Chodyna, nie nawiązując do obraźliwych słów zakonnika. – Chętnie wysłucham słów brata, jeśli mogą rzucić światło na to, czego byłem świadkiem. Czasu też mi nie brak.

Jędrzej kiwnął dostojnie głową. Przez jego twarz przebiegł grymas, który u świeckiej osoby mógłby zostać uznany za szyderczy.

– Mam wreszcie pytania – dodał Bartłomiej. – Na przykład, co oznaczał bełkot Miriam? Słowa o oczyszczaniu i ogniu. Sprawiałeś wrażenie, jakby brzmiały dla ciebie znajomo.

– Albowiem duch, który opętał Miriam, jest mi znany.

– Znany?! – Janczar ściągnął brwi.

– To cherubin przywoływany w zaklęciach przeciw bezbożności. – Benedyktyn odczekał, sprawdzając, jaki efekt wywarły jego słowa na przybyszu. Lecz z twarzy Chodyny nie sposób było czegokolwiek wyczytać. Zakonnik ciągnął zatem: – Najprawdopodobniej przywołali go kilkaset lat temu tutejsi duchowni, gdy Kruszwicy zagrażali poganie. Lecz wbrew intencji przywołujących Haniel pozostał w mieście i raz po raz objawia swoją obecność przeróżnymi nawiedzeniami.

– O czym ty mówisz? – Oczy Chodyny niebezpiecznie rozbłysły. – Jakimi znowu nawiedzeniami?

– Tak myślałem. – Benedyktyn westchnął. – Muszę zacząć od początku.

– Najlepiej by było. – Bartłomiej się skrzywił.

– Wszystko zaczęło się blisko czterysta lat temu. W roku tysiąc dziewięćdziesiątym szóstym. Kruszwica była potężnym grodem, który zarabiał na kupcach wożących znad Bałtyku cenny bursztyn. Pewnego dnia pod zamek podjechali kupcy z Moraw. Towarzyszyła im trupa trubadurów z dalekiego południa, chyba Turcji. Z tego, czego się dowiedziałem, to byli Kurdowie. Trupa rozłożyła się pod murami. Spośród aktorów urodą i pięknym głosem wyróżniała się córka połykacza ognia, Elwira. Tak bardzo przypadła do gustu kruszwickiemu władcy, Zbigniewowi, że zakochał się w niej przy pierwszym

spotkaniu. Od tej pory byli nierozłączni. Jak to bywa, wieści o hulankach w Kruszwicy szybko dotarły do Gniezna, do uszu Władysława Hermana. Ojciec Zbigniewa postanowił samodzielnie sprawdzić, czy doniesienia są prawdziwe. Gdy zobaczył, co wyczynia jego syn, wpadł we wściekłość.

– A jak to się ma do Miriam? – spytał oschle Chodyna. Wzruszył obojętnie ramionami. – Zupełnie nie widzę powiązania.

Zakonnik uciszył rozmówcę uniesieniem ręki.

– Poczekaj, już tłumaczę. Po zwycięskiej bitwie Herman postanowił ukarać dziewczkę oraz jej ojca. Wezwał ich przed swoje oblicze. Okazało się poniewczasie, że oboje praktykują czary, a kobieta jest w dodatku opętana. Znaleziono przy nich jakieś utensylia, magiczne przyrządy i pokryty pogańskimi inskrypcjami kielich. Oboje utrzymywali, że to święty Graal. Herman przekazał dwójkę, wraz ze wszystkimi przyrządami, kruszwickim duchownym od Świętego Wita. Od tej pory słuch po przybyszach zaginął.

– Zamordowano oboje? – spytał zniechęconym głosem Bartłomiej. Nadal nie widział związku. Dostrzegął objawy fanatyzmu w zachowaniu zakonnika. Od chwili, gdy rozegrały się dziwne zdarzenia, Jędrzej zdawał się ogarnięty jakiegoś rodzaju świętym uniesieniem. Chodyna wiedział, że tego typu zachowanie nie zwiastuje nic dobrego.

Jędrzej pokiwał żarliwie głową.

– Niestety. Księża, gdy odkryli, że mają do czynienia z czarownikami, postanowili zgładzić oboje, a ciała zamurować w kościele Świętego Wita, aby mord nie wyszedł na jaw. Problem polegał jednak na tym, że Elwirę opętał duch niezwykle złośliwy i przewrotny. Podający się za anioła pańskiego, cherubina. Od chwili śmierci Elwiry duch nękał kruszviczan.

– W jaki sposób?

– Powracał raz po raz. To on pojawił się na pamiętnej mszy w kaplicy Świętego Wita w tysiąc sto dziewiątym roku. On był odpowiedzialny za mroczne wydarzenia w Kruszwicy, zagadkowe zgony, pożary i inne wypadki.

– Zaraz, zaraz... Jakiej znowu mszy?

– To ty nic, panie, nie wiesz o ogniu świętego Wita? – Jędrzej uśmiechnął się gorliwie. – Zaiste, synu, nie jesteś stąd. Pozwól, że ci opowiem.

Janczar przewrócił oczami.

– Podczas mszy demon opętał jednego z rycerzy, pochodzącego z Kruszwicy, Wojsława. To było w przeddzień wymarszu wojsk Bolesława Krzywoustego przeciw Pomorzanom. Jako kielich posłużyło kapłanom tajemnicze naczynie, pokryte dziwnym, nieznanym chrześcijanom wzorem.

– Kielich Elwiry.

– Nadążasz za opowieścią. Tak. A kiedy msza dobiegła końca, Wojsław zaczął się dziwnie zachowywać. Wypowiadał osobliwe słowa w nieznanym języku. Jego zbroja lśniła nienaturalnie, podobnie jak włócznia, którą dzierżył, i biały płaszcz, który nosił na ramionach. Armia ruszyła na pogańskich Pomorzanie. Ci, widząc Wojsława i jego włócznię, wpadli w panikę. Polskie wojska odniosły tego dnia wielkie zwycięstwo.

– Zaraz, zaraz... Wspomniałeś, że użyto kielicha Elwiry. Czy zrobiono tak celowo?

– Zaiste. Kielich został użyty celowo. Księża wypowiadali też słowa modlitwy do anioła Hariela. Nie znajdziesz jej, panie, w żadnym oficjalnym modlitewniku.

– Czyli wiedzieli, co czynią?

Benedyktyn zawahał się. W końcu kiwnął głową.

– Czyli... Chcesz powiedzieć... – mruknął Bartek.

– Tak. Chcę rzec, że według mnie był to ten sam duch, który opętał Miriam. – Jędrzej kiwnął głową.

– Hariel?

Zakonnik się rozpromienił.

– Właśnie.

– Skąd pewność?

– Większość duchownych w Kruszwicy zna miejscowe legendy. Elwira wygrażała przed śmiercią, że wszystkie kościoły w mieście spłoną w akcie zemsty za niegodziwość, która ją spotyka.

– To dlaczego księża od Świętego Wita użyli jej Graala? Nie obawiali się?

– Księża od Świętego Wita już nie pamiętali ostrzeżeń czarownicy. Użyli przywiezionego przez nią kielicha, ponieważ uznawali go za magiczny. Powiązany z Harielem, do którego modlitwę odkrył jeden z księży w dziele znalezionym w zbiorach kościoła. Pochodzenia tej księgi nie znano.

– Ale dlaczego użyli tych rzeczy? – Janczar pokręcił głową. – Nie rozumiem takiej głupoty.

Szafarz uśmiechnął się przelotnie.

– Hariel jest aniołem ognia, którego wzywa się przeciw bezbożnikom. W obronie wiary. Kruszwicy zagrażali poganie.

– Ale wspomniałeś, że istota, która opętała Wojsława, była demonem – zauważył Chodyna.

– Anioł jest istotą demoniczną – zgodził się benedyktyn. – Nie ma w tym nic osobliwego. Demony są aniołami odmienionymi, strąconymi za nieposłuszeństwo.

– To w końcu Hariel jest aniołem czy diabłem?

– Jeszcze tego nie wiemy. Aby się dowiedzieć, będziemy musieli nakłuć każdy fragment jej ciała w poszukiwaniu twardych miejsc.

– Zaiste, osobliwa metoda dochodzenia – odparł szyderczo Chodyna. – Nie wiem, czego miałyby

dowieść.

– Jej konszachtów z diabłem. Zakładając, że to diabelskie opętanie, a nie nawiedzenie.

– Ty jesteś, zdaje się, pewny.

– Widziałeś, panie, zachowanie Miriam? Czy coś z tego, co robiła albo mówiła, wydawało ci się święte? Ujmę to inaczej. Nam, ludziom, zdaje się, że wszystko jest czarne lub białe. Pod pozorami pobożności często jednak spotkać można złe zamiary. Ile zła dokonał zakon krzyżacki, rzekomo w imię wiary? Folgując własnej chciwości i żądzy władzy.

– Nic już nie rozumiem. – Chodyna pokręcił głową.

– Chodzi o to, że imię Hariela nie jest wymienione w Biblii. Wspominają o nim za to teksty kabalistyczne i żydowskie. Wedle jednych jest aniołem oczyszczenia, wedle drugich cherubinem, istotą z ognia.

– No dobrze, nie wiadomo zatem, jaka jest prawda – zgodził się Bartłomiej. – Ale i tak uważam, że jeśli jedni przypisują coś jakiemuś świętemu, a inni uznają te same wydarzenia za sprawę diabła, prawda leży pewnie pośrodku.

– Cóż, za anielską proveniencją zdarzeń przemawiały jedynie pewne osobliwe okoliczności.

– Osobliwe?

W wychudłej twarzy zakonnika oczy rozbłysły dzikim ogniem.

– Niezwykłej natury. Wszystkie wypadki dotyczyły osób w jakiś sposób spokrewnionych z duchownymi od Świętego Wita. Wypadki te były na ogół śmiertelne. I w jakiś sposób powiązane z ogniem.

– Ogniem?

– Zgadza się. – Jędrzej kiwnął głową. – Kruszwica od lat cierpiała na plagę pożarów. Ofiary poparzeń często umierały w naszym szpitalu. Lecz były również inne obrażenia. Te z kolei wskazywały na...

Zawahał się.

– No wyduś to z siebie! – warknął Bartek, tracąc cierpliwość.

Oblicze mnicha pojaśniało.

– Bezpośrednią przyczyną śmierci był upadek z dużej wysokości. Tymczasem w miejscach, gdzie odnajdywano ciała, nie znajdowały się żadne budynki ani wzniesienia. Do morderstw dochodziło w ciągu czterech wieków, a okoliczności wszystkich były dość... niesamowite. Ostatnim takim przypadkiem była śmierć Jana z Oporowa, kruszwickiego starosty. Zginął w pożarze zamku wraz ze swoim alchemikiem oraz trzema domownikami.

– Gdzie można dowiedzieć się czegoś na temat wypadków? Są jakieś zapisy? A może to tylko

opowieści prostaczków?

– Nie. Dowiedziałem się o wszystkim z ksiąg parafialnych Świętego Klemensa i nekrologów zgromadzonych w kościele opackim.

– Zatem badałeś sprawę. – W głosie Chodyny pobrzmiwało napięcie, choć starał się nie okazywać zdenerwowania. – Dlaczego?

Spojrzenia rozmówców się zetknęły. Przez moment w milczeniu toczyli walkę.

Wreszcie Jędrzej posłał nieznanemu pobłażliwy uśmiech.

– Mój krewny był kanonikiem u Świętego Wita. I jedną z ofiar tajemniczych wypadków.

Chodyna zerwał się z miejsca i ruszył nawą, po chwili wszedł między ławy. Nie dał po sobie poznać zaskoczenia. Podniósł wzrok w kierunku ozdobnej kraty przedzielającej małe, zakończone łukiem okno. Roztaczał się z niego widok na ogród, pachnący zapachami wiosny i rozbrzmiewający odgłosami ptaków.

– Zaraz, zaraz! – Odwrócił się, wykrzykując. – Wolnego, mnichu.

– Jak to? – Jędrzej się nachmurzył.

– Tak to. Mam wrażenie, że usiłujesz od kilku chwil zmylić mą czujność. Czemu ma służyć ta historia? Co to w ogóle ma wspólnego z Miriam?! Dlaczego to właśnie ona miałaby zostać opętana? Z tego, co wiem, nie ma żadnego związku z Kruszwicą. A przynajmniej nie miała do tej pory.

– A jej druh? Mężczyzna, który przyjechał tu jej śladem?

– Kogo masz na myśli? – Bartłomiej ściągnął brwi.

– Wiesz kogo. Alfreda Ostenwalda.

– Co on ma do rzeczy? – Bartłomiej mimowolnie zacisnął szczęki.

– Był tutaj, u Świętego Gotarda. To on zostawił u nas króćcę. I zginął wkrótce potem w karczmie Żyda Dawida. A wcześniej uwikłał się w śmierć dwóch osób, w tym pewnego duchownego z Koronowa. Mało tego, wedle słów starosty Jana Oporowskiego, syna zmarłego tragicznie Jana z Oporowa, przed śmiercią zachowywał się dziwnie. Podobno samą siłą woli wywołał pożar w lochach zamku i dotkliwie poparzył trzech strażników. Wygadywał też dziwne rzeczy.

Chodyna pokręcił głową. Musiał znaleźć jakiś sens w tych wszystkich nadnaturalnych bzdurach. Ktoś wysypał na schodach saletrę. Miriam, czego nie dostrzegł żaden z braci, musiała użyć krzesiwa, aby wzniecić niepostrzeżenie ogień. Do tej pory wszystko miało jakiś sens. A teraz? Nic już się nie kleiło.

– Nie, coś mi się tu nie zgadza. Jak to w ogóle możliwe, że żaden z was nie zauważył nic dziwnego? Chodzi mi o Miriam, nie o twoje opowieści, które są tak dziwne, że trudno w nie uwierzyć. Mieliście pod dachem kobietę. Nie rozbierała się przed wami? Coś kręcisz, mnichu. Mydlisz mi oczy.

– Wedle reguły każdy mnich śpi we własnym łóżu – odparł z naganą w głosie benedyktyn. –

Owszem, śpią we wspólnej celi, lecz kładą się odziani i przepasani sznurem. Z zachowaniem powagi i skromności. Nie było szansy, aby którykolwiek coś zauważył. Twoje oskarżenia są niedorzeczne.

– Każdy śpi we własnym łożu, mówisz. – Chodyna kiwnął głową. – W takim razie zostanę u was na noc. Wszyscy śpicie w jednej komnacie?

– Dormitorium.

– Wszystko jedno – odparł Bartłomiej. – Chcę łóżko przy łożu Miriam. Będę miał na nią oko. Zobaczymy, czy coś się w nocy wydarzy. No, ale jeśli chcecie, możecie dodatkowo dziewczynę związać. Rano zabiorę ją ze sobą.

– Tak się nie godzi! – zaprotestował benedyktyn, patrząc surowym wzrokiem. – Reguła każe...

Bartek pokręcił głową.

– A godziło się ukrywać dziewczkę w szatach zamordowanego cystersa?! – parsknął Bartłomiej. – A może wolisz, żebym napisał list do opata w Koronowie, opisując w nim to, czego się dowiedziałem?

Jędrzej zagryzł wargę. Starał się nie okazywać irytacji przed tym obcym człowiekiem. Z drugiej strony nie potrafił zrozumieć, dlaczego w obliczu oczywistego cudu przybysz pozostał obojętny i nie uwierzył.

– Każę ci, panie, posłać łóżko – rzekł benedyktyn. – Ale i tak uważam, że dziewczyna powinna przystąpić do spowiedzi. Wyznać swoje grzechy.

– Zapewne ma brat na myśli grzechy ciała. – Chodyna popatrzył na zakonnika szyderczo. – Chciałby brat o nich posłuchać, prawda?

– Spowiedź jest naszym obowiązkiem jako wiernych. – Oblicze benedyktyna stało się surowe niczym lita skała. – To, co mówisz, uraga naszemu powołaniu. Błuznierstwem byłoby...

– Daruj sobie przemowę o ciężkich grzechach! – powstrzymał go Bartek. – Widziałem, co wyprawiali chrześcijanie, byleby tylko ocalić skórę po Warnie. Jak ochoczo przechodzili na islam i wydawali własne dzieci najeźdźcy, byleby samemu przeżyć. Jak wypierali się wszystkiego, co ty nazywasz świętością.

W głosie Chodyny pobrzmiwała już nie tylko pogarda, ale i szczerza wściekłość. Twarz mnicha poczerwieniała z gniewu, lecz tym razem nie odszczeknął się, słysząc słowa, które wykrzyczał mu w twarz przybysz. Zamiast tego rzekł cichym, przejętym głosem:

– Chodźmy lepiej do niewiasty. Może potrzebować modlitwy.

Bartłomiej parsknął.

– Ona jest Żydówką, głupcze. – Zmrużył oczy.

To odebrało Jędrzejowi chęć do dalszej rozmowy.

– Co więc zrobimy? – zapytał zakonnik, zrezygnowany. – Jeśli Miriam powróci do świata, nikt nie



przewidzi konsekwencji. Skąd wiesz, co się wydarzy?

– Powiem ci, co zrobimy. Ty przestaniesz pleść bzdury o powołaniach i opętaniach. Zamiast tego poślij po brata Onufrego. Muszę odbyć z nim krótki spacer.

– Gdzie?! – wykrzyknął szafarz. – Nie myśl, że pozwolę...

– Na cmentarz – rzucił Bartłomiej pozbawionym emocji głosem. – Zresztą nie interesuj się tym. Mamy z Onufrym pewne sprawy do załatwienia. W tym czasie przygotujcie mi posłanie. Habitu nie potrzebuję.

Jędrzej podszedł do drzwi i wymienił kilka słów z czekającym za nimi szczerbatym benedyktynem imieniem Gerward. Szafarz westchnął. Gerward przyszedł do Świętego Gotarda po jakieś sprawunki dla przeora i został natychmiast, trochę na siłę, wciągnięty w intrygę. Innymi słowy, nie puszczono go ze szpitala, żeby nie zaniósł plotek przeorowi.

Przez chwilę dwaj mnisi zawzięcie szeptali przez wpólotwarte drzwi, powodując narastające zniecierpliwienie Chodyny.

– Co tam wygadujecie?! – zawołał w końcu Bartek, nie mogąc znieść zachowania dwójki zakonników.

– Chodzi o Onufrego – odparł zakonny szafarz.

– Co z nim? – wychrypiał Chodyna. Poczuł, że musi przepłukać gardło. Najlepiej jakimś odpowiednio mocnym, mszalnym winem. – Nie żyje czy co?

– Zniknął.

Oczy Bartłomieja rozblęły.

– I dlatego tyle szeptaliście?

– Nie, to nie wszystko – odparł stanowczo Jędrzej. – Pozostali bracia donieśli Gerwardowi, że Onufry sprzątał z rana schody. Te same, które stanęły w ogniu.

– A, to akurat ciekawe – przyznał Bartek. – Onufry od dawna przebywa u Świętego Gotarda?

– Dwa lata – odparł Jędrzej coraz bardziej przejęty.

– Czy Miriam miała z sobą jakieś rzeczy osobiste?

Mnich pokręcił głową.

– No tak. – Bartłomiej się zamyślił. – Cycków też nie zauważyłeś. Cóż, sam ją jutro wypytam. Poszukajcie Onufrego. Łajdak ma, jak sądzę, wiele na sumieniu.

– Mówisz o bracie ze święceniami, panie!

– Saletra sama się nie wysypała – odparł lekceważąco Chodyna. – No, chyba że masz lepsze wyjaśnienie tego „cudu”.

## Kruszwica

Karczmarz Dawid zgrzytnął zębami i mocniej owinął pledem zziębnięte barki. Czuł tę noc całym ciałem, zimno przenikało go na wskroś, skronie bolały, a pot wystąpił na czole. Siedział na końcu sali, w otoczeniu sług, którym za grosz nie ufał. Popijał od godziny gorzałkę z drewnianego kubka i biadolił nad swoim losem.

Zawiało przez próg. Pochodnia, rozjaśniająca podwórze przed karczmą, zgasła na wietrze i próg zalała ciemność. Wygasł też kominek stojący w kącie głównej sali. Dawid kulił się, wpatrując z przerażeniem w ogień. Parobek stojący nad karczmarzem nawet nie drgnął.

– Wynocha stąd! Wszyscy! Chcę zostać sam! – ryknął Żyd.

Bał się. We wczorajszym koszmarze zobaczył własną śmierć od ognia.

Miał wrażenie, że służba bezustannie go obserwuje. Głos Dawida słabł, w miarę jak pod oczami mężczyzny rosły sińce. Żydowski karczmarz coraz częściej mówił do siebie. Nie rozpoznawał ludzi.

– Zdradziłeś mnie – usłyszał nagle z wnętrza kominka. Powieka Żyda zadrżała.

– Gdzie jesteś? – Rozejrzał się nerwowo.

– Tutaj – usłyszał. Nieznajomy, którego oblicze i krępą sylwetkę skrywał cień, rozsiadł się po drugiej stronie długiego stołu, przy którym pił oberżysta, a nogi położył na blacie. Dawid z obrzydzeniem spoglądał na oklejone błotem podeszwy.

Ochryply, niski głos wydał się karczmarzowi znajomy. Mężczyzna siedział poza granicą rzucanego przez palenisko słabego blasku, jego twarz skrywały ciemności.

– K... Kto tam? – zapytał, rozglądając dokoła. – Kim jesteś?!

– Pocisz się jak świnia... – mruknął głos. Biła z niego taka wrogość, że Dawid aż się wzdrygnął. – Zepsucie twojej duszy przesiąkło do ciała. Nie martw się jednak. Przyszedłem przynieść ci wybawienie od grzechu.

Karczmarz pokręcił głową.

– Nie? – Nieznajomy zdjął nogi ze stołu. – Nie uważasz swego życia za grzeszne? Nie uważasz, że samo twoje istnienie kała ziemię, po której stąpasz?

Powoli wstał.

– Ja... – Zimny pot spływał po skroni gospodarza. Powłóczyście ubranie przykleiło się do masywnej piersi mężczyzny. Czuł żar pod pachami.

Postać weszła w zasięg światła. Lecz już moment wcześniej, gdy przez szpary w dachu i okna wdarł się blask piorunu, Dawid zobaczył oblicze nieznajomego. Drgnął ze strachu na jego widok.

– Proszę, zostaw mnie w spokoju... – Oberżysta skoczył na równe nogi, po czym zaczął odsuwać się pod ścianę.

– Przyszedłem po twoją duszę, sprzedawczyku – rzekł ponurym, lecz dostojnym głosem nieznajomy. – Nie może być mowy o łasce z mojej strony. Jestem jedynie narzędziem, którym zostanie wymierzona kara.

– Ale co ja ci uczyniłem złego? – Dawid poczuł za sobą ścianę. – Czym zdradziłem? Chodzi o tego śniadego przybysza? On nic nie wie! Nie powiedziałem mu o tobie. Ni słowa! Nie o tobie!

Głos karczmarza przeszedł w ochrypy skrzek.

– To już i tak nie ma znaczenia. Jego pojawienie się zniweczyło boski plan. Rozumiesz? I to twoja wina, Żydzie. Jedynie twoja. Będziesz cierpieł w płonącym oleju, smagany ogniem piekielnym za swoje winy.

W kolejnym rozbłysku Dawidowi wydawało się, że szerokie, nieprzyjemnie nabrzmiałe oblicze mężczyzny to blada, nieruchoma maska, w której z przekrwionych, pokrytych sinymi obwódkami oczu biją pioruny, a spuchnięte ręce wieńczą roje tłustych robaków. Zamiast paznokci oberżysta zobaczył grube, przebarwione od grzybicy szpony. Gdy obcy uśmiechnął się na słowa gospodarza, rozbłysły żółte, wykrzywione, spróchniałe kły.

– Paplasz, Żydzie. – Upiorne oczy się zaiskrzyły. – Paplasz każdemu na mój temat. Pora, żebyś za to zapłacił. Padnij na twarz i ukorź się!

– Błagam, na wszystkich świętych, zostaw mnie! – Dawid jeszcze mocniej przywarł do ściany. Splótł palce razem, jak do modlitwy.

– Nie może być o tym mowy – usłyszał. – Musi cię spotkać kara. Musi być przykład dla podobnych do ciebie.

Dawid schował głowę w rękach i padł na kolana, skuliwszy się. Jego pierś przeszył ostry, rozdzierający ból. Poczuł, jak traci powietrze. Zimny pot ponownie zrosił czoło umierającego Żyda.

Jasny piorun wystrzelił w długiej, pustej sali, padając na nieruchome, rozciągnięte pod stołem ciało.

\*\*\*

Miriam czuła, że spada. Ostatnie, co pamiętała, to zapach popiołu i piasku, którym zakonnicy czyścili podłogę, odór dymu z komina i łojowych świec, wymieszany z wonią słomy i zapachem potu dobywającym się z ciała brata Łukasza. Postawny zakonnik wniósł dziewczynę na rękach przez próg sypialni, zupełnie jak małżonek. Obraz umykał sprzed oczu Żydówki, a ciało ogarniał ogień. Miriam cały czas spadała.

\*\*\*

Gdy Chodyna wszedł za Jędrzejem do dormitorium, znów nieomal wybuchnął śmiechem. U wezglowia śpiącej dziewczyny klęczało trzech braci. Rytmicznie recytowali słowa modlitwy mającej odegnąć złe duchy. Mężczyźni już ochrypli. Szmer modlitw raz po raz zakłócał ciszę.

– Udzieliłem im dyspensy na wieczorną modlitwę. – Brat Jędrzej wydawał się nie dostrzegać kpiny malującej się na twarzy przybysza. – Nieśmiertelna dusza tej biednej niewiasty jest zagrożona.

Oddech dziewczyny zwolnił teraz, dyszała. Cała spocona mrucała przez sen. Wąskie łóżko byłoby może wygodniejsze, gdyby oprócz słomianego materaca i dwóch koców dodano jeszcze poduszkę. Choć pewnie to nie niewygodą sprawiała, że śpiąca Żydówka tak się wierciła.

– Idioci – rzucił Bartłomiej, beznamiętnie obserwując zachowanie pogrążonych w modłach mnichów.

W dali zagrzmiało.

\*\*\*

Był środek nocy, gdy Miriam ocknęła się w ciemności. Przeciągnęła palcami po włosach. W zamglonych snem oczach rozbłysło przerażenie. Długie, czarne kosmyki przesuwwały się między palcami. Dłuższe niż kiedykolwiek, zadziwiająco gęste i ciężkie, a przy tym obdarzone własnym, upiornym życiem. Poruszały się. Żyły. Czuła, jak oddychają.

Popatrzyła w górę. Woda obmyła twarz dziewczyny. Zaczynał deszcz. Furkotał w płaszczu Miriam i w całym jej ubraniu. Nocy nie oświetlały ni księżyc, ni gwiazdy. Równina roztaczająca się przed jej oczami nie miała końca. Raz po raz błyskało. Rozległa, pusta połać ciągnęła się jak okiem sięgnąć, owiewana podmuchami wiatru pod czarnofioletowym, milczącym niebem.

Wicher przynosił najróżniejsze, mącące zmysły dźwięki. Pojęła nagle, gdzie się znajduje. Na równinie Ereb, gdzie cierpieli zwykli grzesznicy. Najciemniejsza część podziemnego świata cieni. Alfred Ostenwald czytał Miriam fragmenty *Boskiej Komedii*, tłumacząc z łaciny na polski. „Po równinie Ereb błakają się potępione dusze”, wspominała słowa zamordowanego przyjaciela dziewczyna.

Zerwała się z ziemi i z ociąganiem ruszyła przed siebie. Zaczęła odczuwać zimną wilgoć. Drżała. Nie pomogło zaplecenie rąk na piersiach. Mijały pacierze. Była coraz bardziej zziębnięta i zalękniona. Coraz słabsza. Wicher szarpał jej ubraniem.

Wtem natrafiła ręką na niewidzialny mur. Macała jego powierzchnię palcami, błędząc w ciemności.

Miała wrażenie, że z oddali nawołuje ją brat Łukasz. Pod palcami poczuła zimną, oblewaną marznącym deszczem ścianę, a w ustach – dziwny smak. Rozpłakała się. Łzy szybko zamarzły, kłując w policzki jak świeża rana.

Wszystko ucichło. Księżyc wypełznął zza tłustych chmur. Pełny, lecz przedziwnie odległy i zimny.

Poczuła pierwszy mroźny oddech zimna na policzku. Wkoło mrugały do dziewczyny, niczym żywe, małe okruchy lodu. Deszcz zamienił się w śnieg.

Dostrzegła migoczące w blasku księżyca rozlewisko rzeki, a przy brzegu przymarzniete do lodu dwa łabędzie. Między pokryte zamrożoną krwią, oberwane pióra ptaków dostały się jakimś cudem fragmenty liści. Jeden z łabędzi próbował w ostatniej chwili poderwać się do lotu. Nie wyglądało to ani bajkowo, ani pięknie. Po prostu zeschnięte ptaki, utopione w gnojówce zmieszanej z grudami ziemi, błotem i kawałkami liści. Lód pod stopami Miriam otworzył się i noga dziewczyny ugrzęzła w lodowatej wodzie. Zrozumiała, że równina jest w rzeczywistości skutym lodem rozlewiskiem.

Ereb musi być przecież zdradliwym miejscem. A cóż jest bardziej zdradliwego od wody?

Za późno, pomyślała. Za późno na ratunek, głupia, głupiutka dziewczynko. Niezgrabnie wyrwała but, lecz po chwili wpadła drugą stopą. Poczuła tysiące odłamków lodu kaleczących nogi. Wrzasnęła rozdzierająco, lecz jej głos zabrzmiał głucho.

Brnęła dalej. Lód zamarzł na butach Miriam, oklejając podeszwy twardą skorupą. Palce sztywniały mimo rękawic, a policzki kłuł mróz. Okryła twarz kapturem, a płaszcz zawiązała sobie na ustach. Przypominał jej się obraz zamarznietego Bałtyku, o którym kiedyś śniła.

– Zatrzymaj się, dziewczyno! – usłyszała na wietrze. – Jesteś na miejscu!

Miała wrażenie, że na dźwięk tych słów w dali rozległy się ponure, obce dźwięki trąb. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Słowa padły znikąd i zarazem zewsząd. Dostrzegła jednostajną białą połąć. Oczy ją piekły jak wszyscy diabli.

\*\*\*

Miriam spojrzała w górę. Obok ściany spostrzegła wysokie drewniane krzesło, a na nim siedzącego mężczyznę. Na ramionach i nogach mężczyzny błyszcząły płyty zbroi. Lód wkoło stóp nieznanego rozbłyskiwał. Światło księżyca pomalowało sylwetkę siedzącego błękitem.

Dziewczyna stanęła, osłaniając dłonią oczy. Drugą ręką dotknęła pasa, lecz nie znalazła pochwy z mieczem. Zaklęła, odkrywając, że ubrana jest w czarny habit ze szkaplerzem.

Obrzuciła zuchwałym spojrzeniem mężczyznę na krześle. Podeszła ostrożnie, podzwaniając zębami z zimna i drżąc na całym ciele. U stóp nieznanego dostrzegła błyszczącą okrągłą tarczę. Mogła się przejrzeć w dziwnej, lustrzanej powierzchni. Popatrzyła na mężczyznę pytająco. Pociągła, wykrzywioną twarz pokrywały brązowe plamy, a wkoło ozdobionych bladym wąsem nieczułych wąskich ust i przerażających, pozbawionych białek czarnych oczu utworzyła się sieć głębokich zmarszczek.

– Witaj, Miriam – rzekł nieznanomy. Blask przypominających skarabeusze oczu nie pozwalał patrzeć w oblicze mężczyzny.

– K... Kim jesteś? – spytała dziewczyna.

– Nazywam się Wojśław – odparł głębokim głosem nieznajomy. – Jestem, a raczej byłem rycerzem.

– Ale... – Powiodła dzikim wzrokiem po przestworze zamarznętej wody. – Co w takim razie tu robisz?

– Nad Notecią? – zapytał, choć nie brzmiało to do końca jak pytanie.

– To... – Rozejrzała się raz jeszcze. – To jest Notec? –

– Jesteśmy w wielu miejscach jednocześnie, między innymi nad Notecią. Nie czas jednak na twoje pytania, dziewczko – warknął Wojśław, pochylając się do przodu. Zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego ja tu jestem? – zapytała. Zęby Miriam coraz wyraźniej podzwaniały, utrudniając jej wypowiedzanie zdań. Nie mogła ustać, choć starała się trzymać prosto. Kolana jej dygotały z zimna. Z ust dobywała się para. Rycerz zaśmiał się. Mróz wydawał się mu nie przeszkadzać.

– Stałaś się ofiarą Hariela. – Odrzucił głowę w tył, a potem spojrzał z powagą na dziewczkę. – Jak my wszyscy.

Jakby na potwierdzenie słów upiora ujrzała wkoło siebie postacie. Każda szła we własnym tempie. Od razu rozpoznała wysokiego, czarnowłosego mężczyznę, którego koścista twarz z orlim nosem i zapadniętymi policzkami wydawała się całkiem pozbawiona życia. Oczy mężczyzny błyszczały jak po chorobie, a kaftan znaczyły plamy rdzy.

– Alfred! – wykrzyknęła i byłaby rzuciła się ku niemu, gdyby przedtem nie zerknęła przyjacielowi w oczy. Pełne zawiści i smutku obserwowały Miriam wygłodniałe. Były czarne niczym dwa żuki.

– O mój Boże – westchnęła. Tuż za Ostenwaldem szła wysoka, przyodziana w brudny płaszcz śniada kobieta o pięknych, brązowych oczach i złotorudych włosach. Uśmiechała się lodowato. Nie sprawiała wrażenia, aby było jej szczególnie zimno. W uszach nosiła zausznice. Cała jej biżuteria wydawała się płonąć jak w ogniu, podzwaniając cicho.

Do dwójki dołączył jeszcze młodzieniec w szarym habicie z długim kapturem i czarnym szkaplerzem. Wychudzone oblicze chłopca z płonącymi niezdrowo oczami pokrywały krosty, a usta były mocno zaciśnięte, jakby cały czas odczuwał wielki ból. Miriam zakreśliło się w głowie. Jej spojrzenie spoczęło na kamiennym obliczu Wojśława.

– Co tu się dzieje? – Przywołała na twarz słaby uśmiech. – Gdzie ja jestem?!

Milczał, więc wykrzyczała to samo pytanie. Głos wywołał odległe echo i jeszcze przez dobry pacierz przebrzmiewał na pustkowiu.

– Odpowiedziałem już – usłyszała.

Potrząsnęła głową.

– Nic nie powiedziałaś! – warknęła.

– Miriam, walka nic nie da – odrzekło widmo. – Twoje ciało zamieszkuje teraz Hariel. Nie ma tam dla ciebie miejsca.

– Moje ciało?

– Jak rzekłem.

Alfred podszedł do Miriam dostojnym krokiem. Ujął dłoń dziewczyny. Ze zdziwieniem poczuła, że od palców nieżyjącego legata bije ciepło, podczas gdy jej dłoń jest zimna. Po chwili dotyk przyjaciela ją parzył.

– Już czas – oznajmił.

Wyrwała dłoń z jego ręki i cofnęła się. Potrząsnęła głową, nic nie rozumiejąc. Alfred rozwiął się niczym dym.

– Po co mi się ukazaliście? – mruknęła, spozierając kątem oka na Wojsława.

Kolczuga rycerza mieniła się. Mężczyzna wskazał łagodnym gestem zebranych.

– Nie ma specjalnego powodu – rzekł ostro. – Po prostu nas widzisz.

\*\*\*

Miriam obudziła się w wykopanym w śniegu rowie. Twarz miała oszronioną. Trzęsła się z zimna i podzwaniała zębami, skulona jak dzieciak.

To już się kiedyś zdarzyło, pomyślała. Zeszłej zimy, gdy znaleźli mnie żołnierze.

Dlaczego więc znowu tu jest? Ostatnie, co pamiętała, to płonące schody. A potem ciemność i zapach potu. Przetarła sztywne od szronu włosy. W jej uszach wciąż pobrzmiwał dźwięczny śmiech Wojsława. Słowa mężczyzny huczały w głowie.

Czuła, że musi wziąć się w garść. Wstała. Zerknęła przytomnie na zimową mgłę. Wyciągnęła palce, jakby zamierzała włożyć je w lepką zawieszinę. Nie czuła nic poza delikatnym mrowieniem.

A może żołnierze wcale jej wtedy nie odnaleźli? Myśl ta była niczym mroczne olśnienie. Może reszta to tylko sen? Plotzlich, wizyta w karczmie i potem, na zamku w Kruszwicy, ucieczka z Alfredem, a w końcu śmierć legata od bełtu kuszy...

Może umarła w tamtą straszną, zimową noc?

\*\*\*

Nad łóżkiem śpiącej dziewczyny stał wysoki mężczyzna o starej, porytej zmarszczkami twarzy, na której malowała się melancholia. Wkoło rozlegało się głośne chrapanie. Gdy światło dopalających się w dormitorium świec zgasło, przybysz przeistoczył się w oślizgłego, skrzydlatego gargulca. Długie,

pokryte piórami skrzydła tarły o ścianę.

Miriam otworzyła szeroko oczy. Jedyne brat, który pozostał w modlitwie u łóżka dziewczyny, w pół klęczał, w pół leżał, z głową złożoną na kocu, w nogach Miriam. Zmorzony snem.

Żydówka ujrzała przed sobą gmatwaninę sieci. Zajmowała cały pokój. Dziewczyna się szarpnęła. Sieć przyciągnęła ją za rękę. Usiłowała wrzasnąć, lecz z jej ust dobył się jeno cichy skrzek. Głowa Miriam była uwięziona w sieci. Usiłowała zerwać nici. W karku coś wystrzeliło. Poczula ból. To nie sieć, zrozumiała. To moje włosy.

Wrzasnęła rozdzierająco.

Starzec wyciągnął kościstą dłoń i przyłożył jej wierzch do rozpalonego czoła dziewczyny. Gest był czuły i jakby nie na miejscu, a ręka lodowata w dotyku. Miriam rzuciła się, szarpnęła, po czym ze zdziwieniem stwierdziła, że jej ręce i nogi skrepowane są bandażami. Była przywiązana do łóżka.

Mężczyzna zabrał dłoń.

Poczula, jak w fali ognia, która wstrząsnęła jej ciałem, traci nad sobą kontrolę. Spróbowała się odbić. Ale jak można odbić się od niczego? Wisiała w próżni.

– Nie! – wrzasnęła. Starzec cofnął się, krzywiąc sardonicznie swoją pociągłą, pokrytą siecią zmarszczek twarz. Ciało Miriam było tak gorące, że aż unosiła się z niego para.

Rozejrzała się, ale wszystkie łóżka były puste. Wszyscy benedyktyni zniknęli.

– Kim jesteś? – wykrztusiła.

– Jestem Ogniem Oczyszczenia – oznajmił starzec nieludzkim szeptem. Przemawiał wieloma głosami, powtarzanymi przez rozlegające się w dormitorium echo.

– Neeeeee! – wykrzyknęła, a potem opadła na poduszkę, poddała się. Jakby spuszczone z niej całe powietrze.

Starzec wyciągnął rękę nad głowę dziewczyny. W jego rozszerzonych oczach zapłonął triumf.

\*\*\*

– Alfred? Jesteś tu? – szepnęła Miriam do wypełnionej mgłą ciemności.

– Nie, dziewczko. Alfreda nie ma.

– Ktoś ty? Nie widzę, mgła za gęsta. I to zimno...

– To nic, dziewczko, przyzwyczajaj się. No, nie płacz, malutka. I tak już za późno. Dla was zresztą, dla ciebie i tego świętoszka Ostenwalda, zawsze czas był nieodpowiedni.

– Alfred... – Oblicze Miriam gasło powoli.

– Jego tu nie ma – odparł natężony szmer.

– Gdzie ja jestem?! – wykrzyknęła.



– W Erebie, skarbie. Jesteś tutaj i należysz tylko do mnie.

Nie zdążyła krzyknąć, albowiem jej usta wypełniła ciemność. Lepka i mglista.

# Rozdział 6

Brat Łukasz klęczał ze spuszczoną głową na zimnym kamieniu. Usta mężczyzny poruszały się, wypowiadając kolejne bezdźwięczne głoski. Palce przesuwają paciorki różańca. Gorliwa modlitwa była wszystkim, na co potrafił się zdobyć. Tak bardzo pragnął się wypowiedzieć, lecz czuł strach, niemal przerażenie na myśl o tym, co powie brat Jędrzej, gdy usłyszy wyznanie konfratra.

Wnętrze świątyni tonęło w ciemności rozrzedzonej blaskiem pojedynczej świecy, dominowała w nim woń stęchlizny i wilgotnego drewna. Jedynym dźwiękiem był miarowy szept modlitwy. Benedyktyn czuł w ustach niesmak. Przymknął oczy tylko po to, żeby otworzyć je z przerażeniem. Wyobraźnia podsunęła mu obraz tej podłej kobiety, demona w niewieściej skórze, z płonącymi od pożądania oczami.

Nie mógł wrócić do dormitorium, gdzie zostawili Miriam. Dziewczyna pogrążona w głębokim śnie wyglądała niczym święta. Zupełnie jakby zły duch na zawsze opuścił jej ciało.

Brat Łukasz wiedział, że to nieprawda. Fałsz Złego, aby przywieść ich wszystkich do grzechu. Bał się spojrzenia dziewczyny, gdy minie jej sen, bał się własnych myśli. Bał się wszystkiego. Krótką drzemkę, którą uciął sobie w jednej ze szpitalnych cel, zakończył koszmar. W snach brat Łukasz zobaczył pokryte ciężkimi chmurami niebo, a na jego tle czarne drzewa, gdzie wrony sukcesywnie i nie bez entuzjazmu wydziobywały oczy wisielcom, wprawiając ciała w ruch obrotowy. Od razu rozpoznał trupy Onufrego i Jędrzeja. Dalej wisieli pozostali bracia. Słońce oświetlało łachmany czarnych benedyktyńskich habitów.

Przebudził się zlany zimnym potem. Od razu przybiegł tutaj. Potrzebował modlitwy.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na ołtarz. Chrystus spozierał w górę, twarz Zbawiciela ściągnął wyraz ekstazy, tak niezrozumiałej dla brata Łukasza. Benedyktyn czuł w oczach piekące łzy. Pragnął tej biednej, odrzuconej przez Boga dziewczyny. Pragnął jej ciała. Pragnął składać na nim mroczne pocałunki. Pragnął dużo gorszych rzeczy, niż mógł wymówić przed obliczem Pana.

W ciszy rozległ się cichy odgłos klaszczących o posadzkę bosych stóp.

– On i tak wie – usłyszał. Natychmiast rozpoznał głos. Lecz nie mógł wykonać ruchu. Czuł, że gdy to zrobi, ogarnie go ogień piekielny.

– Nie powinnaś tu przychodzić – wystękał, nie odrywając spojrzenia od ołtarza.

– Może – odparła dziewczyna, obchodząc Łukasza. Klęczał tuż przy stopniach wiodących do prezbiterium. Pochylił się, byleby nie patrzeć na nią. Ujrzał boscie stopy, zakurzone, brudne.

– Popatrz na mnie! – wykrzyknęła. Zerwał się i posłuszny poleceniu wbił wzrok w dziewczynę, nadal odzianą w samą koszulę. Popatrzyli na siebie wyzywająco, lecz benedyktyn natychmiast spuścił oczy.

– Co się stało? – Spojrzała w ślad za nim na podłogę. – Już mnie nie pragniesz? A może jednak?

Przemawiała osobliwym, nieobecny głosem, powoli podciągając koszulę. Obnażyła lekko rozchylone uda. Zaśmiała się głośno, puszcżając materiał.

– Zamilcz. – Słowa mnicha zabrzmiały raczej jak prośba niż rozkaz.

Odchyliła głowę w tył i parsknęła głośnym, czystym śmiechem. Zakonnik podniósł palce do twarzy.

– Popatrz na mnie! – warknęła, znowu zmuszając mnicha do zwrócenia na nią uwagi. Drgnął. Przez moment oczy Miriam przemieniły się w ślepie, przekrwione i zaropiałe gałki, przykryte pomarszczonymi powiekami. Twarz zakonnika znieruchomiła. Zmarszczył brwi.

Rzucił się pędem w kierunku drzwi do zakrystii. Czuł, jak tuż za nim rośnie gigantyczny cień. Usłyszał trzask przypominający odgłos pękającej kości. Potem niewidzialna siła rzuciła go o ścianę, przygważdżając do desek. W pomieszczeniu rozległ się huk, lecz po chwili niewidzialna siła uwolniła Łukasza ze swoich okowów.

Zwalczył strach i ciekawość i nie odwrócił się. Doskoczył do drzwi i napał na nie całym ciężarem. Wpadł w ciasny korytarz i wymacując drogę rękoma, runął do dalszej ucieczki.

Krokom, które rozlegały się za benedyktynem, towarzyszył ochrypły śmiech.

Nawet nie wiedział, kiedy przemierzył biegiem korytarz, pomieszczenie przedsionka i schody. Znalazł się na zewnątrz. Owiął go zimny, nieprzyjemny nocny wiatr. Spojrzał w korony drzew. Wysokie olchy miały w sobie coś przedziwnie milczącego, a powietrze wkoło nich pachniało deszczem oraz latem mającym dopiero nadejść. Między matowymi pniami unosiła się delikatna mgła.

Wkoło panowała głucha cisza. Rozejrzał się. Nikogo. W krzakach zamiauczał kot. Puścił się pędem i niemal natychmiast potknął o korzeń. Zanim upadł, osłonił głowę ramionami. Uderzył żebrami w twardą ziemię.

Nie wiedząc czemu, uniósł wysoko głowę. Zwątpienie w jego oczach błyskawicznie zastąpił śmiertelny strach.

– Ty?! – wykrzyknął. – To nie możesz być ty! Nie ty!

– To cały czas byłem ja – usłyszał. – Darzyłem cię prawdziwą anielską miłością, Łukaszu. Lecz ty nie okazałeś się jej godzien. Pora na karę. Zmów modlitwę, bracie. Może Trójca Święta wysłucha twych słów i zlituje się nad twą niegodną duszą. Ja nie potrafię.

Usiłował się bronić. Chwycił drąg i zamierzył się. W tej samej chwili uszy mężczyzny wypełnił przeciągły gwizd, a jego stopy oderwały się od ziemi. Osłonił twarz dłońmi wygiętymi niczym szpony. Na próżno.

Upadł dobre dwadzieścia stóp dalej. Chrupot pękających kości, zmieszany z drzeniem podłoża, były bodaj ostatnimi dźwiękami, zanim ogarnęła Łukasza nieprzenikniona cisza. Z drzew posypały się gałęzie

wraz z liśćmi. Brat Łukasz przeturlał się kilkakrotnie i wreszcie zastygł w bezruchu, z twarzą skierowaną w niebo. Po chwili wszystko ucichło. Tylko kilka zbłąkanych liści wolno opadało.

\*\*\*

Bartłomiej Chodyna kręcił się w łóżku. Nie miał zamiaru zasypiać, lecz odkąd przebywał w chrześcijańskich krajach, spał bardzo niewiele. Obiecał sobie, że zamknie jedynie oczy. Po chwili zapadł w mroczny, pełen urojeń sen.

W snach widział Miriam. Sylwetkę dziewczyny owiewał porywisty wiatr, szarpiąc jej gęste, czarne włosy. A może była to Sara? Nie był już niczego pewien.

Przypatrzył się dziewczynie, po czym odskoczył, obnażając kindżał.

– Kim jesteś?! – warknął. Chwycił dziewczynę za włosy i mocno pociągnął. Kosmyki pozostały mu w dłoni. Szarpnięciem odsłonił białą czaszkę, która wyszczerzyła się w milczącym uśmiechu. Po chwili usłyszał też złowieszczy chichot.

– Jak mogłeś mnie zostawić, Bartuś? – zapytała głosem Sary zjawa. – Jak mogłeś mnie puścić na zamek?! Obiecałeś mi, Bartuś. Obiecałeś, że zawsze będziesz przy mnie.

Runęła ku Bartkowi. Klinga świsnęła. Czaszka potoczyła się do stóp mężczyzny, lecz śmiech nie przebrzmiał.

– Od początku o mnie nie dbałeś, Chodina. Chodziło ci o tę twoją głupią książkę! Przeklęty, niewierny pies! Jesteś nikiem, słyszysz?! – głos dudnił w uszach Bartka. – Nie masz nic i nikogo! Jesteś tylko psem na posyłki sułtana!

– Nic o mnie nie wiesz! – próbował się bronić janczar.

– Wiem o tobie wszystko. – Głos kobiety przemienił się z ostatnim słowem w syk żmii.

Chodyna zerwał się z poduszki. Ponury dźwięk trwał, rozsadzając czaszkę. Nad mężczyzną wisiał poszarpany cień, który przesłaniał księżyc. Dotknęły go szponiaste, zaciśnięte kurczowo palce. Ich chłód sprawił, że janczar się wzdrygnął. Poderwał się, na co sylwetka odskoczyła, przypadając do ściany. Suchy głos wymruczał kilka słów, a twarz, przypominająca maskę z czarnego wosku, rozjaśnił złowieszczy grymas.

– Panie, Miriam nie ma – zrozumiał ostatnie zdanie janczar. Dopiero po tych słowach Bartłomiej rozpoznał benedyktyna Damiana. Jeszcze chwilę zastanawiał się, gdzie góra, a gdzie dół.

– Strasznie się oblał potem – usłyszał pozbawiony emocji głos. Był to głos Jędrzeja. Szafarz stał po drugiej stronie łóżka.

– A Onufry? – Bartek starł pot z czoła. W odpowiedzi brat Jędrzej pokręcił głową.

– Nie ma też Łukasza – dodał. – Podobno dziwnie się zachowywał. Nie chciał pozostać

w dormitorium i poszedł spać z podróżnymi.

W mroku rozbłysła rozpalona przez Gerwarda latarnia. W jej świetle bezbarwne oczy zakonnika wydawały się prawie białe.

– Obudził nas krzyk – rzekł mnich, przyświecając sobie latarnią. Pod wpływem światła czarne robactwo pouciekało do swoich gniazd. Bartłomieja przeszył zimny dreszcz.

– Krzyk?

Benedyktyn pokiwał głową.

– Z kościoła chyba – odrzekł Gerward, po czym zwrócił się do szafarza: – Moim zdaniem o wszystkim powinien się dowiedzieć Ambrożego.

Jędrzej pokręcił głową.

– Nie teraz. Może rano. Teraz chodźmy lepiej na dół do kościoła. Sprawdźmy, co to za dźwięk żeśmy słyszeli.

\*\*\*

Cienie wydłużały się za mężczyznami, gdy schodzili po schodach. Z obawy przed stromymi przerwami między drewnianymi stopniami Bartłomiej wymacał drogę ręką. Palce błądziły po zimnej ścianie, a schody przenikliwie trzeszczały. Minęli kolejne półpiętro. Chodyna drżał za każdym razem na myśl, co zaraz zobaczy. Lecz do tej pory jego oczom ukazywały się jedynie stopnie i fragmenty ściany, rzadziej okiennica. Raz po raz okno rozświetlała cicha błyskawica. Wtórowały jej groźące niebu gromy, dudniące w oddali.

Od czasu do czasu dochodził uszu mężczyzn przerażający śmiech. Wysoki, mógł należeć do kobiety, ale wcale nie musiał. Pobrzmiewała w nim nerwowa wściekłość. Czasami odgłos milkł, zastępowany przez wykrzykiwane słowa, których jednak żaden z mężczyzn nie rozróżniał.

– Mam dziwne przecucia. – Brat Damian się obrócił. Szedł tuż za Gerwardem, za sobą miał Chodynę i Jędrzeja.

– Głupoty pleciesz – odparł beznamiętnie Bartłomiej. – Lepiej patrz pod nogi, zakonniku.

Dotarli do podnóża schodów. Pod podeszwami zachrząściło spalone drewno. Wszyscy wpatrzyli się w ślad po ikonie Onufrego, która spadła ze ściany.

Krzyki ustały. Jędrzej ostrożnie wyminął pozostałych i potarł mocno podbródek.

– Co teraz, panie Chodyna? – zwrócił się do Bartłomieja. Blask latarni rozproszył ciemności. Snop światła padł na próg drzwi.

Ze środka dobiegły ich uszu przekleństwa. Po chwili zastąpił je przeciągły, kobiecy jęk, który natychmiast zduszono. Kolejny dźwięk przypominał odgłos wydawany przez osobę walczącą o oddech.

Spazmatyczne westchnienia były o wiele bardziej przerażające niż wszystko, co je poprzedzało.

Wszyscy runęli pędem, dopadając do wrót, pchając się jeden przez drugiego. Tumult, jaki wywołali, przypominał dźwięk łomoczącego bębna. Chodyna odepchnął kogoś po to jedynie, żeby zatoczył się z ramionami wyciągniętymi do przodu. Wbiegli do zakrystii, potykając się o własne nogi. Rozległ się krzyk i łomot. Latarnia, wytrącona z rąk zakonnika, potoczyła się w kierunku tabernakulum, a ogień wypełził na zewnątrz i prędko rozpoczął wspinaczkę po ołtarzu.

Bartłomiej szybko zlustrował wnętrze kościoła. Na ścianie zawisł ogromny, zgarbiony cień. Poniżej odziany w habit nieznajomy przyciskał coś lub kogoś do podłogi. Chodyna dostrzegł bladą twarz kobiety. Ofiara usiłowała odciągnąć drążek, którym przyciskano ją do klepiska. Ubrany w habit napastnik siedział okrakiem na piersi dziewczyny, z całej siły dociskając drąg z obu stron. Obok poniewierał się złamany drewniany krzyż.

Wtem napastnik obrócił nieco szeroką, pulchną twarz. Wrzasnął wniebogłosy, pokrytą zaschniętą krwią głowę miał tak opuchniętą, że pewnie nic nie widział. Rozrzucone bezwładnie nogi Miriam świadczyły o tym, że dziewczyna traci już ochotę do walki. Ukazały się białka jej oczu. Z gardła niewiasty dobył się charkot.

– Miriam, nie! – krzyknął Bartłomiej. Podbiegł do mężczyzny w habitcie.

– Nie powstrzymasz mnie! Ta kobieta jest niegodna, aby być naczyniem dla ognia, który oczyszcza z plugawości – wychrypiął Onufry. Pokiwał spokojnie głową, a potem zerwał się z ziemi i skoczył na Bartka z wrzaskiem, tak że obaj zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy Bartłomiej boleśnie uderzył plecami w drewno.

– Przeklęty świętokradco! – wrzasnął szalony benedyktyn, opluwając twarz Chodyny. – Jeszcze dziś znajdziesz się w towarzystwie podobnych do siebie pogan!

Przycisnął mężczyznę jeszcze mocniej. Bartek był pod wrażeniem niezwyklej, niemal nadludzkiej siły Onufrego.

– Bracie! – krzyknął Jędrzej, dając krok do przodu. – Natychmiast przestań! Co czynisz, na Boga?!

W odpowiedzi obłąkany zakonnik wygiął do tyłu pomarszczoną szyję i zaśmiał się głucho.

– Przekłeta banda próżniaków i słabeuszy! – Onufry obrzucił wszystkich spojrzeniem. – Nic nie rozumiecie? Jesteście jak Łukasz, ślepi i niemi na znaki. Pozbawieni wiary grzesznicy, żyjący w ułudzie i błądzący po omacku! Każdy z was znajdzie się tam, gdzie on trafił. Płakać będziecie krwawymi łzami, aż skonacie w swoim nieszczęściu! Porażeni majestatem boskiej postaci, nie wyliżecie ran swoich, od ognia powstałych!

– Co zrobiłeś Łukaszowi? – Szafarz całkiem pobladł.

– To, co musiałem. W moich snach pojawił się Anioł Pański. Powiedział mi, co czynić. Postępuję wedle słów zesłanych mi przez Boga!

Damian pokręcił głową.

– Oszalał...

Chodyna wykorzystał moment, gdy napastnik był zajęty swoim wyznaniem. Wyrwał się, odpychając szaleńca na klepisko. Onufry padł na plecy z nogami w górze. Lecz zanim Bartek się na niego rzucił, za plecami wszystkich mężczyzn wystrzeliły płomienie, które szybko ogarnęły ołtarz.

Bartłomiej bez słowa podniósł półprzytomną, rżącą przez zaciśnięte usta Miriam i ruszył z nią w kierunku głównych wrót.

– Panie! – wrzasnął Jędrzej. Lecz Bartek zignorował mężczyznę, kopniakiem próbując otworzyć jedno ze skrzydeł. Jednak dopiero po drugim kopnięciu wrota rozwarły się z łoskotem.

Ogień przeskoczył na sąsiednią ścianę i zaczął pełznąć po belkach stropu.

Bartek wybiegł z dziewczyną w ramionach. Nawet nie spojrzał na pokryte krwawymi plamami ciało brata Łukasza. Używając nóg Miriam niczym tarana, otworzył sobie drzwi prowadzące do stajni.

W stajni położył dziewczynę na sianie. Chwycił do rąk siodło, nasłuchując dobiegających z dworu okrzyków, pełnych rozpacz i obłędu. W ciemności podszedł do stojącego w kącie ciska. Zarzucił kulbakę na grzbiet zwierzęcia. Westchnął z wysiłku i przetarł czoło.

Poprawił oba łąki, zapiął przystułami popręg, pociągnął za strzemiona. Zaklął pod nosem. Jeszcze nigdy nie siodłał konia w takim pośpiechu. Zdenerwował niepotrzebnie wierzchowca. Zwierzę parsknęło, odpowiadając na drżące ruchy rąk.

Uniósł Miriam i przerzucił przez łąk. Wyprowadził konia.

– Panie! Poczekaj! – zawołał Jędrzej. – Nie wolno ci z nią tak odchodzić!

– Tak? – zapytał. Raz jeszcze zlustrował dym sączący się już przez spadzisty dach kościoła. – A to dlaczego?

– Ta kobieta jest wrogiem rodzaju ludzkiego – odparł stłumionym głosem benedyktyń.

– Nie większym od was – odrzekł Bartłomiej i poprowadził wierzchowca za sobą, ignorując pełne złości okrzyki benedyktyńów.

Burza oddalała się, pozostawiając pełną napięcia, złowrogą ciszę.

# Rozdział 7

## Droga Kujawska

Zastała Chodynę klęczącego w pozycji sedzba, z twarzą nisko przy ziemi. Pograżony w porannej modlitwie, odwrócony twarzą w kierunku wschodzącego słońca mężczyzna początkowo nie zwrócił na dziewczynę uwagi. Usłyszała szept w gardłowym i całkowicie obcym języku.

Dopiero po chwili poderwał się. Ręka Bartka wystrzeliła do przodu. Błysnęło zakrzywione ostrze. Miriam poczuła zimny dotyk stali przy szyi. Przełknęła głośno ślinę. Bartłomiej poruszał się błyskawicznie i cicho, jak wąż.

– Wybacz – rzucił oschle, zabierając jatagan. Wcale nie sprawiał wrażenia, jakby mu było przykro.

– Wybaczam. – Przesunęła spojrzeniem po nagim torsie i umięśnionym brzuchu mężczyzny. Bez kaftana prezentował się wyjątkowo okazale. Wręcz nie mogła powstrzymać westchnienia zachwytu.

Wąską, podłużną i dziwnie czujną twarz Bartłomieja łagodziły obrysy czarnych brwi. W ciemności załśniło srebrzyste pasmo, ukryte między sięgającymi do pasa, gęstymi, kruczoczarnymi włosami. Spomiędzy pukli wyjrzały głęboko osadzone, błękitne oczy, spozierając w skupieniu z ogorzałej twarzy, oszpeconej postrzępioną blizną biegnącą przez policzek.

– Nie powinnaś się tak skradać. – Otrzeptał kolana z piasku, schował broń do pochwy i odłożył na bok. Spojrzał w błyszczące oczy dziewczyny. – Mogłem ci coś zrobić.

– Możliwe – oznajmiła. – Byłam jednak ciekawa.

– Czego?! – Ściągnął brwi. Wpatrywał się w Miriam. Stała w koszuli, na którą narzuciła płaszcz. Spoglądała i mówiła przytomnie, pierwszy raz, odkąd ją znalazł. Może opuszczenie szpitala tak na nią podziałało.

Zbliżyła się ku rozmówcy, zwilżając wargi językiem.

– Możesz mi łaskawie powiedzieć, co za myśl ci przyświecała, gdy mnie porwałeś w samej bieliźnie i wywiozłeś tutaj? – spytała. Podzwaniała zębami przy każdym słowie.

Wciągnęła w nozdrza zapach otaczającego ich lasu, woń kwitnących drzew, żywicy i runa. Osłepiająco jasne promienie słońca przeciskały się przez otaczające ich wierzby. W oddali rozległ się dźwięk kojarzący się dziewczynie z obracającym dookoła własnej osi stryczkiem.

Zatrzymali się w opuszczonej wsi otoczonej przez głęboki las. Stadko omszałych domów o pożółkłych ścianach okalały ściany mrocznego wąwozu, a nad domami wznosiły się pochylone drzewa, pod których osłoną sączył się wąski strumień. Gałęzie szeleściły w podmuchach zimnego wiatru. Była to jedna z osad, które padły ofiarą krzyżackich najazdów, większość kominów skruszała, a dachy wypaczyła wilgoć. Na wpół spalonych domów nigdy nie odbudowano, a wieśniacy, wystraszeni



atakami, przenieśli się w bezpieczniejsze rejony, może gdzieś nad Gopło albo do samej Kruszwicy.

Na nocleg wybrali najlepiej utrzymaną z ruin. Z chaty pozostały dwie czarne, nadpalone ściany z kawałkiem dachu i resztką komina, w którym, po rozgrzebaniu resztek, urządzili palenisko.

– Wracajmy lepiej do chaty. Trzeba się spakować i ruszać – powiedział Chodyna, unikając wzroku dziewczyny.

– Poczekaj. – Złapała go za ramię, gdy usiłował przejść obok. – Po co mnie zabrałeś?

– Nie wiem – odparł, spoglądając Miriam w oczy. – Bo inaczej miałabyś kłopoty. Oboje byśmy mieli.

– Nie boisz się ze mną jechać?

– A czemu miałbym się bać?

– Z powodu... – Zawahała się. – Sam przecież widziałeś ogień na schodach i...

– Bzdury, Miriam. Nie wierzę w takie rzeczy. To, co działo się w szpitalu, było co najwyżej jakąś halucynacją.

– Zbiorową?

– Zbiorową – potwierdził.

– Czy ty w ogóle w coś wierzysz?

– W siebie – odparł, a potem ruszył w kierunku chaty. Podreptała za nim. – A co do wiary, cóż, ty masz swoją religię, ja swoją. Ja nie czczę tego, co ty czcisz, ani ty nie jesteś czcicielem tego, co ja czczę.

– Co za bzdury! – zawołała, przewracając oczami. – Powiesz ty coś z sensem? Pytałam, kim jesteś, nie czy jesteś obłąkany.

– A jakie to ma znaczenie, kim jestem albo w co wierzę, Miriam? – Staął, obrócił głowę i posłał dziewczynie słaby uśmiech. – Księga mówi, że ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijaństwo i sabejczy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni, i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni. Jakie ma więc znaczenie, w co wierzę i kim jestem? Żadne. Bo w cokolwiek wierzę, dla mnie to, i tylko to, jest prawdą.

W środku większej izby, przy kominku, stał uwiązany cisek. Zwierzę targnęło łbem. Chodyna popatrzył w kierunku wierzchowca.

– Jest niespokojny... – Uspokoił konia, głaszcząc go po chrapach i cicho mrucząc.

Miriam stanęła naprzeciw Bartłomieja.

– Dokąd chcesz jechać? – spytała.

– Byle dalej – odparł. W pośpiechu narzucił na ramiona skórzaną kurtę i nie zapinając jej, złapał się pod boki.

– Ja nigdzie nie jadę! – krzyknęła. – Muszę pozostać w Kruszwicy. Przynajmniej jakiś czas.

– Tak? A dlaczego?

– Czekam na kogoś – rzekła, spuszczać wzrok.

Popatrzył na nią.

– Na kogo?

– Nieważne. Porozmawiajmy lepiej o mojej siostrze. Mówiłeś, że Sara ma kłopoty.

Chodyna odwrócił od niej wzrok i przeszedł na drugą stronę konia.

– Bo ma.

– I że dlatego tu przyjechałeś.

– Bo i to prawda – odparł. Spojrzał w niebo przez ogromną dziurę w dani, stanowiącej resztkę dachu. – Pójdę się rozejrzeć. Miałem w nocy wrażenie, że nie jesteśmy sami.

– Unikasz odpowiedzi – zauważyła.

– Skądże. – Uśmiechnął się pod nosem. – Sarę poznałem w Bydgoszczy, przez człowieka imieniem Lewin.

– Węgliszka! – wykrzyknęła głośno niewiasta. Janczar drgnął na te słowa.

– Wiesz więc, że to jedna i ta sama osoba.

– Wiem.

– Skąd go znasz?

– Nie twoja sprawa. Znam i tyle – rzuciła zaczepnie. W tym samym momencie usłyszeli syk i trzask pękających gałęzi. Chodyna drgnął i obejrzał się.

– Mój jatagan. Szybko! – zawołał zduszonym głosem.

Miriam rzuciła mu pochwę z bronią. Bartek bezszelestnie wyciągnął jatagan, a pochwę odłożył. Podszedł do okna, skąd doszedł dźwięk, i wolno sunąc wzdłuż ściany, podkradł się w kierunku drzwi.

W tej samej chwili w progu pojawił się nieznajomy. Ubrany w krótki płaszcz na kole, z kapturem na głowie, rozglądał się czujnie, usiłując skupić wzrok. Rozbłyły oczy i ryża czupryna.

– Witaj, panie. – Miriam uśmiechnęła się. Zaskoczony przybysz odskoczył na ścianę przy drzwiach i wpadł prosto w łapy Bartka. Podniósł głowę, spojrzenie miał nieco błędne. Chodyna złapał nadgarstek mężczyzny, uderzył rękę ściskającą miecz o kolano i silnym szarpnięciem powalił zaskoczonego przybysza na kolana. Rozległ się brzęk.

Przybysz obrócił się, padając na plecy i podpierając łokciami. Miriam dostrzegła świeże, choć płytkie blizny na twarzy. Nieznajomy miał do włosów i ubrania przyklejone liście, a na wytartej kurcie stare plamy krwi.

– Jesteś sam? – Chodyna stanął nad mężczyzną. Ten skwapliwie pokiwał głową.

– Jechałeś za nami.

Ponowne kiwnięcie.

– Czy raczej za mną, prawda? – poprawił się Bartek. – Od samej Bydgoszczy.

– A jeśli tak, to co? – rzucił hardo mężczyzna. Był jasnym rudzielcem o lekko pucułowatych policzkach i zadartym nosie. Przy jego pasie pobrzękiwała pusta pochwa.

– Cóż. W takim razie zacznę ci wrywać paznokcie, aż powiesz mi, kto cię przysłał.

– Nie boję się ciebie. – Przybysz spróbował wstać. Powstrzymał go jatagan Chodyny.

– A bólu? Jego też się nie boisz?

– Spokojnie! – Mężczyzna chwycił w rękę ostrze jataganu. Przez palce powoli pociekła krew. Nieznajomy powstrzymał okrzyk bólu. Wypuścił klingę. – Opłacono mnie, żebym cię, panie, śledził. To nic osobistego!

Chodyna popatrzył na niego złowrogo, trzymając ostrze blisko twarzy ofiary.

– Kto cię przysłał?

– Andrzej Kościelecki.

– Kościelecki?! – wykrzyknęła Miriam. – Ten Kościelecki? Starosta bydgoski?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Ten sam. – Zerknął na dziewczkę.

– A co on ma z tobą wspólnego? – Miriam przeniosła spojrzenie na Chodynę.

– Ze mną nic – oznajmił Chodyna. – Ale gdy Sarę widziano po raz ostatni, wybierała się do starosty na zamek. Tak mi przynajmniej powiedział Lewin.

– I uwierzyłeś temu padalcowi?! – Dziewczyna była coraz bardziej wzburzona. – A powiedział ci chociaż, po co Sara tam polazła?!

Bartłomiej pokręcił głową. Miał pewne przypuszczenia, ale nie zamierzał się nimi z kimkolwiek dzielić. Uważał, że Węgliszek namówił Sarę, aby uwiodła Kościeleckiego. Nie miał dowodów, jeno przypuszczenia. Sara była zdolna do podobnych wyczynów. Diabeł zwany Węgliszkiem był... No cóż, był zdolny do każdego szelmstwa.

– Chyba znasz Węgliszka – rzucił do Żydówki.

– I to od najgorszej strony – odparła dziewczyna. – Okradł nas, mnie i mojego przyjaciela, i oszukał, a na dodatek z powodu jego działań poszukiwano nas przez kilka lat jako zbiegów i morderców. Koniec końców przez matactwa Węgliszka zginął Alfred, mój kompan. Swoją drogą, z rąk ludzi Kościeleckiego. Na moich oczach. Nie mów mi zatem, że to dobry i religijny człowiek. Znam Węgliszka. Z jedynej strony, jaką ten gad ma.

Słowa Żydówki poruszyły Chodynę.

– Okradł? Z czego? Pieniędzy?

– Nie. Zabrał nam książkę. Cenną.

Lekki skurcz przebiegł przez oblicze Bartka. Przed oczami stanęła mu kanciasta, kłamiwa gęba Węgliszka. Elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Bartłomiej był cały czas pionkiem w rękach Diabła. Węgliszek obiecał Chodynie pomoc w jego misji w Polsce. Chodziło o małą książkę do nabożeństwa. Ewangeliarz zawierający ważne dla Turków sekrety. Modlitewnik był przez chwilę w tureckich rękach, potem przepadł w tajemniczych okolicznościach.

Węgliszek twierdził, że książeczkę zabrała Miriam. Tymczasem cały czas miał modlitewnik przy sobie.

– Książkę? – zapytał, jakby nie dosłyszał.

– Hej! Zapomnieliście o mnie czy co? – zaprotestował przewrócony mężczyzna.

– O tobie? Skądże. Biłeś się z kimś? – zapytała Miriam, spostrzegając ślady krwi na ubraniu nieznajomego.

Ten zerknął na swoją brudną, wysadzaną ćwiekami ciemnoczerwoną kurtę.

– Napadnięto mnie przed czterema dniami.

– Myślisz, że mówi prawdę? – zwrócił się do dziewczyny Chodyna.

Bartek nie zauważył, kiedy mężczyzna wyszarpnął zza cholewy wysokiego buta nóż. Teraz aż warknął z bólu. Zbir skaleczył go w rękę ściskającą broń, po czym odskoczył w kierunku Miriam. Rana, choć płytka, obficie krwawiła. Bartłomiej podniósł dłoń do oczu i zobaczył krew ściekającą po palcach. Nie puścił jataganu. Odwrócił się spokojnie na pięcie.

– Głupiec z ciebie – rzekł wolno. – Teraz będę ci musiał uczynić to samo.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł, panie?! – wrzasnął nieznajomy, chwycił Miriam za rękę i szybko przyciągnął do siebie. Ścisnął gardło dziewczyny, a do jej policzka przyłożył okrwawioną klingę sztyletu.

– Ani drgnij! Bo rozpruję tę ślicznotkę jak nabrzmiałą lochę!

– Ja ci dam lochę! – zawołała dziewczyna. Odwróciła się i wyślizgnęła z uścisku. Zanim zareagował, wbiła mu paznokcie w oczy. Zawył i złapał ją mocno, usiłując okiełznać. Nie przewidział jednak, że dziewczyna tak łatwo się nie podda. Kopnęła go, celując gdziekolwiek, lecz trafiła w łydkę. Osunął się na ziemię i upuścił broń. Po chwili Miriam siedziała na nim, okładając go po głowie, klatce piersiowej i podbrzuszu. Zasypany gradem ciosów wzywał pomocy. Wyciągnął rękę w kierunku sztyletu. Dziewczyna spokojnie wstała, nadepnęła z całej siły na palce ofiary i przekreśliła stopę. Chrupotowi łamanych kości towarzyszyło przepełnione cierpieniem wycie.

Nieznajomy wpatrywał się w dziewczkę rozszerzonymi wściekłością oczami. Wyrwał rękę spod jej stopy i mocno przytulił do ciała.

– Nie wiedziałeś, z kim zaczynasz, hę? – Chodyna stanął nad biedakiem. Chwycił Miriam za ramiona i poderwał do góry. Zignorował ból w zranionej ręce. – No, już dość tego znęcania się, moja droga...

W chwili gdy to powiedział, jego kostka chrupnęła pod wpływem kopniaka. Towarzyszył temu przejmujący, ostry ból. Chodyna upadł i zwinął się w kłębek.

– Zwariowałaś?! – Chwycił się za nogę i popatrzył w górę.

– Ani trochę. – Zmrużyła z nienawiścią oczy. – A w przyszłości trzymaj łapy przy sobie.

– Wariatka! – zawołał.

– No, no! – Wyciągnęła rękę, w której trzymała sztylet, i pogroziła ostrzem Chodynie. – Tylko bez wyzwisk, jasne?! Powiedz mi lepiej, czy masz sznur. Zwiążemy go. Potem przesłuchamy.

– A wcześniej co będziemy z nim robić? – Bartłomiej skrzywił się. – Miriam, nie mamy czasu na pogawędki. Mus nam...

– Wcześniej niech się rozbierze – przerwała janczarowi.

Bartek ściągnął brwi.

– To chyba nie pora na zabawę.

Dostał kuksańca w żebra.

– Nie wiem, o czym myślisz, ale mnie chodzi jedynie o jego ubranie. Będzie na mnie dobre. Każ mu się więc rozebrać. I nie zapomnij o butach.

– Nie rozkazuj mi – odrzekł sucho Bartłomiej. Wytrzymała jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Chodyna miał coraz większą ochotę ztrzeć ten uśmiech z twarzy.

– Nie wiem, kim jesteś. Nie podobają mi się twoje konszachty z Węgliszkiem. Powiedz jeszcze słowo, a nigdzie z tobą nie pojedę, jasne? Każ mu się rozebrać. Do rosołu. Zrozumiano czy nie?

Chodyna kiwnął głową.

– W takim razie się rozumiemy. Daj sznur. A potem rozejrzyj się po okolicy, jak chciałeś. Ten drań przyjechał na pewno konno. Przyda mi się wierzchowiec. Tylko wróć tu za chwilę, to opatrzę ci rękę.

Chodyna cisnął Miriam sznur.

– Rozbieraj się. – Dziewczyna stanęła nad więźniem.

– Do naga? – zapytał ten niepewnie.

– A jakże.

– Nie ma mowy. – Pokręcił głową. Przyłożyła mu ostrze do policzka. Nieznajomego przeszły ciarki.

– W zasadzie bieliznę możesz sobie zostawić – wysyczała mu do ucha. Zaczął nerwowymi ruchami rąk ściągać buty.

– No i widzisz, Chodyna? – powiedziała, chwytając się pod boki. – Jaki posłuszny? Nie będzie

z nim więcej problemów, mówię ci.

– Zaraz, zaraz! – zawołał jeniec, gdy zaczęła wiązać mu ręce z tyłu. – Jeszcze nie powiedziałem, że oddam wam konia! To rabunek w biały dzień! A co ze mną?! Jak dostanę się do miasta?

Żydówka wyjęła nóż spomiędzy zębów, jako że tam go trzymała, pętając więźnia, i posłała mężczyźnie pobłażliwy uśmiech.

– Niedaleko jest szpital prowadzony przez benedyktynów. Tam cię ugoszczą i dadzą nowe szaty. A jak się tam dostaniesz? Pieszko. Ruch dobrze ci zrobi. Przemyślisz sobie, co chciałbyś w życiu robić. Bo obecną profesję radzę ci porzucić. Marny z ciebie zakapior.

– Chyba nie zamierzasz go puścić wolno?! – zdziwił się Bartłomiej. Postanowił w duchu, że na razie będzie jej pozwalał na fochy, a jak tylko dowie się, gdzie jest książka, odwdzięczy się dziewczce za wszystkie upokorzenia.

– Zobaczymy – odparła, przenosząc wzrok na więźnia. – Wszystko zależy od tego, ile nam powie. No już, Chodyna. Przyrowadź mi konia.

– Nie powinienem cię zostawiać z nim samej.

Podniosła do oczu ostrze sztyletu.

– A co? – spytała, zerkając na klingę. – Boisz się, że go wykastruję? Nie gadaj mi tu po próznicy, tylko rób, co mówię.

Uśmiechnęła się na widok twarzy więźnia i jego błagalnego spojrzenia.

\*\*\*

– Nie powinnaś mu ufać – zauważył więzień, gdy tylko Chodyna zniknął za progiem chaty. Nadal tulił do piersi opuchniętą rękę, choć ból tłumilo zimne powietrze. Przytykał palce do ust, dmuchając w drżące dłonie. Dziewczyna przymierała właśnie jego portki. Wciągając je na kolana, musiała zdrzeć koszulę i ukazała w ten sposób wszystkie swoje wdzięki.

– Gdzie się gapisz?! – warknęła w odpowiedzi na lubieżne spojrzenie jeńca.

– Ja... tylko... – Dostrzegła pot gromadzący się nad górną wargą mężczyzny.

– Nie dla psa kielbasa – rzuciła. – A co do Chodyny, wcale mu nie ufam. Nie martw się o mnie. Martw się o siebie i o to, jak wydostaniesz się z tej kabały, w którą wpadłeś.

– Nie chodzi o zwykłe zaufanie – odparł.

– A o co?

– On ci wszystkiego nie mówi.

– On mi prawie nic nie mówi – poprawiła mężczyznę, wzruszając ramionami.

– Jest człowiekiem Kościeleckiego, jak i ja – rzucił mężczyzna, spluwając. – Widziałem go

w karczmie z podstarościm, Piotrem z Zagajewic. Rozmawiali o interesach.

– To prawda – przyznał Bartłomiej, stając w progu. Spokojnie, jak gdyby nigdy nic wprowadził srokatego konia. – Znam Piotra z Zagajewic i służę mu. Przynajmniej pan Piotr tak uważa.

– Nic już nie rozumiem. – Miriam zerwała się, prawie upuszczając spodnie.

– Przydałby ci się pasek – zauważył Chodyna.

– Bardzo śmieszne. – Zmrużyła oczy, spoglądając na Bartka. – Nie zmieniaj tematu. Co to ma znaczyć? Jak to, pracujesz dla Zagajewskiego? Mówiłeś co innego.

– Cóż. – Wzruszył ramionami. – Powiedziałem, że nie służę staroście. Zagajewski starostą nie jest.

– Na czym polega twa służba? – zapytała oschłym tonem Miriam. Dość miała zdrad i spisków.

– Piotr z Zagajewic zapłacił mi, żebym cię ściągnął do miasta. Nie wiem po co. Być może z rozkazu starosty.

– Więc kłamałeś mi o Sarze?

Pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Sara jest protegowaną Lewina, zwanego Węgliszkiem albo Diabłem. To Lewin poznał mnie z panem Piotrem, a dziewczynę z Kościeleckim. Diabeł jest w Bydgoszczy kimś w rodzaju księcia świata przestępczego. Załatwia co bardziej podejrzane interesy dla Kościeleckiego i czerpie z tej znajomości niemałe profity. Cała trójka jest ze sobą powiązana.

Miriam prychnęła.

– Węgliszek i Kościelecki?

– Już od dawna – poinformował go Chodyna. – Zaczęło się dokładnie siedem lat temu. Złapano wtedy Węgliszka na kradzieży jakichś relikwii czy kosztowności z kościoła. W lochu zawarł ze starostą porozumienie i uratował się w ten sposób od stryczka.

– Pięknie – przyznała Miriam. – No i co dalej?

– W zamian za przysługi Węgliszek dostał wolną rękę, jeśli chodzi o przemyt i burdele. Praktycznie każda karczma i zamtuż w mieście płacą mu dzisiaj haracz. Węgliszek ma też spore udziały w interesach na Wyspie Młyńskiej i posiada tam kilka czynszówek. Jedną wynajmuje nawet staroście. Oczywiście w legalnych sprawach przyjmuje nazwisko Lewin, które widnieje na każdej umowie.

– A jak Sara wpakowała się w podobną znajomość? – spytała dziewczyna.

– Po prostu. – Bartłomiej wzruszył ramionami. – Przyjechała do miasta bez grosza przy duszy. Szukała ciebie i wpadła przez to w kłopoty. Zgarnęli ją z ulicy ludzie Kościeleckiego. Na szczęście Węgliszek pomógł dziewczynie i wziął ją pod opiekę.

– I zrobił z niej dziwkę starosty – domyśliła się Miriam.

– Tego nie wiem. – Chodyna pokręcił głową. – No, ale z drugiej strony nie poszła przecież do

zamku na służbę.

– Sypialiście ze sobą? – zapytała prosto z mostu. – Ty i Sara?

– Ja... – Bartłomiej nabrał wody w usta, dostrzegając łzy ściekające po policzkach Żydówki.

– No, tak. Oczywiście, że mi nie powiesz – warknęła. Podciągnęła nosem i wytarła policzek wierzchem dłoni, w której trzymała nóż. Potem nachyliła się nad więźniem i zaczęła rozcinać krępującego powrozy.

– Co robisz? – spytał, krzywiąc się, Chodyna.

– Tak jak ustalaliśmy. Uwalniam go – odparła. – A na co to wygląda?

Nachyliła się, szepcząc do ucha związanego mężczyzny.

– Powiedz staroście, że wkrótce się spotkamy. Że Miriam po niego idzie.

Głos dziewczyny sprawił, że znowu przeszły jeńca ciarki.

– Nie możesz go puścić – zaprotestował Bartłomiej. Popatrzyła na niego zirytowana i fuknęła wściekle.

– A co? Boisz się, że Piotr z Zagajewic ci nie zapłaci?! – Parsknęła i pokręciła głową. – Dobrana z was para, ty i Węgliszek. Obaj usiłujecie ciągnąć wszystkie sroki za ogon. A ja tobie odpowiem tak: Albo robimy to po mojemu, albo wracasz do Bydgoszczy sam.

– Mówiłaś, że na kogoś czekasz – zauważył. – Że musisz pozostać w Kruszwicy.

– Właśnie znudziło mi się czekanie. Poza tym, jak dobrze pójdzie, spotkam tę osobę w Bydgoszczy.

Ugryzła się w język.

– No i co najważniejsze, jest tam moja siostra – dodała, a potem zerknęła z ukosa. – Chyba że mi zełgaleś.

– Sara jest w Bydgoszczy – odparł bez mrugnięcia okiem Chodyna.

– I ma kłopoty.

– I ma kłopoty – zgodził się Bartek.

W tej samej chwili powrozy strzeliły i puściły. Więzień zerwał się do biegu, lecz gdy tylko dał krok, zarył twarzą w klepisko.

– Idiota – parsknęła. Chodyna zszedł zbirowi z drogi.

\*\*\*

## Bydgoszcz

– Tomasz. Tomasz z Poznania – przedstawił się mężczyzna w kapturze. Jego długa, biała broda wydała się sądowemu pisarzowi, Mikołajowi, niesamowicie rzadka. Sroga twarz miała w sobie coś



przeróżającego. Nie chodziło tu nawet o blizny. Oblicze tchnęło jakimś niesamowitym rodzajem siły, witalnością właściwą osobom, które mimo wieku czepiają się kurczowo życia.

– Panie Tomaszu... Czemu zawdzięczam tę łaskawość? Strawa? Grzane piwo? Śmiem twierdzić, że jesteś od dziś moim ulubionym nieznajomym.

– Pij i jedz, nie gadaj, Mikołaju.

Tomasz przechylił się przez stół.

– Wiem, co uczyniłeś – wyszeptał do Mikołaja. Jego oczy błyszczały spod kaptura jak dwie monety z brązu. Pomarszczona, owinięta bandażem ręka złapała dłoń mężczyzny. Błede, kościste oblicze jedzącego stało się jeszcze bledsze, a przetykane siwizną włosy zjeżyły mu się na głowie.

Tępy uśmiech zniknął z pokrytej siwym zarostem twarzy mężczyzny. Wysoki, brzydki jak muł i najwyraźniej bardzo głodny pisarz sądowy, siedzący naprzeciw zakapturzonego nieznajomego, zakrztusił się i wypluł kawałki przeżutego mięsa na stół. Ciarki przeszły skrybę. Mężczyzna zmierzył nieznajomego wzrokiem. Wytarł twarz.

– Byłeś pisarzem podczas procesu Katarzyny Kucharczykowej – rzekł przybysz. Słowa cięły powietrze jak sztylet.

Mężczyzna popatrzył surowo na Tomasza. Zmarszczki pokrywające spuchnięte, pozbawione włosów oblicze niczym pajęcza sieć naciągnęły się jeszcze mocniej. Stary wyciągnął chudą, żylastą rękę i drżącym ruchem poklepał pisarza po wierzchu dłoni.

– To było prawie dwadzieścia lata temu! – zawołał naburmuszonym tonem Mikołaj. – Czemu wszyscy ciągle o to pytają?

– Byłeś już o to pytany?! – Obcy złapał skrybę za ogon kaptura. Był wzburzony, zerwał się z zydlu. Skryba rozejrzał się dokoła, zanim odpowiedział.

– Ja nie – rzekł z zaskakującą szczerością. – Ale grożono mojemu bratu, który był podówczas strażnikiem miejskim. Ktoś go pobił. Brat ledwo uszedł z życiem.

– Kto taki? – Przybysz uspokoił się i puścił byłego pisarza sądowego. – Kto mu groził?!

– Nie wiem. – Mikołaj wzruszył ramionami. – Podobno jakiś mnich. Zdziwiłem się, że tak wystraszył mi brata. To przecież kawał chłopca.

– A ciebie nie wypytywał?

Mikołaj się roześmiał.

– Nie dotarł do mnie. Zaszyłem się w znajomym zamtuzie. Widzisz, panie... Nie przywykłem do widoku krwi. Zwłaszcza własnej.

– Więc prysnąłeś? – Nieznajomy popatrzył jeszcze raz po izbie, gdzie wszystko – klientela, zasłony, zapach pieczystego, kufle, ba!, nawet głosy i smaki – wydawało się skrajnie brudne i utyłane w dymie.

– Uciekłem. Co w tym dziwnego? Życie mi miłe.

– Kiedy to było?

– Nie dalej jak kilka miesięcy temu.

– Mnich, powiadasz?

Ostrość głosu sprawiła, że Mikołaj zadrżał.

– T-tak – odrzekł z drżeniem.

Złe oczy przewiercały na wylot byłego pisarza.

– To był Mateusz – mruknął nieznamy. Jedno z jego oczu rozbłysło odbitym światłem. – Syn Katarzyny.

– No i co z tego? – Skryba wzruszył ramionami. Miał serdecznie dość tej rozmowy i nawet jedzenie już mu nie smakowało.

– Przychodzę tu w jego imieniu. Mateusz nie żyje – dodał, wstając od stołu. – I jest to wina twoja i każdej osoby, która uczestniczyła w procesie Katarzyny. To wtedy wszystko się zaczęło. Uruchomiliście bieg zdarzeń, który doprowadził do śmierci wielu osób. Wielu jeszcze z tego powodu umrze. Dotrę do każdego, kto był obecny przy procesie. Nie wyłączając samego starosty.

– Nie rozumiem... – Wyraz twarzy skryby potwierdzał jego słowa. Mikołaj powiódł oczami za nieznanym.

– Wyjaśnię ci to, dobrze? – zaproponował. – Znasz, zdaje się, prawo ostatniego posiłku? Tak, musisz znać. Jesteś mądrym człowiekiem. Piśmiennym i wykształconym. Cóż, twój ostatni posiłek, choć smaczny, był także karą śmierci, którą powinien poprzedzać.

– Cooo?! – spytał z tępych wyrazem oczu Mikołaj. – Co to za bzdury?!

– To, co usłyszałeś. – Bezlitosne oczy spojrzały nań.

Skryba odstawił gwałtownie piwo, rozlewając je na stół. Przyjrzał się zmrużonymi oczami obcemu.

Wnet już chrząkał i chwycił się za gardło, zataczając. Krzesło, na które napał plecami, przewróciło się wraz z nim. Dopiero po chwili nogi Mikołaja przestały wierzgać.

Nadbiegła służba. Gardło potężnego mężczyzny było przepalone.

Karczmarz z karczmarką nikogo poza pisarzem nie zobaczyli przy stole.

# Rozdział 8

## Okolice Złotników Kujawskich

Droga wiodąca przez knieję była tak wyboista i wąska, że nierzadko zsiadali z koni i prowadzili zwierzęta za sobą. W dodatku przykrywała ją miejscami gruba warstwa pyłu i jedynie usypane kopce pozwalały odróżnić trakt od zwykłych leśnych ścieżek. W pewnej chwili całkiem się urwała, ustępując mokradłom utworzonym przez wylaną rzekę.

Po jakimś czasie trafili na rozdroże i dalej podążali znacznie szerszym gościńcem, pokrytym przez dziesiątki krzyżujących się kolein. Trakt wypełniały liczne wyrwy i kałuże stojącej wody, lecz obok biegły na szczęście pasy udeptanej ziemi. Pośrodku gościńca napotykali pnie, monstrualnie poskręcane, grube jak lędźwie korzenie oraz głębokie jamy. Natrafili nawet na leżące w poprzek drogi drzewo.

Część traktu, którym od niedawna podążali, wyłożono faszyną. Znak, że zbliżali się do jakiegoś sioła.

Przez całą podróż nie napotkali człowieka. Jedynie raz zobaczyli w dali grupkę ludzi kopiących rów na środku drogi. Wszyscy nosili proste chłopskie kaftany, przewiązane sznurem koszule za kolana, a na głowach kaptury zadymowe. Chodyna podniósł się w strzemionach i do nich zawołał, na co natychmiast czmychnęli w knieję.

– A tych co ugryzło? – rzucił janczar.

Miriam parsknęła pod nosem.

– Nie dziw się, że uciekli – rzuciła. – Pewnie wzięli nas za strażników dróg. Te psubraty psują drogę.

– Co robią?

– Niszczą gościńiec.

– Nie rozumiem. Po co?

– Na polecenie pana. Szlachcic nakazuje niszczyć drogę, żeby wykorzystywać Grundenrecht.

– To z niemieckiego?

– Jaki uczony – parsknęła Miriam. – Tak. To z niemieckiego. Oznacza: „Co spadło, przepadło”.

Król nakazał kupcom przymus drożny. Nie mogą pojechać sobie z towarem, którądy chcą. Muszą używać królewskiego gościńca i żadnego innego. Pod karą grzywny. A niektórych knąbnych może nawet spotkać pręgierz. Stąd droga taka rozjeżdżona, bo uczęszczana.

– Więc jeśli, powiedzmy, wóz straci koło albo koń okuleje...

– Kupiec traci swoje towary. No, chyba że wszystko na barkach przeniesie. W ten sposób w majestacie prawa właściciel może zrabować kupcowi, jeśli towar spadnie mu z wozu albo połamię się, dajmy na to, osie i karawana stanie. Nieuczciwy pan specjalnie pomnaża przeszkody i psuje drogi,

a kasztelanowi się skarży, żeby przed wyższymi władzami pięknie wyglądać.

– To oburzające!

Miriam wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem? Co w tym oburzającego? Kołodzieje zyskują, szlachcic zyskuje. Interes się kręci i wszyscy są zadowoleni.

– Oprócz podróżnych.

– A kogo obchodzą podróżni? To głównie przyjezdni. Niemcy, Czesi. Wcześniej czy później pojadą swoją drogą. A że po drodze zostawiają parę talarów? Tym lepiej.

– Dziwny kraj. – Chodyna pokręcił głową.

\*\*\*

Pierwsza dostrzegła, a raczej usłyszała procesję Miriam. Pora była późna, długie cienie kładły się na drodze, toteż nie od razu zauważyła korowód. Jechali z Chodyną piaszczystą drogą, wiodącą wprost z cichej puszczy, wśród świeżo zasianych pól. Wszystko przybrało łagodny złotobrazowy odcień. Ćwieki na kurcie dziewczyny iskrzyły się jak miedziaki, oddając czerwone promienie rozognionego słońca. Odzienie zabrane człowiekowi Kościeleckiego pasowało, choć kaftan przesiąknął nieprzyjemnym, słodkawym zapach męskiego potu, a portki były trochę workowate i luźne w kroku. Buty musiała wyłożyć grubymi onucami, żeby jej nie spadły.

Kilkudziesięciu chłopów, mężczyzn i kobiet, szło korowodem, śpiewając głośno Psalm Mojżeszowy. Dziewczyna stanęła w strzemionach, po czym zanim Chodyna zaprotestował, uderzyła konia ostrogami i pogalopowała w stronę procesji.

Chłopi i chłopki zdziwieni odwracali się i spoglądali na Żydówkę. Na przedzie szedł postawny chłop w filcowej czapie na głowie, wnosząc wysoko w rękach święty obrazek. Miał gęste, złote wąsy i wydatny brzuch, ukryty pod krótkim płaszczem na połowie koła. Towarzyszyła mu uśmiechnięta kobieta o serdecznym spojrzeniu i szerokich biodrach.

– Daleko stąd do Złotników Kujawskich?! – wykrzyknęła Miriam. Część ludzi przestała śpiewać.

– Niedaleko, panie – odparł mężczyzna, biorąc Miriam za chłopca. – Tam właśnie zmierzamy. Jesteśmy ze Złotników. Jeśli chcesz, zejź z konia i poprowadź go za nami.

Kobieta zgromiła Miriam spojrzeniem, ale nic nie odpowiedziała. Tymczasem do Żydówki dołączył jej towarzysz.

– Jeśli masz robotę dla któregoś złotnika, to wybrałaś złą porę – zauważyła w końcu chłopka, przeszywając Miriam spojrzeniem. – Obchodzimy Zielone Świątki i nikt nie zasiądzie ci, pani, do warsztatu, żeby coś reperować.

– Szukamy jedynie noclegu! – wykrzyknął Bartłomiej. – Gościńce strasznie nieprzejezdne, wykroczyśk pełne i nie nadrobiliśmy drogi, jak żeśmy mieli w zamiarze.

– Ano, nie może się dogadać kasztelan z właścicielem Złotników, który winien drogę naprawiać.

– Nie mogą się dogadać? – Bartek ściągnął brwi. – Na temat czego?

– Kasztelan wydzierzawia panu komorę celną, więc się nie poczuwa, a pan, jak to pan, twierdzi, że droga to królewski trakt.

Miriam nagrodziła słowa chłopca słabym uśmiechem.

– A nie mówiłam? – rzuciła do janczara. Chodyna kiwnął znacząco głową, a wieśniak ściągnął brwi.

– Cóżes pani mówiła? – zapytał, pojawiawszy, że ma przed sobą niewiastę.

– Nic – odparła. – Tak się przekomarzaliśmy. To jak będzie, miły gospodarzu? Znajdzie się dla mnie i mego towarzysza jakiś ciepły kąć?

– Chodźcie z nami – podjął mężczyzna. – I strawa się znajdzie, i napitek. Nie musicie śpiewać, jeśli nie umiecie.

Miriam prychnęła, ale zeskoczyła z rumaka. Korowód z wolna ruszył naprzód. Z początku nieśmiało, ale głosy podjęły przerwana w połowie pieśń. Najgłośniej śpiewały stare, podpierające się kosturami babcie, one też rozpoczynały kolejne zwrotki.

Wkrótce zobaczyli pierwsze ogniska. Stały na obrzeżach wioski, okadzając domy siwym dymem. Procesja przemaszerowała przez mostek przerzucony nad strumieniem. Kobiety podjęły śpiew. Tym razem nie była to nabożna pieśń, lecz lekka ludowa piosenka.

*Gaiczek zielony*

*Pięknie umajony*

*W czerwone wstążeczki*

*I zielone listeczki przystrojony*

*Bo ten gaik z lasu idzie*

*Dziwują się wszyscy ludzie*

Wiatr przygnał swąd dymu oraz odgłosy muzyki przypominającej dzikie trele, odpowiadającej na śpiewy kobiet. Gdy weszli w zasięg domów, dźwięk cymbałków i piszczałek grzmiał już w uszach wesołymi tonami. Miriam spoglądała na okrągłe, kryte strzechą domy, oświetlone blaskiem ognia. W licznych obejściach stały wycięte młode brzoźki. Pośrodku wsi płonęło ogromne, trzaskające iskrami ognisko. Przyozdobione zielonymi gałązkami, kwiatami i tatarakiem, okna domów migotały odbiciem płomieni.

Między ogniskami gromadzili się chłopcy. Stukały o siebie gliniane kubki. Kobiety tańczyły dokoła, trzymając się za ręce.

Z ogromnej, stojącej na uboczu stodoły wyprowadzono pół tuzina łaciatych jałówek. Krowy, ciągnięte w stronę ustawionych naprzeciwko siebie ognisk, przystrojono wieńcami i kwiatami. Zwierzęta muczały podenerwowane. Kobiety, nie przestając tańczyć, cisnęły do ognisk naręcza ziół. Chłopi wprowadzili krowy między ogniska, a kilku okadziło zwierzęta dymem, wachlując płomienie miotłami zrobionymi z gałęzi. Po grzbietach i bokach zwierząt toczono świeże jaja. Skorupki pękały pod kopytami zwierząt.

Nagle coś wybuchło tuż przed oczami Miriam. Ogromna kula ognia wypełniała zapachem siarki powietrze, a dziewczyna odskoczyła.

– Szlag by was trafił! – zawołała wesoło do półnagich mężczyzn. Spojrzała na ogniomistrzów zaperzona. Jeden z mężczyzn kręcił linami, na których końcu zapalały się raz po raz kule, drugi pluł ogniem w górę. Obaj byli półnaczy. Ich muskularne ciała lśniły od potu. Na brzuchach podrygiwało sadło.

Od nagłego potoku białego światła, a może śpiewów i krzyków, zakręciło się Bartłomiejowi w głowie.

Ogniska rzucały iskry i potężne cienie na niskie chaty. Piszczalki, fujarki i rogowe trąbki napełniały okolicę muzyką. Rozbudowana rytmika ubogiej melodii wydała się janczarowi nieco chaotyczna.

Chodyna okrążył ogniska i prowizoryczny piec chlebowy, prowadząc konia. Zgubił gdzieś Miriam. Zaczął się uważnie rozglądać, lecz nigdzie nie dostrzegł dziewczyny. W końcu poddał się, przywiązał wierzchowca w pobliżu stodoły, a potem usiadł przy jednej z ław zastawionych półmiskami mięsiva i kołaczami. Jadła na stołach było w bród. Pęta kielbasy, okraszone słoniną krupy, groch z kapustą i kiszona miesiącami kapusta wprost z beczki. Jadło znikало w ustach mężczyzn i kobiet, zapijane piwem i miodem.

Nikt nie dziwił się na widok nieznanego. Tradycja nakazywała, aby zapraszać bez słowa do stołu każdego mieszkańca lasu, który wyłoni się w nocy. Dotyczyło to także wszystkich innych obcych.

Chodyna przepłukał gardło piwem. Usiadł w cieniu wśród krzyżących i śmiejących się głośno ludzi, choć nie pragnął towarzystwa. Zagryzał piwo pajdą chleba ze smalcem.

– Dziwny w smaku... – stwierdził i spojrzał spod ściągniętych brwi na wąsatego chłopca. Przed chwilą on także próbował chleba.

– Żytni – odparł inny wieśniak, widząc wyraz twarzy Bartłomieja. Uśmiechał się spod wąsów. Chodyna wznosił kromkę w dziękczynnym geście.

Ujrzał przed sobą roześmianą twarz młodej wieśniaczki. Dziewczyna miała ładne kości policzkowe i błyszczące jasne włosy, ozdobione gałązkami wplecionymi w warkocz, nazywany kukielką. Gibkie ciało, ukryte pod cienką koszulą, wydało się Bartłomiejowi niesamowicie ponętne. W pewnym momencie przez rozcięcie koszuli wysunęła się pełna pierś, ozdobiona błyszczącym i ciemnym niczym

dojrzała śliwka sutkiem. Półnaga, gibka wieśniaczka wyciągnęła długie, pomalowane ochrą ramiona w stronę Bartka, próbując zaciągnąć mężczyznę do tańca. Nie przestawała się przy tym śmiać, a jej w pół przymknięte oczy stapały się w jedno z twarzą pokrytą pełzającym czerwonym blaskiem. Zrezygnowała dopiero w momencie, gdy Chodyna wbił w nią swe błyszczące ogniem oczy. Dopiero wtedy dziewczka speszyła się i odeszła. Bartek ruszył z powrotem w stronę stodoły. Mijał kolejne ogniska. Wpadł w podły nastrój. Czuł się tu nieswojo i obco. Popatrzył na kobaltowe niebo pełen niepokoju, a nawet lęku. Nie rozumiał, skąd te przeczucia.

Miriam wprost przeciwnie. Dawno nie odczuwała takiej swobody. Ogniska posykiwały tłuszczem wytopionym z rozpiętych nad ogniem mięs. Między stołami roilo się od pasterzy, drwali i zwykłych chłopów, z którymi od razu znalazła wspólny język.

– Po co właściwie palicie te ogniska? – spytała z wesołym ognikiem w oczach jednego z pasterzy, świńskiego blondyna w śmiesznej, bezkształtnej czapie. Mężczyzna stał, uśmiechając się do dziewczyny, i czekał na trunek. Jedna z chłopek właśnie napełniała kubek pieniącym się w dzbanku piwem.

– Aby odegnać cioty – odparł poważnym głosem, wychylając napój. Przetarł pianę z rudych wąsów i zerknął bystrymi, zielonymi oczami na Miriam. Głośno westchnął. – Nie wiesz, co to cioty, prawda?

Pokręciła zdecydowanie głową i zaśmiała się.

– Czarownice – wyjaśnił łysy jak kolano wieśniak, słuchający ich rozmowy. – Demonice wodne i takie tam. Nie poczebujemy już ich pomocy, więc mogom wrócić, skąd przyłożyły.

– Pleban was nie gania za takie pogaństwo? – Parsknęła donośnie. Podziękowała, gdy i jej wręczyli kubek. Łysy chłop złapał dzbanek za ucho i polał Miriam tak szczerze, że chlusnęło dziewczce na buty.

– Wybaczenie, pani. – Skłonił się szybko, garbiąc jeszcze mocniej niż do tej pory.

Kiwnęła zdawkowo.

– W liturgiji jest to takie samo ważne święto, jak i każde inne kościelne – wyjaśnił wieśniak. – Kościelni mogom sobie gderać, ale ludzi nie zmieniom. Jesteśmy solą tej ziemi. A ziemia potrzebuje obrzędów, jak Bóg zdrowasiek.

Kilku innych chłopów pokiwało mądrze głowami. Miriam wychyliła piwo, po czym, wręczając kubek chłopu, podziękowała.

– To ci kobita! – wykrzyknął pasterz. Pozostali zaczęli głośno oklaskiwać zapał niewiasty do picia.

Lecz Miriam nie zwróciła uwagi na brawa. Uwagę jej przykuł przybysz stojący między chłopami, dobre kilkanaście kroków dalej. Nie pasował do reszty towarzystwa. Z początku myślała, że jest po prostu wyjątkowo szpetny albo może chory. Dopiero po chwili zrozumiała, że mężczyzna ma na obliczu maskę. Nieznajomy siedział i rozmawiał z miejscowymi, dla których zachowanie niepijącego nic i niejedzącego dziwaka nie było podejrzane. Nawet jego przebranie nie wydawało się im dziwne. Obcy nie wyglądał na jednego z pasterzy czy chłopów, lecz śmiał się do nich spod swej maski głośno

i jowialnie, a oni odpowiadali tym samym. Próbowali częstować go wszystkim, co było na stole, lecz mężczyzna kręcił jedynie głową. Tuż za wieśniakami płonęły ogniska, przemieniając tańczących we wzorzyste cienie.

Żydówka przeprosiła rozmówców i podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć mężczyźnie. Chwyciła z jednego ze stołów kufel i zamierzała wmieszać się właśnie w rozmowę kilku pijanych pasterzy, którzy stali w miejscu, skąd miała idealny widok na przybysza. Spojrzenie postaci w masce powędrowało w jej stronę. Drewniana, pokryta kolistymi ornamentami powierzchnia przedstawiała twarz diabła. Ostre, kanciaste rysy wyrzeźbiono w taki sposób, aby przestraszyć widza, ale i wzbudzić jego ciekawość. Groteskowo wpółotwarte usta i wydatny nos upodabniały rysy maski do twarzy Diabła Węgliszka. Miriam uśmiechnęła się przelotnie.

Poczerwione powieki nieznajomego więziły okrągłe oczy koloru świeżej trawy, widoczne za sporymi otworami maski. Ich spojrzenie spoczęło na dziewczynie. Przybysz wstał, odciągając nieco w tył ozdobiony wycinanką czarny kaptur, żeby lepiej widzieć. Bez ceregieli podszedł do Żydówki, nie spuszczając z niej wzroku. Ubranie obcego przylegało do ciała, bardzo smukłego i jakby wiotkiego. Sukno, tworzące mi-parti<sup>19</sup>, podzielone było po połowie na część czerwoną i zieloną. Zapinane rękawy jopuli były trochę za krótkie, a guziki migotały w blasku płomieni. Na widok oczu przybysza dziewczynę przeszedł dreszcz. Bezwiednie przesunęła dłoń na miecz, który zabrała człowiekowi Kościeleckiego. Dotyk zimnej stali ją uspokoił.

Obok dziewczyny przebiegł jeden z mężczyzn. Śmiał się głośno i rubasznie, porwany przez niższą o głowę dziewczuchę, której żółtozłote w blasku ogniska warkocze wirowały wkoło ich głów jak żywe. Obskakując partnera i wykonując wymowne, mimiczne gesty, wieśniaczka cały czas się śmiała. Wszystkich nakłaniał do sprośnego tańca gęźblarz, którego przyozdobiona dzwonkami czapa podrygiwała śmiesznie na zbyt dużej głowie. Przyodziały w krzykliwe, czerwono-zielone mi-parti mężczyzna zabawiał różnobarwny tłum wykrzykiwanym donośnym, mocnym głosem kupletem. Ogólna wrzawa sprawiała, że tylko niektóre słowa docierały do uszu Miriam.

Trochę dalej dwie śmiejące się kobiety obracały wkoło różna królika.

Zmierzyła wzrokiem mężczyznę. Było w nim coś przerażająco wprost znajomego. Nie potrafiła jednak odgadnąć co. Zrozumiała to dopiero wtedy, gdy przybysz zbliżył się i podsunął jej kubek z winem, a potem przepił do dziewczyny, zajmując miejsce przy krawędzi stołu. Wzniosła w rękach kufel, dając do zrozumienia, że ma co pić.

– Przypominam ci kogoś, prawda? – zagadnął nieznajomy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz, wiesz. Myślisz, że jestem głupi? Próbowalaś mi uciec – rzekł cicho niskim głosem. –

Myślałaś, że cię nie znajdę, prawda? Cóż, jestem sprytniejszy, niż myślałaś. I oto tu jestem, Miriam.



Z tymi słowami zaczął z zadowoleniem oglądać swoje palce zakończone długimi paznokciami pomalowanymi na czarno. Miriam westchnęła ze strachu.

– Nie bardzo rozumiem, skąd możesz mnie znać. – Potrząsnęła głową, czując przebiegające po krzyżu lodowate ciarki. – Ani tym bardziej ja ciebie.

– Czyżby? A jednak. Znam cię bardzo dobrze – odparł przybysz, po czym przysunął stopą stojący obok zydel. Wskazał go Miriam.

Drgnęła.

– To przykre, że mnie nie poznajesz – rzekł w końcu, bez mrugnięcia zajmując miejsce bliżej dziewczki. – Tyle ci pomogłem. Uratowałem ci życie nad Gopłem. Czuwałem nad tobą w szpitalu. Cały czas byłem obok.

– To jakieś bzdury.

– To szczerą prawdą – mruknął niechętnie nieznajomy.

– Kim jesteś?! – spytała. Miała dość ciuciubabki. Dała krok w tył, a w jej oczach malowało się zaskoczenie pomieszane ze złością.

– Przyjacielem – odparł. – Najlepszym, jakiego masz. Przyjacielem, który nie odstępuję cię na krok.

– Nie odstępuję na krok? – powtórzyła jak echo. – Przyjaciel? O czym ty...

– Myślałaś, że dałem ci już spokój, prawda? Ale ja zawsze jestem blisko ciebie. Nie odstępuję na krok. Jak na przyjaciela przystało.

– Przyjaciela?! – Coraz bardziej ją irytował. – Coś ci powiem. Ja nie mam przyjaciół. Skończ te wygłupy. Skąd przychodzisz?! I czego ode mnie chcesz? Bo ja nie mam żadnych interesów do ciebie, słyszysz?

W odpowiedzi cicho się roześmiał, a potem wskazał Miriam jedno z ognisk. Odruchowo odwróciła głowę.

Kiedy spojrzała z powrotem, nieznajomy zniknął. Natychmiast szarpnęła za ramię jednego z chłopów.

– Hej, ty! – warknęła ostro, nie rozpoznając łysego wieśniaka, który był dla niej taki miły zaledwie chwilę temu. – Siedział tu ze mną mężczyzna. Dziwnie ubrany człowiek w masce.

Chłop wzruszył ramionami.

– Gadalaś coś sama do siebie, pani – rzucił. – Nie pij więcej, bo źle ci to robi. Nie każda głowa do trunków stworzona.

Lecz Miriam nie usłuchała. Wypatrzyła nieznajomego, który kroczył w kierunku stodoły. Puściła się pędem w tamtą stronę. Biegając, zatoczyła się prawie na jedno z ognisk. Uratował ją jakiś mężczyzna, który chwycił ją w pasie, uniósł wysoko i posadził, pomagając utrzymać równowagę. Podziękowała

zdawkowo i ruszyła dalej, nie patrząc nawet w stronę wybawiciela, który głośno nawoływał Żydówkę.

Ścigany zniknął, rozpluwając się w cieniu, w którym skąpane było obejście stodoły. Budynek wydał się Miriam przeraźliwie wręcz cichy.

Spostrzegła poruszenie. Usiłowała dostrzec w ciemności rysy mężczyzny, który stanął bezczelnie na wprost niej.

– Nie bawisz się? – zapytał Chodyna, wychodząc z mroku. W jego głosie pobrzmiwała pretensja. – I gdzie postradałaś konia?

Miriam mimowolnie zamarła. Słyszała dudnienie własnego serca. W oczach dziewczyny Bartłomiej ujrzął gromadzące się łzy.

– To byłeś ty? – spytała.

Ściągnął brwi.

– O czym ty mówisz?

– O niczym... Ja chyba... Ja chyba zaczynam wariować.

Ukryła twarz w dłoniach. Podeszedł do niej, na co Żydówka, wiedzona impulsem, przytuliła się doń mocno i odszukała jego usta swoimi. Wpiła się w nie mocno, spazmatycznie chwytając nozdrzami powietrze. Przytuliła twarz do jego policzka. Pochylił się, chcąc pocałować ją w czoło. Uniosła ku niemu twarz. W mroku dostrzegał jedynie jej szeroko otwarte oczy.

– Ale co ci jest? – spytał.

– Nie wiem... – wymruczała Bartkowi do ucha. – Ja już nie wiem, co robię, Bartek. Widzę i słyszę dziwne rzeczy.

– Jakie rzeczy? – Odsunął ją od siebie. Przyjrzała się Chodynie bezbrzeżnie smutnymi, zamglonymi oczami.

– Nie mam nikogo. Nikogo, kto mi pomoże. Tylko upiory i zwidy chcą ze mną gadać.

– I ja.

Prychnęła.

– Znam cię dwa dni. I wcale się nie zdziwię, jeśli ktoś mi powie, że i ty mi się przywidziałeś.

– Potrafię ci udowodnić, że nie – oznajmił zaczepnie.

Popatrzyła mu w twarz, jakby widziała go pierwszy raz. Zobaczyła w jego oczach pożądanie. Pragnął jej.

– Udowodnij mi zatem, że nie jesteś zwidą – odparła. W jej oczach Bartek zobaczył ogień. Wsunął palce pod jej kaftan, bląkały się tam po ciele Miriam, jakby obdarzone własnym życiem. Miękką pierś poddała się ich dotykowi. Poczul twardniejący pod opuszkami sutek i wpijające się w jego ramiona palce. Lubieżne myśli przebiegły Bartkowi przez głowę. Dreszcz przeniknął całe jego ciało, podążając

wzdłuż kręgosłupa.

\*\*\*

Bartłomiej zerwał się z siennika i rozejrzał niewidzącym wzrokiem. Miriam stała w oknie zupełnie naga, jeśli nie liczyć wysokich butów. Patrzyła przez szybę. Skąpana w blasku widmowego księżyca wieś wyglądała niczym wyjęta żywcem z bajki. Okoliczne pola wydawały się lśnić jakimś nieokreślonym, wewnętrznym blaskiem. Osada z kolei przywodziła na myśl gromadę rozrzuconych przez dziecko klocków różnych kształtów i wielkości. Noc rzuciła głęboki cień na blade ściany schludnych domów.

– Miriam? – zapytał, odnosząc wrażenie, że piękna, smukła sylwetka jest jedynie mirażem. Był pewny, że dziewczyna zaraz się odwróci i okaże demonem o płonących ślepiach. Momentalnie jednak odepchnął tę idiotyczną myśl.

– Co to jest? – spytała dziewczyna, nie odwracając głowy. W ręku, co widział doskonale, trzymała rozłożony list, sporządzony na pergaminie. Zapewne usiłowała go przeczytać w blasku księżyca, pomyślał.

– List – odparł z uśmiechem i wstał.

– Przeczytaj mi go. – Okręciła się na pięcie i wyciągnęła do niego pismo. Powoli podszedł.

– Po co? – spytał, unosząc wzrok znad dokumentu.

Spojrzała na list. Nie widziała nigdy podobnego pisma. Znaki nie trzymały się poziomej linii, zaczynały się wysoko i schodziły ku dołowi niemal pod kątem prostym. Wyrazy napisane zostały blisko siebie, ich linie często krzyżowały się, tak że niezwykle trudno byłoby wstawić cokolwiek w napisany raz tekst.

– Jesteś jakimś szpiegiem czy kimś takim? – zapytała. – Chcę wiedzieć, co tu napisano.

Odebrał jej list.

– To nie ma znaczenia. Niepotrzebnie grzebałaś w moich rzeczach, Miriam.

– Dziwne pismo – przyznała.

– To współczesna turecka kaligrafia – oznajmił, patrząc na równe litery. – Nazywa się *divan-i-humayun*. Styl ten przyjęto do pisania oficjalnych dokumentów, by zabezpieczyć je przed ewentualnym sfałszowaniem.

– Więc to dokument?

– Mówiłem już. To list.

– Czytaj – zażądała. – Czytaj albo wracam do Kruszwicy.

– Nie szantażuj mnie.

– Czytaj.

Podszedł do stojącej w oknie świecy. Odlepił ją i wręczył Żydówce.

– Rozpal – poprosił miękko. – Muszę lepiej widzieć, żeby przeczytać.

– Dobrze – odparła, pochylając się ku porzuconym niedbale ubraniom. Przez chwilę myszkowała w sakiewce, usiłując znaleźć krzesiwo i hubkę. W tym czasie Bartek podziwiał jej wypięte pośladki.

– Gniewasz się, że przeszukałam twój ekwipunek? – zapytała, zerkając na niego kątem oka. Pokręcił głową.

– Świniak z ciebie, wiesz? – rzuciła, gdy spostrzegła wzrok mężczyzny. Parsknęła śmiechem. W izbie rozlegał się syk skrzesanego ognia. Coś zamigotało w mroku. Po chwili Miriam wróciła, trzymając świecę. Drugą ręką chroniła płomień przed zgaśnięciem. Bartek odchrząknął, zabierając dziewczynie świecę.

*Do Czcigodnego sułtana Bajazyda II, syna Mehmeda Zdobywcy,  
sułtana Rzymu, padyszacha, protektora wschodniego chrześcijaństwa,  
zwierzchnika domu Osmanów, sułtana sułtanów, chana chanów,  
przywódcy wiernych, sukcesora Proroka, władcy Wszechświata.*

*W imię Boga współczującego i wybaczącego.*

*Jako że życie moje dobiega końca i nie jestem w stanie spełnić prośby, którą, o Czcigodny, składasz na moje barki, wiedziony przezornością i mądrością właściwą schorowanemu starcowi ślę list odpowiadający na wszelkie pytania, które w swej przenikliwości pragnąłbyś mi zadać.*

*Oto opis zdarzeń, które rozegrały się pod Warną po zwycięstwie nad niewiernymi psami i ich nieszczęsnym królem Władysławem. Po tym, gdy janczar Kodża Chazer dzielnym natarciem ranił mu konia i zwałił na ziemię wychowańca piekła, uciął nikczemną głowę i przynosząc ją padyszachowi, pochwały, względy i hojną nagrodę osiągnął, spotkał się ze mną w moim namiocie, jako że wiedział, iż wielką czią darzę księgi stare i przedmioty magiczne. Miał z sobą dwie inne rzeczy przy królu zachowane, to znaczy kostkę pokrytą zawiłymi wzorami wraz z pisaną w barbarzyńskiej mowie Konstantynopola książeczką, pełną bluźnierczych modlitw. Co do głowy, jak już to powiedziałem, posłana została do Brussy, przedtem stolicy państwa, aby na widok pospolitego ludu była tam wystawiona. Dla zachowania od zepsucia w miodzie została zatopiona.*

*Wracając do zdarzeń, które po dziś dzień były sekretem, dzielonym przeze mnie jedynie z Chazerem, były one natury mrocznej i dziwnej i stały się przyczyną mej hańby oraz potępienia. Niech mędracy i imamowie oceniają, czy dobrze postąpiliśmy, czyniąc użytek z książki przy niewiernym psie znalezionej. Jak Allah objawił księgę Mahometowi w jaskini Al-Hira za*

*pośrednictwem anioła Dżibrilla, tako my ujrzelismy postać anioła ognistego, niczym postaci z krwi i kości. Anioł nakazywał nazywać siebie Hariem i obiecał zdradzić wszelkie tajemnice, które sam posiadał. Tej nocy wraz z dzielnym Chazerem przyzywaliśmy duchy i zaklinalismy anioły.*

*Po tym, co się wydarzyło, przesłałem książeczkę oraz kostkę Muradowi, zaznaczając, że mają one magiczną moc. Sułtana bardzo zaciękała moja historia, lecz nie uchroniło mnie to od oskarżeń ze strony imamów. Mój towarzysz, Kodża Chazer, został wydany imamom i najprawdopodobniej stracony. Ktoś usiłował ukryć prawdę.*

*Wiadomo mi, że przez krótki czas książka przebywała w rękach tureckich. Potem zaginęła. Najprawdopodobniej sprzedana została wraz z zatopioną w miodzie głową króla za ogromną sumę w złocie. Znam wszelako relację na temat sprzedaży całego ciała pokonanego króla do Polski. Wiadomo mi także, że ciało nie należało do Warneńczyka.*

*Tyle mi wiadomo. Rzeczy, które działy się tej nocy w namiocie, powtórzyć nie zdołam, albowiem pamięć łagodnie się ze mną obeszła i nie pozwoliła koszmarnym snom dręczyć mnie w nieskończoność. Gdzie księga spoczywa, także mi nie wiadomo.*

*Cały ten opis przekazuję Chodzy Chodinie, niczego umyślnie nie tając. Żywię nadzieję, że relacja moja po coś się przyda i będę mógł odejść w spokoju, wiedząc, że między mną a Czcigodnym nastał pokój, którego tak gorąco pragnąłem.*

*Wierny sługa Czcigodnego  
niegodny światłości Następcy Proroka,  
Chodza Effendi*

– Fiu, fiu – gwizdnęła Miriam. – List do samego sułtana. Dobrze, że nie do Boga. A ten Chodza Chodina to niby ty?

– Nie kpj – rzucił janczar. – I tak. Chodza Chodina to ja.

– I co to ma niby oznaczać? Co to za papier? Jakiś testament czy co?

– Po prostu list.

– I czego ma dowodzić?

– Że tak naprawdę jestem tureckim szpiegiem – odrzekł bez mrugnięcia.

Przez chwilę obserwowała mężczyznę w milczeniu.

– I tak po prostu to przyznajesz? – Wzruszyła ramionami.

– Nie mam nic do ukrycia – odparł, rozkładając szeroko ręce.

– Co prawda, to prawda. – Zmierzyła wzrokiem nagiego Bartłomieja. – A kim jest ten cały Effendi?

– Chodź Effendi to turecki dziejopis wygnany za panowania Mehmeda Zdobywcy. Poglądy polityczne uczyniły historyka wrogiem Mehmeda, a pośrednio także obecnego sułtana, Bajazyda, który jest synem Mehmeda. Widzisz, Chodźa popierał Murada II, który był przeciwnikiem Mehmeda. Z tego powodu przez jakiś czas groziło pisarzowi ścięcie. Przez wiele lat ukrywał się poza granicami imperium. Dopiero gdy tron objął łagodny Bajazyd, starzec mógł powrócić w granice państwa. Osiedlił się na stałe w Istambule, lecz jego sytuacja nadal pozostawała niepewna. Być może z tego właśnie powodu Effendi nikomu nie wyjawiał dokładnego miejsca swego pobytu ani nie pojawił się na dworze sułtana.

– Lecz ty go odnalazłeś.

– Mam swoje sposoby. Effendi mieszkał blisko Błękitnego Meczetu. Znalazłem go i poprosiłem o napisanie listu.

– A czemu go szukałeś?

– Bajazyd chciał porozmawiać z Effendim. Wzywał go za moim pośrednictwem na dwór.

– Porozmawiać?

– Wedle plotek, których treść poznałem, starzec padł przed laty ofiarą okropnej choroby czy może kłątwy, wskutek której zdzieciniał i częściowo postradał pamięć. W krótkich chwilach, gdy jego umysł wydawał się przytomny, dziejopis powtarzał interesujące rzeczy na temat historii sułtanatu. Rzeczy, za które od lat groziła mu kara śmierci.

– Był niewygodny – zgodziła się Miriam, siadając na sienniku. Poczowała chłód, więc sięgnęła po koszulę.

– Można tak powiedzieć. I niebezpieczny. Lecz Bajazyd nie jest zimnym mordercą. Chciał jedynie porozmawiać ze starym i przekonać go, aby ten przestał rozpowiadać bzdury.

– W takim razie co robisz tutaj z tym listem i wszystkim? – zapytała Miriam, wdziewając giezło przez głowę.

Chodyna westchnął.

– Cóż, wypełniam kolejną misję. Związaną z listem Effendiego.

– Szpieg, co? W dodatku turecki.

Bartłomiej odłożył świecę i pergamin i zbliżył się do Miriam. Przykucnął i wziął jej dłonie w swoje.

– Gdy skończyłem dziesięć lat, stałem się janczarem, niewolnikiem sułtana.

– Ty? – Posłała mężczyźnie niedowierzające spojrzenie. – Niewolnikiem?!

– Wedle edyktu sułtana Orhana sprzed niemal dwóch wieków co piąty chrześcijański chłopiec, żyjący na terenie imperium, był oddawany pod opiekę muzułmanów, którzy kształtowali w nim ślepe posłuszeństwo i fanatyzm religijny. Ja jestem właśnie takim wychowankiem. W przeciwieństwie do większości janczarów cieszyłem się zawsze dużą swobodą. Gdy zauważono moją inteligencję, a stało się

to stosunkowo prędko, postanowiono wykorzystać moje niespotykane talenty. W ten oto sposób po ukończeniu swojego podstawowego szkolenia, zamiast dołączyć do oddziału piechoty, *orty*, zacząłem się uczyć języków i kartografii. Stałem się tym, kim jestem po dziś dzień. Bartó Chodina, szpiegiem sułtanatu.

– A czego szukasz w Polsce?

– Ewangeliarza, który ma moc przyzwania aniołów.

W głowie Miriam zaświtało. Ale nie dała po sobie poznać zaskoczenia.

– Ewangeliarza? – spytała.

– Effendi widział książeczkę pod Warną – oznajmił sucho mężczyzna. – I uczestniczył w przedziwnych wydarzeniach, które rozegrały się po śmierci Władysława.

– Jakich wydarzeniach?

– Tych z listu. Kodza Kazer, janczar, który powalił Władysława, znalazł przy ciele magiczną księgę. Przyniósł książkę do namiotu Chodzy Effendiego.

– I dlatego tu jesteś? A Sara? I ja? Czy wam, muzułmanom, wolno w ogóle sypiać z Żydówkami?

– Żydzi są traktowani przez Turków bardzo łagodnie. A ja nigdy nie miałem się za dobrego muzułmanina. Jestem jedynie pokornym sługą. – Bartłomiej skłonił się nisko, a dłonie złączył jak do modlitwy. Jego śniada twarz przybrała jeszcze bardziej sępie rysy. – Otwarto mi oczy przemocą. Znam zatem przemoc, lecz i miłość ma dostęp do mojego serca.

– Siłą? Przeszedłeś na islam pod przymusem?

– Mój ojciec został wzięty do niewoli pod Warną. Przeszedł jednak na wiarę Koranu i poślubił muzułmankę. Wkrótce po moich narodzinach zapadł na febrę i zmarł, a mnie oddano na wychowanie muzułmanom. Przez lata kształtowali we mnie przywiązanie do wiary Proroka, ślepe posłuszeństwo i fanatyzm. Wtedy także na dobre przeszedłem na islam. Zahartowano mnie fizycznie i nauczono zabijania. Przez blisko dziesięć lat byłem niewolnikiem. Z czasem mój los uległ jednak zmianie.

– Zmianie? – Słowa janczara zaciekały dziewczynę.

– Cała moja orda składała się z Węgrów i Greków. Zakładników, niewolników, wziętych w jasyr. Przekształcono nas w szpiegów i posłano z powrotem na północ, abyśmy wypełniali powierzone nam tajne zadania.

– Więc mówiłeś prawdę. Jesteś szpiegiem. Zdrajcą.

Janczar wzruszył ramionami.

– Żaden Turek nie posługuje się tak gładko łaciną – oznajmił. – Czy jednak jestem zdrajcą? Nie wiem. Nie znam innego świata niż islamski. Aby kogoś lub coś zdradzić, musiałbym najpierw do czegoś przynależać. A do waszego świata nie należałem nigdy. Nie nazywam się Bartłomiej Chodyna, tylko

Bartó Chodina.

– Po co sułtanowi jakaś magiczna książka?

– I tak tego nie zrozumiesz – rzucił.

– Słucham?! – Miriam nie wierzyła własnym uszom.

– Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi – wyrecytował werset z Koranu Chodyna, po czym potrząsnął głową. – Nie oczekuję...

– Jak śmiesz?! – warknęła.

– Obraziłem cię tymi słowami? – Wydawał się zaskoczony. – No tak. Takie kobiety jak ty mają wysokie mniemanie o własnej wartości.

– Nie, wcale się nie obraziłam. – Dziewczyna skrzywiła się i założyła ręce na piersi. – Nic a nic.

Kiedy wyciągnął ramiona w jej stronę, ze złością je odepchnęła.

– Zabieraj łapska. Nie jestem tobie równa. Gdzie są moje rzeczy? Widziałeś je?

Dokładnie zlustrowała wzrokiem pomieszczenie.

Chodyna nic nie odpowiedział, stojąc jak słup soli. Na usta mężczyzny cisnęły się różne słowa. Mógł powiedzieć Miriam prawdę, tu i teraz. I tak już dużo wiedziała. Zawahał się jednak. Na pewno by go nie zrozumiała.

Bartłomiej był szpiegiem, agentem sułtanatu. Poszukiwał w Polsce ewangeliarza Władysława Warneńczyka. Na ślad modlitewnika naprowadził Bartłomieja pewien cudzoziemiec, Francesco Borgia. Florentczyk, a może Wenecjanin, znał dość dokładnie historię ewangeliarza. Z sobie jedynie znanych powodów skontaktował się z Bartó przez jednego ze swoich szpiegów i zorganizował spotkanie w Bydgoszczy. Podczas krótkiej rozmowy wyjawiał Chodynie, że modlitewnik znajduje się w mieście, przybył tu wraz z ciałem chrześcijańskiego męczennika, Stanisława Bydgoszczanina, a człowiek Borgii już pracuje nad odzyskaniem książeczki. Wymienił dość wygórowaną cenę, której żądał za ewangeliarz.

Niestety, kilka dni później Francesco poniósł śmierć z ręki swoich wrogów, którzy wykradli ewangeliarz i zbiegli w nieznanym kierunku. Bartłomiej zasięgnął języka i wkrótce znał już imiona świętokradczych psów. Pewien Żyd, Lewin, wyjawiał mu je za worek tureckich lei. Przez blisko rok poszukiwał Alfreda Ostenwalda i Miriam, niestety, bez powodzenia. Para złodziei zapadła się pod ziemię wraz z książeczką.

Mijały lata. Bartó nie zapominał o modlitewniku, lecz miał inne obowiązki, które odrywały go od poszukiwań. No i poza tym brakowało nowych śladów.

Po blisko sześciu latach od rozmowy z Borgią całkiem przypadkiem wpadł na kolejny ślad. Przebywając znowu w Bydgoszczy, został przedstawiony pewnej dziewczynie. Zapoznał ich Węgliszek, Lewin, tym razem występujący pod swoim przestępczym imieniem. W ten sposób Chodyna poznał



Sarę, młodą Żydówkę, która poszukiwała w mieście zaginionej siostry, Miriam. Zbieżność imion nie mogła być przypadkowa. Zresztą stary znajomy Chodyna, Diabeł Węgliszek, wszystko potwierdził. Poznał Miriam przed sześciu laty i znał także jej siostrę, której pomógł, gdy dziewczyna zjawiała się w Bydgoszczy. Wiedział tylko tyle, że ciąży na Miriam jakieś niejasne oskarżenie i że uciekła w nieznanym kierunku. Bartłomiej prędko zbliżył się do Sary. Zostali kochankami.

Niestety, Sara znikła, zanim odkryli coś więcej w sprawie Miriam. Wkrótce po zaginięciu dziewczyny Chodyna podsłuchiwał w karczmie rozmowę dwójki żołdaków. Rozprawiali o dziwnych wypadkach, w których uczestniczyli w Kruszwicy. Imiona dwójki poszukiwanych złodziei, Alfreda i Miriam, zadźwięczały w uszach Bartka niczym najczystsze złoto.

Postanowił zgłębić sprawę. Poprosił o pomoc Węgliszka. W ten sposób ni stąd, ni zowąd został przedstawiony podstaroście Piotrowi z Zagajewic. Węgliszek miał doprawdy imponujące kontakty w mieście. Od Piotra dowiedział się szczegółów.

\*\*\*

## Droga Kujawska

W górze ściagały się nawzajem plamy cieni gęstych chmur. Słońce chyliło się ku zachodowi i dwójka jeźdźców rzucała długie cienie. Ich płaszcze szarpał wiatr. Jechali pustkowiec cały dzień, nie napotykając żywego ducha. Bryzgające spod kopyt błoto chlapało na końskie brzuchy. Mlaskało pod kopytami koni, odklejając się z głośnym cmoknięciem. Pożłobiona koleinami droga męczyła wierzchowce. Wilgotną płaszczyznę oświetlał mdły blask, a kręta droga wiała się między mało urodzajnymi polami i gęstym borem. Niebo zasnuły gęste chmury, a około południa zaczął siąpić deszcz. Gościniec wił się wzdłuż pokrytych lasem wzniesień niczym wąż.

– Nie chcesz porozmawiać o tym, co się wczoraj zdarzyło? – zapytał janczar. Serce załomotało mu mocniej w piersi, gdy wypowiadał te słowa.

– Nie ma o czym – odparła, nie patrząc mu w oczy. Wyczuł chłód w jej głosie. – To była chwila zapomnienia. I już o niej zapomniałam.

– A jednak – zauważył Chodyna. – Byliśmy blisko. Wyznałem ci moje sekrety. Tajemnice, które ukrywam przed wszystkimi.

– Chędożyłeś mnie – odparła zimno, tym razem patrząc mężczyźnie w oczy. – Ale to jeszcze nie oznacza, że się zbliżyliśmy. Nie martw się, nie mam zamiaru cię wydać. Zresztą sama jestem poszukiwana.

Z tymi słowami uderzyła kolanami boki wierzchowca. Błoto chlapanęło Bartłomiejowi na twarz. Ujrzał przed sobą zad konia oraz rozwiany płaszcz dziewczyny. Zacisnął zęby.

Bydgoszcz zobaczyli późnym popołudniem. Nad miastem wirowały czarne ptaszyska. Ich lot, ciągle wznoszenie się i opadanie pod ciężkimi od deszczu, ołowianymi chmurami, miał dla Miriam jakiś ukryty, złowieszczy sens.

Już na przedpolach Bydgoszczy do ich uszu dobiegł gwar. Do miasta ciągnęli kupcy z Inowrocławia i Strzelna. Mimo kiepskiej pogody, mżawki i ciężkich chmur pędzących na miasto, na podgrodzium handel trwał w najlepsze. Stragany i wozy wypełniały najprzeróżniejsze produkty, a kupcy głośno nawoływali, zachwalając swój towar. Nie ma czego chwalić, doszła do wniosku dziewczyna, spoglądając z siodła na mięso i ryby, które utraciły już świeży wygląd. Krępi, zarośnięci mężczyźni w przepoconych tunikach krzyczeli na siebie, jakby zaraz mieli chwycić się za łby. Zażarta kłótnia prędko mogła przerodzić się w rękoczyn. Głosy niesły się po okolicy. Z dali dochodziły Miriam i Bartłomieja stukot kopyt i pisk osi. Znad miasta dolatywał też przeciągły, choć przytłumiony huk gromu.

Miriam, choć uważnie się rozglądała, w ogóle nie poznawała podgrodzia. Było tu ciasniej niż ostatnio. Wyrastające ponad przedpolami murowane zabudowania bastionowe znacznie się rozrosły. Dostrzegła strażników na murach. Kilku spacerowało wśród straganów.

Między szynkiem a stoiskiem z mięsem spostrzegła znajomą postać. Mężczyzna w ciemnej masce pozdrowił ją delikatnym skinieniem, po czym wszedł między ludzi, znikając z oczu zaskoczonej Miriam. Wzdrygnęła się, mając wrażenie, że słyszy w uszach mrozący krew w żyłach cichy śmiech. Potrząsnęła głową, nie dopuszczając do siebie złudzeń. To nie mógł być on. Po prostu ktoś bardzo do niego podobny. Była tego pewna. Oko łatwo oszukać.

– Miriam? – usłyszała. Przywołała na oblicze wymuszony uśmiech i odwróciła się w stronę jadącego obok Chodyny. Potrząsnęła głową.

– To nic, zwidziało mi się jeno – oznajmiła.

Za rozwartą na oścież bramą sklepioną sporym, tworzącym wąski tunel wykuszem ciągnęły się pierwsze kamienice. Pomiedzy nimi leżały ubłocone ulice, w których bez opamiętania brodziły zarówno dzieci, jak i świnie. Przejeżdżając pod bramą, usłyszała nad sobą dudnienie buciorów. Napotkała wzrok siedzącego niedbale w kulbace zezowatego strażnika, który obserwował przejeżdżających podróżnych. Spojrzenia żołnierza i Chodyny spotkały się.

Zaraz za bramą krążyli mieszczanie. Blankami spacerowali strażnicy z kuszami w rękach. Sprawiali wrażenie, jakby byli gotowi z najbardziej błahego powodu użyć broni.

– Coś taka zamyślona?! – zawołał Chodyna. Zaczepny głos janczara wyrwał dziewczynę z odrętwienia. Przekroczyli już główną bramę miasta i wjeżdżali w ulicę osłoniętą przez spadziste dachy wysokich kamienic.

– Odzywają się wspomnienia – odparła Miriam, nadal obserwując okolicę. Obrzuciła wzrokiem czerwone dachówki, brudne okna i białe ściany kamienic.

– Byłaś tu kilka lat temu, prawda? – zapytał Bartłomiej, choć dobrze znał odpowiedź. Spojrzał w błyszczące oczy Miriam. Grube czarne brwi i duże brązowe oczy nadawały charakter każdemu spojrzeniu dziewczyny. Janczar zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, co Żydówka tak naprawdę myśli. Poczul się nieswojo.

– Tak. I wpadłam w kłopoty, jak zawsze – przyznała się. Potem zamilkła, wspominając odległy czas. To było lato 1503 roku. Wraz z Piołunem i Alfredem Ostenwaldem przybyli do miasta, szukając relikwii weneckiego świętego, Wormiusa. W wyniku poszukiwań Piołuna spotkała śmierć od kuli wystrzelonej z króciicy przez ich wroga, włoskiego szaleńca Francesca Borgię, a Alfred wraz z Miriam musieli uciekać z miasta. Oskarżono ich o morderstwo na kilku bydgoskich duchownych i kradzież. Groziło im w najlepszym razie więzienie, w najgorszym nawet stryczek. Od tej pory się ukrywali.

Po latach Miriam wracała do Bydgoszczy. Sama, bez Alfreda, którego zbrojni Kościeleckiego zamordowali w Kruszwicy. Sama nie wiedziała, po co wraca. Dla zemsty? A może z powodu siostry?

Brda wydała się dziewczynie jeszcze bardziej cuchnąca niż ostatnim razem. Górujący nad rzeką od południa, zbudowany na planie prostokąta zamek przypatrywał się miastu pustymi oknami i otworami strzelniczymi. Po murach połączonych bramką fortyfikacji spacerowali odziani w szare płaszcze strażnicy. Poniżej tkwiły przytulone do siebie spadziste dachy.

Co jakiś czas mijał podróżnych powóz. Po ulicach spacerowali pospołu żołnierze i mieszczanie, na straganach zachwalali swoje towary szynkarze, rzemieślnicy i inni handlarze. Między nimi Miriam dostrzegła kilku braci bernardynów. W zaułkach, nie zwracając uwagi na duchownych, czaiły się ulicznice. I one zachwalały, co miały do sprzedania.

Ulice nie były tak tłoczne jak kilka lat temu. Co prawda chaty skupione były ciasno, a dachy kamienic stykały się przybudówkami, lecz drogi na ogół były puste. Wszędzie za to leżały zmieszane z gliną i błotem cuchnące końskie odchody. Woń ta była, prawdę mówiąc, dominująca w mieście. Im dalej brnęli, tym mniej spotykali przechodniów. Być może winę ponosiła pogoda. Kto miał trochę oleju w głowie, nie wytykał nosa z domu. Minęli kuźnię, garbarnię i kilka warsztatów.

Chodyna prowadził w kierunku Wyspy Młyńskiej. Nie była to przyjemna okolica. W zaułkach tłoczyły się pijane, półnagie nierządnice. Ich kształtne, odsłonięte piersi wabiły oko, a długie, sięgające kostek przepaski biodrowe i wysokie futrzane buty brodziły w błocie. Wkoło krzątali się pijani najemnicy, szulerzy, złodzieje i inne szumowiny. Do zabudowań przyłgnęła zauważalna woń zgnilizny i zepsucia. Miriam przeszedł dreszcz. Powinna się tu czuć bezpiecznie. W końcu kiedyś to właśnie z takim elementem przestawała. Czuła się jednak nieswojo. Wygodne życie u boku Alfreda Ostenwalda i zalety mieszkania w Baranowie Sandomierskim, u przyjaciół Niemca, zmieniły Miriam.

Stała w strzemionach i dostrzegła liczne barki i tratwy, jedna przy drugiej, kołyszące się na Brdzie. W nozdrza uderzyła ją woń butwiejącego drewna i brudnej wody. Pod kopytami koni zadudniły

w pewnej chwili deski. Domy na wyspie były bardziej zaniedbane niż w głównym ciągu ulic. Najczęściej mijali jednopiętrowe, omszałe chaty. Z ich ścian odpadał tynk, a dachy często pokrywała zamiast dachówek gnijąca strzecha. Zewsząd przyglądały się im smutnymi, pustymi oczami rudery. Domy z obu stron napierały na siebie, coraz ciemniejsze i pozornie opuszczone. Ulica jakby się zwężała. Odchodziły od niej liczne kręte alejki, z łypiącymi wyniośle matowymi od brudu oknami domów.

Minęli stromy dach kościoła Świętego Mikołaja, sporych rozmiarów młyn oraz kamienny, rozbrzmiewający śmiechem i pluskiem wody budynek, zapewne łaźnię miejską. Chodyna cały czas sprawiał wrażenie, jakby wiedział, dokąd zmierza. Na postawione przez Miriam pytanie, dokąd właściwie jadą, milczał jednak jak grób.

– Już niedaleko – rzucił w końcu. I rzeczywiście, po chwili skierował konia w kierunku przeraźliwie zaniedbanego podwórza. Budynek, przed którym stanęli, wzniesiono z kamienia, a jego otynkowane ściany przecinały ciemne od dziegciu belki<sup>20</sup>. Obejście wypełniały kałuże. Przy okazałej stajni stał powóz, pokryta czarną materią kolebka, zaprzęzona w dwa kare konie. Przy wozie zażarcie się kłóciło dwóch mężczyzn. Zaskoczeni pojawieniem się dwójki jeźdźców przerwali toczoną po niemiecku dyskusję i spojrzeli w kierunku podróżnych.

– Do kroćset! Kogo to widzą moje piękne oczy! Wrona! – Niższy z mężczyzn aż klasnął. Ubrany był w prostą tunikę, uwydatniającą okazały brzuch i obwisłe ramiona. Na głowie nosił wywiniętą wysoką czapę z filcu, którą zresztą zerwał z głowy i zmiął w dłoniach, obnażając szpakowatą czuprynę. Nadal miał to samo szelmowskie spojrzenie, a nos Węgliszka był chyba jeszcze bardziej okazały i garbaty. Urosła mu także broda, której szczecina pokrywała już nie tylko skraj twarzy, ale i całe policzki. Zapuścił długie wąsy, w których Miriam dostrzegła pierwsze oznaki siwizny.

Drugi mężczyzna się cofnął. Odziany w obszerny surcot<sup>21</sup> ukrywał twarz pod kapturem stanowiącym część wkładanego przez głowę wierzchniego odzienia. Szerokie, rozcięte w łokciach rękawy zwisały w okolicy rękawic. Poły ciemnobłękitnej szaty zakrywały też nogawice.

Bartłomiej odpowiedział kiwnięciem.

– Węgliszku – rzucił, niechętnie udając wesołość. Miriam zacisnęła palce na wodzach. Została w mig zauważona i rozpoznana przez Diabła.

– No, widzę, że ci się udało. – Węgliszek złapał się pod boki. Dziewczyna mimowolnie spojrzała na janczara, a potem szybko zlustrowała podwórze, na wypadek gdyby musiała uciekać. Konie stały w środku podwórza, z jednej strony ograniczonego budynkiem stajni, z drugiej sąsiednią czynszówką.

– Zgadza się – odparł niechętnie janczar. – A przy okazji dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy. Ale po kolei. Co to za błazen?

Wskazał brodą mężczyznę w surcocie.

– To? – Diabeł uniósł brew. Przełknął ślinę i Miriam uświadomiła sobie, że cokolwiek przestępca za

chwilę powie, z pewnością skłamię. – Nikt taki. Interesant.

– Interesant, powiadasz? – rzekł podejrzliwie Chodyna. Po chwili jednak przestał interesować się zakapturzonym przybyszem. – Cóż, dobrze. Każ Smółce oporządzić konie. Jesteśmy bardzo zdrożeni i wierzchowce też.

To mówiąc, zsiadł z ciska. Lecz Miriam pozostała w kulbace, nie spuszczać oczu z drugiego, wysokiego mężczyzny.

– Nie ma Smółki ani nikogo innego – odparł Diabeł, wzruszając ramionami. – Jesteśmy sami, tylko ja i moje kurwy.

– Oho! – zawołał Chodyna. – A to dlaczego?

Diabeł nieznacznie skrzywił wargi.

– Wszyscy moi ludzie pilnują interesów. W mieście zrobiło się niebezpiecznie. Dziewuchy potrzebują ochrony. Kilka z nich wprost odmówiło pracy. Te najbardziej strachliwe są w środku. Zapowiedziały, że nie wytkną zasmarkanych nosów na dwór, póki po mieście krąży morderca.

– Jak to?! – Bartłomiej ściągnął brwi.

– Tak jak rzekłem, panie. Zabójca morduje kogo popadnie. Nie wiadomo, kim jest ani o co właściwie mu chodzi.

– A co na to straż miejska? Nie zapewniają miastu ochrony? – Janczar obrzucił spojrzeniem mężczyznę w surcocie. Szata wyglądała na kosztowną. Wydawało mu się, że poznał tu każdego bogatego mieszczanina. I tego mężczyznę też już chyba gdzieś widział.

– Cóż, starosta był u mnie z pytaniem, czy mogę się rozejrzeć. Popytać. W sumie morderstw nie można ze sobą powiązać. Owszem, zginęło między innymi dwóch braci, skryba i strażnik miejski. Ale pozostali? Jedna z naszych bardziej doświadczonych ladacznic i dwie mieszczki. Nawet się nie znały. Jedynie wiek łączy ofiary.

– Wiek?

– Zabójstwa dotyczą niemłodych osób. Takich powyżej czterdziestki. Do tej pory nie zginął nikt młody.

– To ile w sumie było ofiar? – zapytał Chodyna, okrążając konia. Przerzucił wodze nad karkiem zwierzęcia i zaczął prowadzić wierzchowca do stajni. Spojrzał na Miriam. – A ty co? Masz zamiar spędzić noc w siodle?

Ciężkie krople zabębniły o kałuże. Po chwili deszcz uderzył w dachy i okna pobliskich kamienic.

Miriam głośno zakaszła, domagając się uwagi.

– Mam do pomówienia z Węgliszkiem – rzuciła oschłym tonem. – I to na osobności, Bartek. Potem sobie pogadacie o zabójstwach.

Zeskoczyła z siodła i wręczyła janczarowi uzdę.

– Zaprowadź też mojego – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nie odrywała oczu od Diabła.

– Spokojnie! – Węgliszek wyciągnął pojednawczo rękę. – Nie patrz na mnie, jakbyś chciała wydłubać mi oczy.

– W tym problem, panie Lewin, że właśnie na to najbardziej mam ochotę.

– Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy ostatnim razem. Nie szukam zwady!

– To masz słabą pamięć – odparła. – Okradłeś nas.

– Ja?! – Położył sobie dłoń na piersi, a z jego oczu wyzierało bezbrzeżne zdumienie.

– Chodźmy może wszyscy do środka – zaproponował mężczyzna w surcocie. Miriam zmierzyła wzrokiem obcego. Pociągła gęba i równe, białe zęby oraz sposób wysławiania wskazywały, że jest wysoko urodzony.

– A ty co się wtrącasz? Pytał cię ktoś o zdanie, szlachciuro?!

– Mam w tym swój interes, Miriam – odparł, a na jego ustach pojawił się oschły, pełen rezerwy uśmiech. Sprawiał wrażenie osoby, która przez cały czas kontroluje swoje emocje, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Podniósł kaptur wyżej na czoło i wbił nieruchome piwne oczy w Żydówkę. – To ja kazałem ciebie sprowadzić. Jestem Andrzej Kościelecki.

Ciarki przebiegły po kręgosłupie dziewczyny, a jej oczy się rozszerzyły. Drżące palce dotknęły rękojeści miecza. Obrzuciła wzrokiem Chodynę, który stanął jak wryty przy drzwiach stajni, a potem raptownie się obrócił.

– A więc to ty?! – wrzasnęła.

W tej samej chwili rozległ się przeciągły huk, a po nim furkot. Błoto chlusnęło, obryzgując nogawki Miriam.

Dziewczyna obróciła głowę. Na wjeździe w obejście stał na szeroko rozstawionych nogach obcy. Jego głowę i ramiona spowijał dym po wystrzale. W rękę dzierżył króciwą z długą lufą. Także w drugiej, opuszczonej ręce trzymał podobną broń. Nie ulegało wątpliwości, że mierzył do Kościeleckiego. Nikt inny nie stał obok starosty.

– Paaaaadnij! – wrzasnął Chodyna. Kolejna kula rozbiła jedną z szyb kamienicy. Zamachowiec spokojnym ruchem ręki uniósł drugi pistolet i wycelował.

Miriam odwróciła się gwałtownie i pomknęła w stronę budynku. Wpadła przez drzwi do kamienicy. Prawie potknęła się o stopnie schodów. Krótki korytarzyk wiódł w górę i kończył się drzwiami. Dziewczyna odkryła w ciemności pod schodami inne drzwi. Naparła na nie całym ciałem. Kolejne strzały co prawda nie padały, lecz słyszała okrzyki Chodyny i Węgliszka, nawołujących się z różnych części placu.

Dopiero za trzecim uderzeniem barku zakleszczone we framudze drzwi ustąpiły. Izba za nimi była podłużna, wyłożona gnijącymi deskami, które odskakiwały, gdy nastąpiło się na nie. Podłoga odsłaniała piwnicę zalaną przez cuchnącą wodę, której smród unosił się także w pomieszczeniu. Izba tonęła w ciemności rozpraszanej czerwonym blaskiem polan dogasających w kominku. W drugim kącie stały bańki przypuszczalnie zawierające oliwę. Poczula woń wędzonego mięsa i dym. Okna pokrywał brud uniemożliwiający zobaczenie tego, co działo się na zewnątrz. Pod stłuczonym oknem, wśród odłamków szkła, leżała wystrzelona przez zamachowca kula. Miriam dostrzegła kolejne drzwi. Ruszyła w ich kierunku, nasłuchując odgłosów śmiechu dobywającego się z sąsiedniego pomieszczenia.

Dopiero gdy rozejrzała się uważniej, dostrzegła na progu kobietę wyglądającą na żebraczkę. Długie strąki rzadkich, siwych włosów zwisały po obu stronach obwisłej twarzy z zapuchniętymi oczami i zapadniętą jak u pijaczki szczęką. Staruszka spoglądała na Miriam osobliwymi, błyszczącymi jak skarabeusze oczami.

– Nie idź tam – ostrzegła Żydówkę ochryple. Lecz po chwili wahania Miriam zignorowała jej słowa.

– Poczekaj! – Złapała dziewczynę za nogawkę spodni. Żydówka wyrwała ją ze złością. Stara zaczęła się śmiać.

– Nie poznajesz mnie, kochanie?! – wykrzyknęła między parsknięciami. – Nie pamiętasz Ciotuni?! Mała, głupia gąska. Nic się nie zmieniłaś. Tak samo wściekła na świat jak wtedy. Powiedz mi lepiej, co u Piołuna?

– Piołun nie żyje – mruknęła Miriam, nie rozpoznając kobiety. Dopiero po chwili naszło olśnienie.

– Prowadziłaś zamtuz, gdzie się ukryliśmy! – wykrzyknęła. Dawniej tęga i pełna werwy kobieta była praktycznie wrakiem człowieka. Oczy co prawda migotały, ale chorobliwie i strasznie.

– To przez Węgliszka. – Stara splunęła na podłogę. – Doprowadził mój interes do upadku. Bydlak! Ja siedziałam w lochach, a on przekabacił wszystkie moje dziewczynki. Trwało to pół roku. Zamtuz splajtował, a ja straciłam dach nad głową. To jego sprawka. Maczał palce we wszystkim. A widzisz te bańki pod ścianą? Pamiętasz pożary spichrzy, gdy wtedy byliście w mieście, ty, Piołun i ten trzeci, dziwny cudzoziemiec?

– Alfred.

– Alfred, tak – przyznała Ciotunia. – W tych bańkach jest ogień grecki. Węgliszek dostarczał go po kryjomu do spichrzy.

– Pozwolił ci tutaj mieszkać? – Miriam się rozejrzała. Zza drzwi dobiegł ją okrzyk, a potem gromki śmiech. Ściągnęła brwi.

– Tyle ma chociaż sukiny sumienia – odparła Ciotunia, ignorując odgłosy. Raz jeszcze splunęła. Gdy spostrzegła, że dziewczyna znowu kieruje się ku drzwiom, wykrzyknęła: – Mówiłam chyba, żebyś tam nie wchodziła!

– Daruj to sobie, rekieterko. – Miriam zignorowała jej ostrzeżenie.

– Poczekaj!

– Zamknij jadaczkę, stara wariatko! – wykrzyknęła ze złością Żydówka, po czym pchnęła drzwi.

Stała w progu, wciągając w nozdrza zapach stawy pomieszany ze smrodem piwa, oddechów i naniesionego z dworu błota. W tle rozległ się serdeczny śmiech. W pomieszczeniu unosił się siwy dym, a wszystkie okna zabite były deskami. Przestrzeń pod sufitem i w okolicy okien obrosła pajęczynami. Wszystkie stoły zajmowali pijani w sztok żołdacy. Tłuste, półnagie kelnerki krążyły między mężczyznami. Odgłosom poklepywania i sprośnym żartom wtórował raz po raz wybuch śmiechu. Trudno było tu usłyszeć wystrzały. Zresztą odgłosy z dziedzińca musiały tu docierać przytłumione.

Nie od razu spostrzeżono intruza. Kiedy już Miriam poczuła na sobie wzrok, uśmiechnęła się przepraszająco.

– Ejże, sierżancie, czy to nie jest przypadkiem...? – Jeden z żołnierzy zerwał się z miejsca, odpychając siedzącą mu na kolanach dziewczuchę. Dwaj inni spojrzeli po sobie.

– Toć pewnie, że to ona! – wykrzyknął podstarzały sierżant. Był parchatym mężczyzną z końską szczęką i wypłowiałymi, lekko wyłupiastymi oczami. Zapiął pas z mieczem i zerwał się z miejsca. – Brać ją, chłopcy!

Nie wszyscy od razu otrzeźwieli. Sierżant dobiegł do Miriam. Uśmiech zgasł w oczach o wykroju migdałów. Dziewczyna kopnęła mężczyznę. Uderzenie trafiło go w nos i posłało prosto na ławę, z której zaraz zleciał. Żydówka dopadła okna i kopniakiem usiłowała utorować sobie drogę. Okiennica trzymała jednak mocno i ani drgnęła, wywołując ból i mrowienie w stopie. Miriam wyszarpnęła miecz. Na widok broni dziewczki zaczęły krzyczeć, a żołnierze zerwali się z miejsc. W ich rękach zabłyśły noże i miecze.

– Może się dogadamy? – zapytała nieśmiało Miriam. Ruszyli w jej stronę.

– Biorę ją pierwszy! – zawołał sierżant, zbierając się z klepiska. Uśmiechnął się, ukazując zęby ciemne od krwi.

– A mało ci wkoło kurew?! – parsknął jeden z żołnierzy.

– Nie takich jak ta – odparł, oblizując krew z ust. – Ta jest dzika jak kotka.

Usiłował się zbliżyć, na co Miriam zamarkowała pchnięcie. Odskoczył, a jego kamraci wybuchli śmiechem.

– Ona chyba woli, żebyś ją przeszył mieczem, a nie kutasem, Dzieźba! – zawołał któryś.

– To też jest możliwe – wychrypiał sierżant, po czym ścisnął miecz. Przerzucił go z ręki do ręki i zaparł się mocno nogami. Klingi pocałowały się ze słabym brzękiem, po czym żołnierz przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i napał z krzykiem. Miriam ustąpiła, podstawiając mężczyźnie nogę. Stary runął twarzą na okno. Kolejna salwa śmiechu rozbrzmiała w izbie.



Czyjeś palce złapały ją za kark. Obróciła się i ręką dzierżącą miecz uderzyła w zęby napastnika. Mężczyzna runął do tyłu, opluwając podłogę krwią z rozciętej wargi.

– Difka! – wrzasnął, wypluwając siekacz.

Za oknem coś głośno huknęło. Tym razem wystrzałowi odpowiedziało głośne echo. Wszyscy znieruchomieli.

– Co to? – Sierżant popatrzył na resztę. Jeden z żołdaków pomógł mu drugi raz zebrać się z ziemi.

– Strzelają do waszego pana – odparła spokojnie Miriam. – Mam nadzieję, że rozwalą mu głupi łeb.

Przez chwilę trwali w ciszy przerywanej jedynie dochodzącym z dołu dudnieniem, którego jednak nikt nie potrafił dokładnie umiejscowić.

– Kłamiesz, żeby ocalić skórę. – Sierżant roześmiał się szyderczo. Popatrzył na swoich ludzi. – Ta dziwka blefuje.

Śmiech jednak szybko zamarł.

– Ale starosta był na zewnątrz. A myśmy naprawdę słyszeli wystrzały – zauważył jeden ze strażników.

– Dobra, sprawdźcie, co się dzieje – mruknął cicho dowódca. – Ale nie wszyscy.

W tej samej chwili drzwi rozwarły się z hukiem i do środka wpadli Chodyna i Kościelecki, taszcząc w ramionach zakrwawionego, pokrytego błotem i powłóczęgo nogami mężczyznę.

– Postrzelili go! – rzucił janczar.

– Węgliszek! – zawołała Miriam. Diabeł wzniosł nic nierozumiejące oczy. Stopy rannego wlokły się za resztą ciała. Przestępca drżał i stękał coś. Czoło i brudne włosy skleił pot.

Położyli postrzelonego na stole. Salę wypełnił smród krwi. Ramię rannego wydawało się całkiem strzaskane w łokciu.

– Miriam! – zawołał Bartłomiej, podnosząc oczy i dostrzegając przyjaciółkę. – Jesteś jednak! A już myślałem...

– Że uciekłam? – dokończyła, krzywiąc się. – Powinnam.

– Panie! – zawołał do starosty sierżant. – Ta kobieta...

Wskazał Miriam.

– Nie teraz – odparł poirytowanym głosem Kościelecki. Trzymał Węgliszka za zdrową rękę, mocno zaciskając palce.

– Ale, panie! – zaprotestował dowódca.

– Ten człowiek uratował mi życie, osłaniając mnie własną pierś! – warknął starosta. Kolejne słowa wysyczał przez zęby. – Nikt nigdy nie zrobił dla mnie nic podobnego. Dlatego zamknij się, każ trzymać dziewczkę na uwięzi, a sam biegnij po medyka. Migiem!

Słyszając słowa Kościeleckiego, Miriam zaczęła się wycofywać. Znienacka na drodze niewiasty stanął Bartłomiej Chodyna. Zanim spostrzegła, ostrze jego jataganu uderzyło w miecz, wywołując ból w nadgarstku dziewczyny. Wygięta pod nienaturalnym kątem ręka nie wypuściła broni. Klinga była jednak unieruchomiona między ostrzem jataganu a ścianą.

– A ty dokąd? – zapytał janczar. Kąciki jego ust dostrzegalnie zadrżały.

– Sprzedawczyk – syknęła przez zęby. Zaciśnęła dłonie w pięści tak, że aż pobieleły knykcie. –

Judasz Iskariota!

– Wykonuję tylko rozkazy – przyznał z wyczuwalnym w głosie drzeniem. – Jesteś w pułapce, Miriam. Nie walcz, to może wyjdiesz ze wszystkiego obronną ręką.

– Ty w dupę chędożony...

– Poddaj się, Miriam. Inaczej osiągniesz najwyżej tyle, że nabiję ci kilka siniaków. A potem i tak oddam Kościeleckiemu.

Z oczu mężczyzny wyczytała, że nie żartuje. Wypuściła miecz.

– Czemu, Chodyna? – spytała z rozdrażnieniem w oczach. Słaby uśmiech powrócił na jej wargi. –

Przez to, co powiedziałam na trakcie?

– A co? Jesteś zdziwiona? Faktycznie, rozważałem puszczenie cię wolno. A to, co powiedziałaś, wpłynęło na moją ostateczną decyzję. Nie podejrzewałaś mnie o jakiegokolwiek uczucia, prawda?

– Prawdę mówiąc, nie – odparła tonem przyjacielskiej pogawędki.

– Mogę przeszkodzić? – usłyszeli nagle i oboje przenieśli wzrok na starostę.

– Chciałem zapytać, komu zawdzięczam pomoc. – Kościelecki oderwał się od Węgliszka, wycierając brudne od krwi dłonie w poły surcota. Diabeł stracił przytomność, a starosta, w tym samym momencie, zainteresowanie nim. W jego głosie pobrzmiwało nadal rozdrażnienie. – Hej, ty tam, przybyszu. Ostrzegłeś mnie przed zamachowcem – zwrócił się do janczara. Bartłomiej posłał staroście promienny uśmiech.

– Zwą mnie Bartłomiejem Chodyną. A niektórzy – Wroną.

– Człowiek Piotra z Zagajewic. – Pan Andrzej pokiwał głową. – Wreszcie ktoś, kto potrafi doprowadzić sprawę do końca. Sprowadziłeś Miriam do miasta. Należą ci się oklaski.

– Mam nadzieję, że nie tylko.

– O tym rozmawiaj z Piotrem. Choć możesz liczyć na dodatkowy grosz z mojej sakiewki. Spisałeś się.

– Jeśli się czegoś podejmuję, zawsze to kończę – przyznał z lekkim wahaniem janczar. Nie chciał dać po sobie poznać trawiących go wątpliwości. Jednak czuł je. Zastanawiał się, czego może chcieć od Miriam ktoś taki jak starosta. Zachodził w głowę, czy dziewczynie może coś zagrażać. Do tej pory nie

podejrzewał się o uczucie do Żydówki.

– Zawsze dotrzymuję przyrzeczeń – dodał Kościelecki, mierząc dziewczkę wzrokiem i uśmiechając się oschle.

Starosta przeniósł wzrok, zerkając w pełne ognia oczy Miriam. Zamarł, gdy dziewczyna na niego popatrzyła. Oczy starosty wyrażały głód, lecz jego usta się nie poruszyły. Wyglądał, jakby dopiero co został przez dziewczynę spoliczkowany. A mimo to nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Łotr! Szubrawiec! Szuja – warknęła, obrzucając Chodynę wściekłym spojrzeniem. – Okłamałeś mnie! Ty szczurze!

Rzuciłaby się na janczara z pazurami, lecz w tej samej chwili poczuła sztych jataganu na brzuchu.

– Spokojnie, bo zrobisz sobie krzywdę – zanucił śpiewnie Bartłomiej. Potem zwrócił się do starosty, nie spuszczać jednak oczu z dziewczyny. – Jest twoja, wedle umowy. Nim jednak odejdę, mam dwa pytania. Domyślasz się, kto mógł chcieć twojej śmierci?

Kościelecki wzruszył ramionami.

– Kim był zamachowiec, starosto? – naciskał janczar. – Na pewno masz swoje przypuszczenia.

– Nie wiem, ale podwójne dzięki za ostrzeżenie. Gdyby nie ty, trafiłby za drugim razem. We mnie, nie w Węgliszka.

Rozmowa zaczęła się toczyć bez udziału Miriam. Chodyna obserwował Andrzeja, skrywając uczucia.

– Co się z nią stanie? – spytał.

– To drugie pytanie?

– Teraz mi przyszło do głowy.

– Czy to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

– Wiem, że była podejrzana o zbrodnię. – Chodyna nie zamierzał odpowiadać na postawione pytanie. – Czeka ją proces?

– To nie powinno mieć dla ciebie znaczenia – obstawał przy swoim starosta.

– A Sara? – rzucił Bartłomiej. – Gdzie jest Sara?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chciałbym.

– Zimny z ciebie drań, z tego, co zdążyłem zauważyć – przyznał Kościelecki. – Po co ci taka informacja?

– Potrzebna – odparł Chodyna, naciskając klingą na usiłującą protestować Miriam.

– Wysłałem za tobą człowieka. Co się z nim stało?

– Na szczęście nic – mruknął Chodyna. – Dotrze tu za jakiś czas. Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie, panie starosto.

– Więc go spotkałeś?

Chodyna kiwnął głową.

– Na przyszłość miej do mnie więcej zaufania – odparł, opuszczając jatagan. – Nie lubię, gdy ktoś mi patrzy na ręce. Wracając do Sary...

Do środka wpadło kilku żołnierzy, ciągnąc ze sobą księdza.

– Chyba nie jest z nim jeszcze tak źle. – Starosta się skrzywił. – Miał być medyk.

– Znam się na tym i owym – rzucił spocony człowieczek. Miał rzadkie włosy i jeszcze rzadszy zarost na ospowatych policzkach.

– W takim razie zademonstruj nam swoje umiejętności. – Kościelecki przepuścił duchownego.

Żołnierze zakrzętnęli się wkoło stołu. Gdy przechodzili, Miriam wyrwała sztylet z pochwy przytroczonej do pasa jednego z żołdaków. Podbiegła do Kościeleckiego i przyłożyła mu sztylet do gardła.

– Brawo – przyznał szczerze zdumiony Chodyna. Była wręcz diabelnie szybka. Strażnicy poderwali się, lecz po chwili zamarli w bezruchu.

– Popelniasz błąd – rzekł starosta.

– To ty go popelniałeś. Dwa razy, gdy założyłeś mi za skórę – warknęła. Andrzej wypuścił z sykiem powietrze. Po jego szyi pociekła strużka krwi, gdy drasnął ją sztylet.

– Puść mnie, a powiem ci, gdzie jest Sara. – Starosta popatrzył na Wronę. – Oboje się dowiecie, dlaczego przebywa w takim miejscu.

\*\*\*

– Sara skoczyła z tego muru, gdy dowiedziała się o moim planowanym ślubie z Katarzyną. – Kościelecki westchnął.

Przed oczami Miriam roztaczał się urzekający zachód słońca. Chmury odsłoniły rozżarzone słońce, którego promienie wyostrzały kontury postaci stojących obok koni. Był z nimi Wrona oraz kilku żołnierzy starosty. Gdy Kościelecki opowiedział o śmierci Sary, janczar całkiem stracił zainteresowanie całą sprawą. Miriam wprost przeciwnie. Bardzo chciała ujrzeć ciało.

Nad głową dziewczki wznosiły się smagane wichrem mury Bydgoszczy. W powietrzu czuć było wilgoć. Nad miastem górował, niczym kucający olbrzym, rozłożysty starościński zamek. Wiatr gwizdał w uszach dziewczyny. Wicher szarpał ubrania, podnosząc płaszcze niemal poziomo. Pod stopami Żydówki chrzęściła trawa.

Przyjechali tu prosto z Wyspy Młyńskiej. Węgliszka zostawili w dobrych rękach, pod opieką księdza od Świętego Mikołaja, który, jak się okazało, znał się na rzeczy. Kapłan zatamował krwotok i opatrzył

rane, wyjmując strzaskane pociskiem kości, a rękę włożył po zabandażowaniu w temblak. Sporządził też odwar na gorączkę i obiecał, że będzie doglądał rannego.

– Nie myślałem o niej jako o samobójczyni – usprawiedliwił się starosta. – W życiu bym nie pomyślał, że zdobędzie się na takie szaleństwo.

– Sara skoczyła z tego muru? – W oczach dziewczyny dostrzegł niedowierzanie. – Tak po prostu? A nie pomógł jej kto czasem?

– Masz na myśli mnie? – zapytał Kościelecki.

– Mam na myśli kogokolwiek. – Miriam skrzywiła usta.

– Wyjaśnię ci coś. – Andrzej popatrzył na nią. – Sara i ja byliśmy kochankami. Dla mnie był to jedynie romans. Dla niej? Kto wie? Może glejt do lepszego życia? Któż może wiedzieć, jakie wiązała ze mną plany.

– Jakiegokolwiek były, wzięły w łeb. Gdzie ciało? – zapytała wprost.

– Na razie w piwnicach zamku.

– Dlaczego tam?

Wziął głębszy oddech, starając się trzymać nerwy na wodzy. Zabrzęczały kolczugi, odpowiadając na ruch przestępujących z nogi na nogę strażników.

– Przed miesiącem Sara przyjęła chrzest. Za moją namową. Teraz, gdy popełniła samobójstwo, żaden ksiądz, nawet mój kapelan, nie udzieli jej pogrzebu.

– Więc i tak to ty ją zamordowałeś – mruknęła Miriam. – Jesteś potworem, starosto. Pozwoliłeś jej uwierzyć, że to coś więcej. Zbałamuciłeś ją, a gdy doszła do głosu polityka, postanowiłeś zostawić.

– Być może – zgodził się. Na jego policzkach wykwitł rumieniec, a zęby mimowolnie się zacisnęły. – Ale nie popchnąłem Sary. Ani nie kazałem jej skakać. Nie znałaś swojej siostry, droga Miriam. Sara była inna od ciebie. Była... krucha.

– A ty może ją znałeś? – odparła zaczepnie Miriam.

– Przyjechała do miasta, szukając siostry – oznajmił. Gdyby Miriam знаła prawdziwe okoliczności, w jakich poznał pochodzenie Sary, prawdopodobnie nawet Chodyna nie powstrzymałby jej przed wydrapaniem staroście oczu. Odrzucił tę myśl jako zbyt natrętną. Lecz i tak przeszedł go dreszcz.

Ich spojrzenia się zetknęły. Kościelecki spuścił wzrok, czując strach przed właścicielką oczu o kształcie migdałów.

– Kochałem ją – mruknął.

– Może – przyznała Miriam. – Ale wygrała racja stanu. Sara nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Widzisz to? – Wskazał ręką zamek. Kiwnęła głową zdawkowo. – Należy do mojej rodziny.

Warnęczyk pożyczał od nas pieniądze. Spore sumy. Ten zamek to zastaw. Niestety, rozpada się. I nie mam już pieniędzy, aby go dalej remontować. Jestem bankrutem, Miriam. Ród wypiął się na mnie, zapomniał. Byłem za bardzo niezależny. Sprzeciwiałem się ich woli i podejmowałem śmiało decyzje. Bez Telniczanki i Zygmunta za chwilę nic nie będę znaczył. To mariaż czysto polityczny, na który ani ja, ani Katarzyna, co za tym idzie, nie mamy ochoty.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami. – Myślisz, że mi ciebie żal? Wpędziłeś moją siostrę do grobu. Z chciwości. Dla kiesy.

– Nie miałem wyboru. Już kiedyś kochałem dziewczynę niskiego stanu. Moja miłość jednak tylko przysporzyła jej zgrzyoty. A i na mnie wypięła się całkiem rodzina. Nie siadają ze mną nawet na obradach sejmu, uważając, że przysporzyłem Kościeleckim ujmy.

Nastała między nimi złowróżbna cisza.

– Nadal nie rozumiem, po co ci jestem potrzebna – zauważyła Miriam. – Czemu kazałeś Chodynie mnie tu ściągnąć?

– Chcę wyprawić Sarze pogrzeb. Prawdziwy pogrzeb z kapłanem.

– Ale mówiłeś...

– Z Torunia już jedzie duchowny, który udzieli sakramentu. Tylko na niego czekam.

Zamordowałaś Alfreda, pomyślała, choć bała się to powtórzyć na głos. W rzeczywistości nie miała pojęcia, jaką grę prowadził bydgoski starosta. Ale nie zamierzała brać w niej udziału. Przez myśl przeszło jej także, że Kościelecki wie o złocie Plotzlicha i to jest przyczyną intrygi. Z drugiej strony dla kogoś pokroju Andrzeja skarb był zbyt mały, aby zaspokoić potrzeby.

– Czy jestem więźniem? – spytała prosto z mostu. Pokręcił głową.

– Możesz pozostać w mieście, jak długo zechcesz. Wynajmę ci kwatery w „Zgorzelcu” albo na wyspie. Zapłacę także za milczenie. Nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się o mnie i Sarze. Lecz pragnę, abyś uczestniczyła w pogrzebie. Ze względu na siostrę.

– I wszystko zachowasz w tajemnicy?! – warknęła. – Tak po prostu? Jakby Sara nigdy nie istniała?

Po chwili pełnego zmieszania milczenia starosta uśmiechnął się słabo.

– Rozumiem twoją wściekłość – odparł, spokojnie podnosząc rękę. – Ale tak. Zamierzam zachować całą sprawę w sekrecie. Tak jak wspomniałem. Dobrze ci zapłacę za milczenie.

– A jeśli się nie zgodzę? Jeśli pójdę z tym do kogoś?

– Do kogo miałybyś się udać? – zapytał z uśmiechem. – Jesteś poszukiwana przez prawo, Miriam. Nikt cię nie wysłucha. A ja wszystkiego się wyprę, jeśli zajdzie konieczność.

– A on? – Obrzuciła wzrokiem Chodynę, który stał na uboczu wraz z żołnierzami. Nie zamienił z żadnym ze strażników słowa. – Od początku był w to wmieszany?

– Poznałem go dopiero dzisiaj – odparł Kościelecki. – To Piotr z Zagajewic go najał, nie ja.

– W życiu nie sądziłam, że będę się z tobą układać. – Miriam splunęła sobie pod nogi. – Dobrze. Zastanowię się jeszcze nad twoją ofertą. Muszę jednak wiedzieć, ile mi zapłacisz i kiedy będzie ten cholerny pogrzeb.

\*\*\*

– Nie sądziłem, że stać cię na takie poświęcenie, staruszkule – zauważył Smółka. Siwe wąsy i błyszcząca czaszka starego niegodziwca były pierwszymi rzeczami, które zobaczył po przebudzeniu Węgliszek. Poruszył się, na co umieszczona w temblaku ręka odpowiedziała wściekłym bólem, jakby ktoś wyszarpnął ją ze stawu. Makowy odwar przestawał działać.

– To tylko interesy, Smółka – wychrypiął Diabeł, czując suchość w gardle. – Kościelecki to nasza przepustka do lepszego życia. Gdyby zginął, nigdy by nam nie zapłacił. A ja mam zamiar się w końcu wzbogacić. Nie młodnieję. Wprost przeciwnie, Smółka. Wprost przeciwnie.

– Ryzykujesz. Wiesz o tym – rzekł Smółka, a jego czoło rozblęzło odbiciem ustawionych przy łóżku świec.

Dopiero po tych słowach Diabeł zauważył cień rzucany przez drugą stojącą u wezgłowania postać. Zmieszał się, widząc długi, ociekający deszczem płaszcz. Nieznajomy wolnym, wystudiowanym ruchem zerwał z głowy kaptur, obnażając siwe włosy i oszpeconą bliznami bladą twarz.

– A to kto? – Węgliszek skrzywił się, nie wiadomo, z niechęci czy bólu.

– Jestem dowodem na to, jak duże ryzyko podjąłeś, przyjaźniąc się ze starostą – oznajmił chrapliwie. Uniósł króciwą, którą do tej pory przystawiał do pleców Smółki. – A teraz gadaj. Kim była dziewczyna, którą stąd wyprowadzali? Jesteśmy sami, żołnierze już sobie poszli. Tak samo klecha. Nikt ci nie pomoże, choćbyś darł się wniebogłosy.

\*\*\*

Z głębokich ciemności, rozpraszanych blaskiem świecy, wyłoniła się lisa twarz karmelity.

– Masz gościa, Saro – wyszeptał przejęty mężczyzna w ciemnym szkaplerzu. Dziewczyna się rozejrzała. Nerwowo i czujnie jak zastraszonego kundel, gotowa przyjąć cios z każdej strony. Niewiele dostrzegła. Opuchlizna schodziła co prawda z oka, lecz wciąż odczuwalny był obrzęk wkoło oczodołu i policzka.

– Kto to? – wymruczała przez opuchnięte wargi. Powiedziałyby coś jeszcze, lecz mówienie przysparzało jej bólu, a słowa, które wypowiadała, przypominały niewyraźne strzępki głosek. Także połamany w dwóch miejscach nos utrudniał mówienie.

– Twierdzi, że cię zna – odparł zakonnik.

– Fo fen fam, ftoły mne tu pfywófl? – spytała, wypluwając mnóstwo śliny. Mężczyzna w odpowiedzi potrząsnął głową. Wyciągnęła rękę, dotykając habitu. Połamane palce, ukryte pod zabrudzonym bandażem, odezwały się nową falą tępego bólu. Kości paliczków źle się zrosły.

Zakonnik żałował kobiety. Przywieziono ją w środku nocy pobitą i zastraszoną. Szok minął dopiero po tygodniu. W wyniku obrażeń Sara miała przypalone włosy, podbite oko i pękniętą wargę, przetrącone kości palców prawej ręki oraz siniaki i ślady poparzeń na udach i brzuchu.

– To ja, Saro – usłyszała z ciemności. – Bartek Chodyna. Musimy pomówić. Chodzi o twoją siostrę, Miriam. Ona... Ona wróciła. Jest w mieście.

Dziewczyna nie mogła przełknąć śliny, a oczy ją zapiekły od łez.

\*\*\*

Sala była ogromna i tonęła w jaskrawym świetle bijącym z wiszących pod żebrowym sklepieniem żelaznych krzyżaków. Głębiej wisały powiązane razem różnej wielkości koła od wozu. Było tu jasno jak w słoneczny dzień.

Pobielane ściany ozdabiały trofea myśliwskie. Rozdziawiona głowa niedźwiedzia wisiała niedaleko od wyszynku, grożąc runięciem w dół i rozbiciem beczki miodu.

– Pozwolisz mi, pani, przysiąc się do siebie? – usłyszała Miriam. Wolno podniosła wzrok znad wypełnianej ogryzonymi właśnie kośćmi glinianej miski. Tak dawno porządnie nie jadła. Zajęta była wysysaniem szpiku z kosteczek, gdy usłyszała cichy, skrzekliwy głos. Nad głową dziewczyny wznosił się sztyld gospody, przedstawiający męski profil. Piękna głowa, z ufryzowaną brodą i włosami odsłaniającymi długie, ostro zakończone rogi, do złudzenia przypominała oblicze Diabła Węgliszka. Dalej wisały za ucha pękate dzbanki oraz półki z malowanymi w barwne wzory talerzami. Kafłowy piec grzał, lecz ciepło w dużej mierze zatrzymywały służące do wytapiania tłuszczu tygielki stojące na palnikach.

– Chcesz, to siadaj – mruknęła. Obrzuciła spojrzeniem drzwi, w których stali dwaj barczyści mężczyźni w wysadzanych ćwiekami pikowanych kurtach. Zbiry miały ją na oku. Pozostawało pytanie, czy pracują dla Diabła Węgliszka, czy może są ludźmi starosty.

Była tu jedynym gościem. W głównej izbie panował mrok rozrzedzany słabym blaskiem kopcającej pochodni. Na wysłanej sianem podłodze drzemały, pochrapując, dwa łaciate psy myśliwskie.

Z kuchni dobiegał zapach kiszzonej w beczce kapusty, gotowanego grochu oraz dźwięk rozmowy. Sztylet ostrego światła padał na próg i klepisko pod stopniami prowadzących na górę drewnianych schodów. Cienie na ścianach przypominały wyblakłe freski.



– Jestem Bogumił – rzucił niski, krępy mężczyzna, obciągając płaszcz, żeby zająć miejsce po drugiej stronie stołu.

– Gratuluję. – Miriam popatrzyła na jego szpetną twarz. – A ja raczej nie jestem Bogu miła. Nawet zjeść nie mogę w spokoju, żeby się ktoś nie przysiadł ze swoim głędzeniem. Głodnyś? Powiem karczmarzowi, że jesteś moim gościem przy stole. Inaczej ci zaoferuje marynowane śledzie.

– Śledzie?

– Ano. Przecie mówiłam. Twierdził, że reszta poszła na pański stół, a rok był ciężki. Dopiero jak mu powiedziałam, co mnie tu sprowadza, nagle znalazło się i mięso, i wino. Skaranie z tymi karczmarzami, mówię ci. Każdego usiłują oszukać, Żydy jedne.

– No dobrze – odparł Bogumił. – A co takiego sprowadza cię w te strony?

– Głównie? Starosta Kościelecki.

Pożałowała, że spojrzała obcemu w oblicze. Pokrywały je przeraźliwe rany. Lecz nie odwróciła oczu, jak czyniła większość. Co więcej, wzrok dziewczyny był twardy. Bogumił podziwiał charakter dziewczki.

Z kuchni wytoczyła się służąca, kręcąc mocno szerokimi biodrami. Śniade oblicze dziewczki wykrzywił grymas, gdy przypadkowo popatrzyła na Bogumiła. Zabrała pusty kufel Miriam i zamiast zapytać mężczyznę, czy czegoś sobie życzy, zniknęła za gnijącą zasłoną oddzielającą salę od pomieszczeń kuchni.

– Wystraszyłeś ją. – Miriam mrugnęła do sąsiada.

– Ale nie ciebie – zauważył.

Oczy Żydówki rozblęły, przykuwając wzrok niczym świece w zimową noc.

– Widziałam gorsze rzeczy. Lepiej mi powiedz, czego chcesz.

– Tego, co ty. Śmierci starosty – wyszeptał, zbliżając szpetną twarz.

Prychnęła, a potem położyła palec na ustach i wymownie przewróciła oczami.

– Widzisz tę dwójkę? – spytała cichutko. – To najprawdopodobniej starościńscy siepacze. Szkoda, że nie widziałeś miny karczmarza, gdy weszli. Biedak schował się gdzieś i odtąd nie wychodzi...

W jednej chwili spoważniała.

– W każdym razie, jak stąd wyjdę, natychmiast za mną ruszą. – Przewróciła oczami. – Jak zaczną biec, pobiegną za mną i obiją nam mordy. Daruj sobie. Nie lubię, gdy zadaje mi się ból. Bardzo tego nie lubię.

– Ale...

– Żadne „ale”. – Nachmurzyła się. – Nie myśl, że siedziałam tutaj i czekałam, aż przyjdzie brzydki staruch z poparzoną gębą i zabierze mnie na swoim cholernym białym koniu daleko stąd. Mam własny plan. I miejsce tylko dla jednej osoby na wózku, który mam zamiar pchać. Zwiewaj więc dziadku lizać

swoje rany. To zabawa dla młodszych od ciebie.

Nawet się nie zorientowała, gdy złapał ją mocno za rękę i przyciągnął. Z przerażeniem stwierdziła, że nie ma siły mu się wyrwać.

– Co robisz?! – warknęła, zerkając na zakapiorów. Drgnęli i opuścili ręce, które do tej pory mieli założone na piersi.

– Nie możesz wyjść przez drzwi? Chodźmy więc na górę.

– Wolnego! – Zmusiła się do wysiłku i z trudem, ale wyrwała rękę. – Nie polezę z tobą nigdzie, obleśny staruchu! Nie usiłuj wykorzystać sytuacji. Ostatni mężczyzna, który mnie tam zaciągnął i związał na pięterku, utonął we własnym gównie!

Celowo wykrzyknęła, wzbudzając jeszcze większą uwagę zbirów. Poruszyli się, a jeden dał krok w stronę skłóconej pary. Psy uniosły pyski, wpatrując się w ciemność.

– Co tam się dzieje?! – zagadnął oprych. Był barczysty i miał kwadratową szczękę przeciętą bardzo brzydką, poszarpaną szramą. Jego oczy błyskały złowróźbnie, ciemnoniebieskie jak wieczorne niebo, a upstrzoną guzami kanciąstą głowę pokrywała stercząca szczecina.

– Pilnuj swojej brzydkiej gęby! – krzyknęła Miriam, zrywając się z miejsca.

– Hej! Dziewko! Jak się odzywasz do... – Drugi zbir zerwał się ze stołka. Jego pokryte czarną brodą szczęki poruszały się, jakby coś przeżuwał. W tej samej chwili drzwi wejściowe huknęły o ścianę, otwierając się na oścież. Stał w nich mężczyzna w zakurzonej płaszczu i w kapturze na głowie. Kopnął wrota, zwierając je z powrotem.

– A ty tu czego? – burknął oprych przy drzwiach. Nieznajomy złapał mężczyznę bez słowa za poły nabijanej ćwiekami kurty i walnął czołem w twarz. Rozległ się łomot, a ofiara zwała się na kolana.

– Hej! Co ty... – zdołał wychrypieć kamrat nieprzytomnego zbira. W tej samej chwili poczuł, jak zamiast powietrza gardło wypełnia mu krew. Posoka siknęła na ścianę, a mężczyzna, chwytając palcami za przebitą sztyletem tchawicę, zwał się na ziemię.

– Szybko, przez kuchnię – zaproponował zakapturzony nieznajomy, stojąc wciąż w idiotycznej pozie, z wyciągniętą przed siebie ręką. Podszedł do trupa i wyrwał nóż.

– Ktoś ty?! – wykrzyknął stary.

– Wrona – odparł spokojnie mężczyzna, ściągając kaptur. – Słuchajcie mnie uważnie. Na zewnątrz jest jeszcze trzech żołnierzy. Dwaj inni obserwują obejście karczmy z sąsiedztwa. Musimy się stąd zbierać, póki czas.

– Niedaleko stąd mam powóz – rzucił Bogumił.

– Doskonale – mruknął Chodyna. Spokojnie chwycił za nogi jedną z ław i zastawił nią drzwi. Ruszył w stronę kuchni. Miriam zerwała się, odpychając mężczyznę.

– Hola! – zawołała. – Co to w ogóle ma znaczyć?! Po czyjej ty jesteś stronie, co Wrona?!

Zaakcentowała ostatnie słowo.

– Własnej – odparł bez wahania. – Węgliszek mnie okłamał, tak samo jak ciebie starosta. Książka, której szukałem u ciebie, była cały czas w rękach Diabła. A teraz ma ją Kościelecki. Obaj łgali. A ja nie lubię, jak się mnie okłamuje.

– Skąd wiesz, że kłamali? – Ściągnęła brwi.

– Znam się na ludziach. Ci dwaj, starosta i Diabeł, są siebie godni. Po przejeździe za miejskie mury w mojej głowie zrodziło się kilka pytań. Postanowiłem poszukać na nie odpowiedzi. Popytałem trochę u karmelitów. Potem wam wszystko opowiem. No, już. Zejdźcie mi z drogi, pókim dobry.

Ostatnie słowa wypowiedział tak przymilnie, że groźba łatwo mogła ujść uwagi Miriam. Niewiasta przyjrzała się oczom Chodyny i coś w tym spojrzeniu musiało ją zastanowić, dała bowiem krok do tyłu.

– Słucham?! – spytała zaczepnie. – Czy ja dobrze słyszę?! Pókiś ty dobry?!

– Tak – odparł zimno. – Mam już dość wpadania przez ciebie w kłopoty, dziewczko. Z prostej roboty zrobił się jeden wielki bałagan.

– Kłopoty? – wyrzuciła z siebie. – Ty bęcwale jeden!

– Miriam. – Powstrzymał dziewczynę uniesieniem ręki, lecz jego wzrok nadal przeczył dobrym intencjom, podobnie jak zaciśnięte zęby. – Nie mamy czasu. Zaraz tu wpadną zbiry starosty. Nie będzie z was co zbierać, zwłaszcza z ciebie.

– Zwłaszcza ze mnie?

– Zacięłaś się czy co? – prychnął janczar. – Tak, zwłaszcza z ciebie.

– A ty to może sobie poradzisz?! – rzuciła zagniewana.

– No... – Chodyna wzruszył ramionami. – Tak.

– I to ty masz dość?! Ty?! – wrzasnęła Żydówka. Przy każdym wykrzyczanym słowie zbliżała się do mężczyzny o krok. – No to ci coś powiem, judaszu! Zaraz mi wszystko wyśpiewasz! Teraz! Tutaj i natychmiast! Dość mam zagadek i niedomówień!

– Ech, Miriam, jesteś uparta jak wół. – Janczar westchnął.

– Czekam – ostrzegła go Żydówka.

– No, dobrze – poddał się. – Nie dalej jak parę pacierzy temu spotkałem Sarę, we własnej osobie. Kościelecki ukrył ją w szpitalu na Przedmieściu Karmelickim.

– Sara? Sara żyje?

– Jest w dość kiepskim stanie. I nie chce cię na razie widzieć. Ze względu na swój wygląd. Zresztą nie jest do końca bezpieczna. Obserwują ją. Twoja wizyta tylko by sprawę pogorszyła.

– Ale... – Opuściła wzrok. – Jak? Skąd wiedziałeś, gdzie szukać?

– Modlitewnik był przez lata ukrywany w kościele u karmelitów. To wiedziałem od dawna, zatem tam też rozpocząłem śledztwo. No i... poszczęściło mi się. Zwykły zbieg okoliczności.

– Zaraz, powiedziałaś, że starosta ukrył Sarę u karmelitów? – spytała z niedowierzaniem. – Jak to? Po co to uczynił? I w jaki sposób ty się tego dowiedziałeś? Przecież szpital leży gdzie indziej niż kościół karmelicki!

– Całkiem przypadkowo temat mojej rozmowy z opatem zszedł na osobę starosty. I zgadnij, kto ostatnio w środku nocy odwiedził kościół?

Miriam wzruszyła ramionami.

– Andrzej Kościelecki? – rzuciła.

– Zjawił się powozem, w którym ukrywał dziewczynę. Kościelecki kazał duchownym ją przebadać. Opat przypuszcza, że na wypadek gdyby była w ciąży. Szybko wykluczono tę ewentualność. Dziewczyna broczyła krwią z intymnych miejsc, była poraniona na całym ciele i chyba po torturach. Kościelecki rozkazał karmelitom ją ukryć i doprowadzić do jako takiego stanu. Zabronił kogokolwiek do Sary wzywać. Doszło nawet do kłótni między Andrzejem a duchownymi. W końcu zabrano ją do szpitala.

– Bezbożnicy – wykrztusił Bogumił. – I do tego mnisi! Jak im nie wstyd!

– A moim zdaniem uratowali Sarze życie – wtrącił janczar.

– Rozmawiałaś więc z Sarą. – Dziewczyna pokiwała głową, zbywając uwagi obu mężczyzn. – Co powiedziała?

– Dużo. Przede wszystkim to, że widziała poszukiwany przeze mnie ewangeliarz w komnatach Kościeleckiego. W noc, gdy starosta odkrył, kim naprawdę jest twoja siostra.

– O czym ty mówisz? – Żydówka się nachmurzyła.

– Sara na polecenie Węgliszka udawała kogoś innego. Bogatą dziedziczkę i była kochanką króla Zygmunta, Katarzynę Ochstat.

– Kogo udawała?

– To długa historia. Sęk w tym, że prawdziwa Katarzyna była ostatnio przejazdem w Bydgoszczy. I starosta miał przyjemność ją poznać. No i w ten sposób Sara została zdemaskowana. Pech chciał, że tego samego wieczoru oszustka wybrała się do zamku. Już stamtąd nie wróciła.

– I co dalej?

– Jak to, co dalej? – Bartłomiej przewrócił oczami. – Andrzej ukarał Sarę za kłamstwa, oto co dalej.

– Co jej zrobił?!

Bartłomiej szybko zlustrował okna w izbie.

– Później wam dokończę. Nie mamy czasu na pogaduszki.

– Ja mam cały czas świata – burknęła Miriam i założyła ręce na piersi. – I nigdzie się nie ruszę, dopóki nie poznam prawdy. Kościelecki skrzywdził Sarę, prawda?!

Chodyna westchnął.

– Obaj mi wszystko wyśpiewacie albo nie ruszę się z miejsca.

– Nie muszę i nie mam zamiaru ci się tłumaczyć – odparł wzgardliwie Chodyna.

– Należy mi się wyjaśnienie – zaprotestowała dziewczyna.

– Nic ci się nie należy – odparł janczar.

– Ty bydlaku! Po tym, gdy mnie wydałeś staroście, jak śmiesz tak do mnie mówić! Niech cię szlag!

Jesteś taki sam jak wszystkie zbiry Węgliszka. Zwykła, pospolita świnia.

Głos janczara był wyprany z emocji.

– Nic o mnie nie wiesz. Nie masz prawa traktować mnie jak pospolitego łotrzyka.

– A nie jesteś pospolitym łotrzykiem?!

– Nie. Choć myślisz, że dobrze mnie znasz, tak naprawdę nie masz o niczym pojęcia.

– Znałam kiedyś kogoś podobnego do ciebie.

– No i? – spytał obojętnie. – Była to osoba niegodna zaufania?

– Nie – odparła. – Ale był lepszy od ciebie. Pod każdym względem. Przede wszystkim szanował kobiety. Nie traktował ich jak towaru.

– To należało zostać z tamtym – odezwał się Bartłomiej tonem, w którym pobrzmiwała urażona duma.

– On nie żyje – mruknęła Miriam. – Choć nie wiem, po co ci to mówię. Bo przecież nie po to, żeby cię wzruszyć.

Drzwi huknęły, a potem rozległy się grube męskie głosy.

– Chyba jednak nie masz całego czasu świata. – Janczar roześmiał się szyderczo. – Chcesz, to tu zostań, nie dbam o to. Jesteś głupia, zostań głupia. Ale jeśli chcesz ocalić życie, chodź ze mną.

\*\*\*

– Myślę, że Andrzej Kościelecki ma poważne kłopoty – rzucił Bogumił, gdy Chodyna zniknął za zasłoną kolebki. Osie pojazdu przenikliwie zapiszczały.

– Przestańcie gadać – powiedział z wnętrza Bartek. Miriam wbiła wzrok w Bogumiła.

– Niech powie, co ma do powiedzenia! – zawołała.

Bogumił nagroził niewiastę słabym uśmiechem. Stali w mrocznym, cuchnącym rynsztokiem zaułku, na który napierały z obu stron ceglane ściany. Powóz ledwo się tu zmieścił.

– Starosta jest w tarapatkach. – Stary wzruszył ramionami. – Żeni się z Katarzyną Telniczanką. To

przyczyna jego kłopotów.

– I to jest ta kabała? – Chodyna wychynął zza draperii. Nie wyglądał na przekonanego.

Starszy mężczyzna posłał towarzyszącej rezerwowany uśmiech.

– Pomyślcie. Dlaczego puścił wolno Miriam?

– Nie puścił. Kazał mnie obserwować – zauważyła Miriam.

– Tak! – wykrzyknął Bogumił. – Podczas gdy zazwyczaj używa innych, dużo brutalniejszych metod.

– A skąd ty to wiesz?! – Dziewczyna pokręciła głową.

– Dlatego, Miriam, że pozbawił życia dwójkę bardzo bliskich mi osób. W tym kobietę, którą uważałem za córkę.

– I dlatego tu jesteś? – prychnął Chodyna. – Z powodu zemsty?

Stary zignorował szyderczą uwagę.

– Widzieliście moją twarz? – zapytał.

– Staralem się nie patrzeć. Inaczej by mnie mdliło – odrzekł janczar. – I to bez przerwy.

– Humor ci dopisuje – przyznał Bogumił, dotykając poparzeń palcami.

– Staram się – odparł Bartłomiej.

– Moja twarz to kolejne dzieło Kościeleckiego. A jaki z tego wszystkiego płynie wniosek, moi drodzy? Tym razem coś powstrzymuje starego piekielnika. Wierzę, że to Katarzyna Telniczanka. A raczej ktoś z jej bliskich. Widzicie, małżeństwo starosty zostało zaaranżowane przez szwagra Katarzyny i jest zwykłym kontraktem mającym obu stronom przenieść określone profity. Dbając zatem o swoje interesy, zainteresowani pilnują starosty. Kościelecki jest więc śledzony. Zajmuje się tym jeden człowiek albo może cały tabun szpiegów. Na polecenie swoich mocodawców. Kim są? Kto wydał rozkazy? Nie wiem. Może to jedna osoba, na tyle jednak wpływowa, aby wydawać podobne zlecenia. To ktoś, kto zna osobliwe zainteresowania Kościeleckiego. Król Zygmunt, na przykład. Wiem skądinąd, że nie darzy Andrzeja sympatią. Lecz musi starostę tolerować ze względu na koszmarne długi, ciągnące się za Jagiellonami jeszcze od czasów Warneńczyka.

– Domyślam się, kto jest wierzycielem – prychnął Chodyna.

– No właśnie. Z drugiej strony równie dobrze może to być ktoś z Kościeleckich. Może obawiają się, że jak na czarną owcę przystało, Andrzej znowu przysporzy rodzinie kłopotów. W każdym razie starosta wie, że śmierć młodej dziewczyny rzuciłaby cień na jego poczynania. Zwłaszcza gdyby ktoś powiązał tę śmierć z jego osobą.

– A Sara? – rzuciła Miriam. – Przecież zrobił jej krzywdę.

– Jest zastraszona i na wpół obłąkana – odparł Chodyna, a kiedy dostrzegł zaszokowane spojrzenie

Żydówki, natychmiast spuścił oczy.

– Czemu nie powiedziałaś?! – wykrzyknęła.

Położył jej palec na ustach, a przynajmniej próbował. Odepchnęła jego rękę.

– Zabieraj łapy! – warknęła.

– Miriam, ja... – Zawahał się. – Powiedziałem ci wszystko, jak było. O spotkaniu z Sarą i tak dalej.

Powiem ci resztę, odpowiem na wszystkie pytania, ale do wszystkich diabłów, zabierajmy się stąd w końcu!

– Chodyna, nie powiedziałeś mi wszystkiego – przerwała mu dziewczyna. – Nie nazwałeś spraw po imieniu. Siedź więc cicho i pozwól dziadkowi mówić.

– Włóżże lepiej do środka. – Bartek przyciągnął ją za rękę.

– Myślę, że wasz przyjaciel ma rację! – zawołał z kozła milczący dotąd woźnica. – Ja także wolałbym tu dłużej nie pozostawać.

Bogumił przystał na słowa swego sługi. Po chwili wszyscy siedzieli we wnętrzu pojazdu. Było tu ciasno, a ławki nie należały do najwygodniejszych, ale przynajmniej odjeżdżali z niebezpiecznego miejsca. Rozległ się trzask lejców.

– Dokąd jedziemy? – spytał Chodyna, wyglądając na pustą ulicę. Zaraz jednak opuścił zasłonę.

– Na razie? – zapytał Bogumił. – Na razie musimy wyjechać z miasta i obmyślić jakąś strategię.

Wrócimy, jak będziemy gotowi. Bo teraz miotamy się jak muchy w sieci starosty.

Koła terkotały donośnie. Janczar odgarnął ręką zasłonę i popatrzył na śpiące miasto. Wyjechali na wymarły rynek. Kałuże mącił porywisty wiatr. Bogumił zajął się rozpalaniem niewielkiego kaganka umieszczonego na haku i przyczepionego do żelaznej ramy podtrzymującej budę. Latarenka uciekała cały czas jego drżącym dłońmi.

– Powinniśmy przesłuchać Węgliszka – rzekł Bartłomiej. – Wiem, że wynajmował staroście jakąś kamienicę. Może się orientuje, co Kościelecki zamyśla.

– Myślałem, że ty wiesz, skoro wykonywałaś jego polecenia – zauważyła dziewczyna.

– Moim zadaniem było cię dostarczyć, tak jak dostarcza się towar – odparł zaskakująco zimnym głosem janczar. – Jak to zresztą pięknie ujęłaś. Nie zadawałem pytań.

Powóz przyspieszał. Gnali ulicą, widząc przed sobą majaczące ponad domami wysokie drzewa. Okna kamienic patrzyły na nich jak na intruzów. Wyglądały tak, jakby chciały pochłonąć całe światło.

Usłyszeli za sobą turkot innych kół. Chodyna wychynął zza zasłony i zdębiał. Przez bramę w podwórzu wyjechał powóz. Po chwili przyspieszył. Koła ścigającego ich pojazdu uderzyły w kałużę stojącej wody, obryzgując brudem ścianę. Usłyszeli ponury trzask. Powóz stanął na dwóch kołach, po czym zakołysał się i z łoskotem uderzył o ziemię. Woźnica podskoczył na kozle, nagradzając rżące konie

uderzeniem bata. Tuż za powozem pędziło kilku jeźdźców.

– Ścigają nas! – wrzasnął woźnica. Konie przeszły w kłus, na co latarnia runęła z łoskotem w dół, oblewając stopy pasażerów żywym ogniem. Krzyknęli, na widok ognia zaczęli tupać, lecz płomienie przeskakiwały już na szaty.

– Dureń! – zawołała Miriam, lecz Chodyna zachował więcej rozsądku i zerwał z ramion mokry płaszcz, a następnie przykrył ogień. Płomienie prawie natychmiast przygasły, pozostawiając jednak ostry smród oliwy.

Wjechali w uliczkę otoczoną przez przytulone do siebie pokryte kratownicami chaty.

Ciemność utrudniała jazdę do tego stopnia, że gdy w pierwszym powozie trwała zażarta walka z pożarem, drugi uderzył z impetem w obudowaną drewnem studnię i wyrzucił w powietrze kołowrót, ceber oraz fragment dwuspadowego daszku przykrywającego konstrukcję. Jedna z desek zakleszczyła się między drewnianymi szprychami przedniego koła, podczas gdy tylne zostało strzaskane. Rozległ się wizg pociągniętego za deską powrozu utrzymującego cembrowinę. Konie wciąż ciągnęły wrak pojazdu, ogłupiałe z przerażenia. Wyrwany kołowrót klekotał za wozem. Zwierzęta rżały. Gruby jak ramię mężczyzny sznur okręcił się wokół koła i połamał je z głośnym łomotem. Powozem zatrzęsło. Woźnica wyleciał z kozła jak z procy. W mroku rozległ się chrupot pękających kości. Obok resztek powozu przejechały konie. Jeźdźcy wołali do siebie z ciemności.

Przed uciekającym powozem groźnie zamajaczyły ognie.

– Zbliżamy się do bram! – zawołał wystraszony woźnica.

W chwili, gdy przebrzmiały te słowa, przejechali przez rozwarte na oścież wrota, taranując stojących strażników. Mężczyźni rozbiegli się z krzykiem. Jeden zginął pod kołami.

Konie zarżały, ale nie zwolniły biegu. Ziemia dudniła pod kopytami, wtórowały jej piszczące koła. Żłobiąc głębokie szramy w rozjeżdżonej drodze, galopowali przez siwą mgłę pokrywającą pola. Za uciekającymi grzmiały okrzyki pogoni, w tle rozbłyskiwały trzymane przez jeźdźców pochodnie.

Chmury odsłoniły księżyc, którego promienie zalały równinę mdłym blaskiem. Woźnica dostrzegł czerniejącą tuż przed jego oczami ścianę lasu. Przypominała rozgałęziony na szczycie mur. Wstęga wysypanej mokrym piaskiem drogi wiła się, wnikając w ciemność. Dotarli do skraju lasu w tej samej chwili, gdy pierwszy jeździec przeciął im drogę. Oczy towarzyszy oślepił żar pochodni. Drzewa wykrzywiły się, przemieniając na moment w potworne sylwetki, korzenie upodobniły do gniazd ruchomych węży, a mrok całkiem ustąpił. Mężczyzna zawołał do nich donośnie, po czym cisnął pochodnię na dach kolebki. Uderzyła i posypały się w ścianę materiału groźne skry. Odbita pochodnia upadła w błoto. Przy drugiej ścianie wozu wyłonił się kolejny jeździec. Najechał wprost na woźnicę i usiłował zaatakować mężczyznę mieczem. Brzęk odbitego od koła brzeszczotu zastąpił po chwili potężny łomot, gdy w mężczyznę oraz w zwierzę pod nim uderzył bok powozu. Koń zakwiczał,



mężczyzna głośno zawył.

Zostawili pogoń z tyłu. W tej samej chwili kolebką zatrzęsło. To koła, pod którymi ciągnęły się węzły krzyżujących się korzeni, odpowiedziały na nową przeszkodę. Woźnica z trudem utrzymał lejce. Miriam głośno krzyknęła, uderzając twarzą w policzek Chodyny.

W tej samej chwili rozległ się huk. Coś załomotało w drzewo, od którego odpadł płat kory. W tyle rozległ się głośny odgłos wystrzału. Po chwili lufa przemówiła ponownie. I jeszcze raz. Kolejne odgłosy przypominały stukot. Głuchy huk gonił uciekających. Promienie bełtów przebijały miękkie, lipowe pnie.

– Bękarty jedne! – wrzasnęła Miriam. – Strzelają do nas!

Powozem mocno zarzuciło, Bartłomiej poczuł, jak obicie dachu napiera mu na głowę.

Dotarli do rozdroża. Za nimi galopował przez kałuże pojedynczy jeździec. Usłyszeli, jak taranuje w ciemności pień drzewa i pada ciężko wraz z wierzchowcem.

W tej samej chwili pościg, o ile jeszcze trwał, stał się dla uciekających najmniejszym problemem. Wszystko zmieniło położenie, wozem mocno podrzuciło. Miriam runęła na ścianę, wyjąc jak ranne zwierzę. Powóz wpadł w nagły poślizg i prawie stanął na dwóch kołach. Każdy z pasażerów poczuł uderzenie całym ciałem. Jakimś cudem woźnica opanował rozkołysany pojazd. Przynajmniej tak wszyscy myśleli.

– Radzę wam schować głowy! – krzyknął ostrzegawczo.

Nagły manewr wywołał niespodziewany efekt. Wóz zaczął się wywracać na lewą stronę. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Chodyna drgnął na swoim siedzeniu. Usłyszał huk, zanim jeszcze poczuł zwój metalu napierający na żebra. Ściana kolebki rozpadła się, obrzucając wszystkich odłamkami stali. Bartłomiej huknął o coś głową. Tuż przed oczami starego zamajaczyła wyszczerzona gęba Wrony, jego zalane krwią oczy i napierające z wszystkich stron stalowe pasy.

Przez chwilę trwali w ciszy, słyszeli tylko kręcące się w powietrzu koło oraz kwiczenie leżących na boku koni.

– Wszyscy cali? – spytała donośnie dziewczyna. Cały czas trzymała głowę nisko, chowając twarz w dłoniach.

– Wrona oberwał! – wykrzyknął ochryple Bogumił. Usiłował zachować spokój, tuląc się do jednego z pasów budy.

– Na szczęście niegroźnie! – odkrzyknął Bartek. – Głowa zawsze najwięcej krwawi. Dobra, wyłaźmy spod tego wraku, zanim ci dranie nas dopadną, żeby dokończyć, co zaczął nasz dzielny woźnica swoją brawurową szarżą przez knieję.

– W takim razie złaż mi z nogi! – wrzasnęła Miriam i pierwsza wypełzła z wozu, rozcinając materię

powozu sztyletem. Wstała i zaczęła energicznie otrzepywać kolana. Zamarła w pół ruchu. Spojrzała oklejone błotem wysokie buty i kopyta parskających głośno koni. Powóz otaczali zbrojni.

– Nie wierzę – mruknęła, uśmiechając się drżącymi kącikami ust. Przywarła plecami do rozwozy wozu, spoglądając między nogami mężczyzn. Leżało tam rozciągnięte ciało woźnicy, z nogami rozrzuconymi pod dziwnym kątem i przekrzywioną nienaturalnie głową. Jeden z mężczyzn dźgał trupa halabardą. W tle kwiczały ranne konie.

Za dziewczyną wypełzł Bogumił.

– Czy to jeszcze miejska straż, czy pospolita banda rzezimieszków? – spytał, widząc odzienie zbrojnych. Tuniki, płaszcze i powiązane pod pachami kaptury upodabniały mężczyzn do bandy najemnych zbirów.

– Mogłem się tego spodziewać! – zawołał do klęczącego na kolanach starca jeden z ludzi. Miriam pomogła Bogumiłowi wstać, podczas gdy zbir wysunął się do przodu, chwytając pod boki. Dziewczyna od razu rozpoznała parchatego sierżanta, którego po raz pierwszy spotkała w melinie Węgliszka. Mężczyzna nosił na sobie zwykłą przepasaną tunikę, ciasne nogawice i kaptur zadymowy, lecz pomyłka nie wchodziła w grę. Popatrzył ostro na dziewczynę i jej towarzysza.

– Cały czas byliście w zмовie z mordercą. – Pokiwał głową, krzywiąc nieogoloną gębę. – Wcale mnie to nie dziwi.

– Mordercą?! – powtórzyła dziewczyna, ściągając brwi. Przyjrzała się Bogumiłowi. – O czym ten bękart mówi?

W odpowiedzi stary wzruszył niewinnie ramionami.

– Za pojmanie zbiegów na publicznej drodze zapłacimy grzywnę – oznajmił jeden z żołnierzy. – Szkoda by było.

– No właśnie – dodał drugi. – Co robimy, sierżancie?

– Jak to co, w las ich i ukręcić szyje – burknął jeszcze inny. – Grzywna jest jedna i ta sama za morderstwo. Powiemy, że się stawiali. Może nam odpuszczą.

– Dość gadania! – zawołał sierżant. – Brać ich!

Na słowa dowódcy dwóch zbrojnych odłączyło się od reszty. Błyszcząca stal. Lecz Miriam uprzedziła atak, robiąc gwałtowny wypad sztyletem. Ostrze uderzyło w puklerz i zagłębiło się pod brodą zaskoczonych zabijaki. Mężczyzna zacharczał, usiłując coś powiedzieć, zachwiał się i jego usta wypełniła krew.

Drugi, znacznie cięższy opryszek rzucił się na Miriam z boku. Na drodze zabijaki stanął jednak Bogumił. Naparł na owalną tarczę. Zetknięcie z jej ostrymi krawędziami było bardzo bolesne. Nad głową zobaczył klingę miecza. Uskoczył w bok, niemal tracąc równowagę.

– Chodyna! – zawołała głośno Miriam, widząc, że trzech inni zbrojni ruszają na nich. Wyciągnęła wolno miecz, zerkając kątem oka w bok. Strażnik o wyglądzie prosiaka runął z tarczą na starca, usiłując powalić go na ziemię i przygnieść swoim ciałem. Bogumił nie był jednak w ciemnię bity. Odskoczył i wyszarpnął zza poły płaszcza długi, wąski sztylet. Doskoczył do ofiary w chwili, gdy mężczyzna łapał równowagę. Zamachnął się, z półobrotu wbijając ostrze między niechronione żebra. Żołnierz runął na swoją tarczę i już nie wstał.

– Banda durniów! – wychrypiął sierżant, wsuwając się na siodło. Wyszarpnął miecz z pochwy i uderzył konia piętami. Zwierzę ospale ruszyło na dziewczynę.

Miriam błyskawicznie cofnęła miecz, po czym wbiła go w brzuch wierzchowca. Koń zakwiczał, stanął na tylnych nogach, a potem zwałił się z chrzęstem, grzebiąc pod sobą jeźdźca.

Nad głową dziewczyny żeleźce halabardy wbiło się w drzewo, odrywając kawał kory. Miriam pisnęła donośnie, ukrywając głowę w ramionach. Halabardnik roześmiał się szaleńczo. Zamachnął się ponownie, tym razem znad głowy. Poczł jednak, jak jakaś niewidzialna siła unieruchamia mu ramiona. Dziewczyna dostrzegła stojącego za plecami strażnika Chodynę. Janczar przytrzymał żołnierza jedną ręką, a drugą poderżnął mu gardło. Krew bryznęła, ochlapując twarz Miriam.

Na Bartka rzucił się z toporem kolejny przeciwnik. Lecz głupiec nie znał szybkości janczara. Chodyna obrócił się, przyciągnął atakującego do siebie, podstawił mu nogę, a potem ciął leżącego przez głowę jataganem.

– Amatorzy – wysyczał, nie widząc za wiele przez kapiącą z łuku brwiowego krew. Wytarł czoło wierzchem dłoni i potrząsnął mocno głową. I wtedy spostrzegł spadające ostrze. Uwięził sztych miecza nożem, a potem skrócił dystans dzielący go od napastnika. Przez chwilę Miriam widziała jedynie wierzgające nogi nieszczęśnika i płaszcz Bartłomieja. Kolejny trup upadł na ziemię.

Chmury rozplynęły się po niebie. Nad głowami trójki towarzyszy rozbłysnął ogromny księżyc, żółty i pokryty bruzdami niczym kawał okrągłego, spleśniałego sera. Poświata sprawiła, że zrobiło się jasno jak w dzień.

Rozejrzeli się. W upstrzonym plamami krwi piasku leżały ciała żołnierzy. Wkoło dreptały pozbawione jeźdźców konie.

– No, pięknie. – Miriam westchnęła. – Myślałam, że już nie doczekamy się twojej pomocy, Chodyna.

– Czepiasz się – mruknął janczar, wycierając ostrze jataganu o jedno z ciał. – Poza tym wolałem posłuchać, co mają do powiedzenia na temat Bogumiła. Szacunek dla naszego zabójcy. Jesteś już praktycznie legendą w mieście.

Mówiąc to, popatrzył na Bogumiła. Klęknął przy trupie sierżanta, palcami rozgarniając poły kaptura, i sprawdził tętno. Mężczyzna nie żył. Chodyna spojrział na dwa wciąż zaprzężone do powozu,

przyciśnięte do ziemi ciężkimi szorami poranione konie.

– No właśnie – rzuciła Miriam. – Chcesz jakoś skomentować te słowa, drogi morderco?

– Nie – odparł wściekle stary, a potem podszedł do ciała woźnicy. Ukłękął i przeżegnał się szybko, a następnie zamknął oczy towarzysza.

– Co to ma znaczyć?! – zawołała za nim dziewczyna. – Do kroćset, należą nam się jakieś wyjaśnienia!

– Tak uważasz? – Bogumił obrócił się nieco, spoglądając na zrytą ziemię. – Ja przyczyniłem się do śmierci jednego mężczyzny, Chodyna zabił resztę. Kto tu jest większym mordercą, ja czy on?

Zmierzył spojrzeniem janczara.

– Tylko nie mów, że się broniłeś. Tańczyłeś między nimi jak wąż.

– Nie ja ich zabiłem, jeno Bóg – prychnął Bartłomiej, chowając jatagan do pochwy ukrytej na plecach. Chwytał do rąk halabardę i ruszył w kierunku zaprzężonych w powóz koni, których boki pokrywały płaty piany i czarna posoka. Z brzucha jednego wystawały zębra. Wkoło roznosił się nieprzyjemny fetor wnętrzości. Drugi miał połamane nogi w pęcinach.

– Sprawilo ci to przyjemność – zarzucił mu starzec. – Uwielbiasz zabijać.

– Bóg nakazuje szczodroblivość i dobroczynność względem bliskich i wrogość względem nieprzyjaciół. A ja jestem jeno pokornym Jego sługą. Niesienie pomocy zawsze sprawia mi przyjemność, tak samo jak postępowanie wedle praw Koranu. – Roześmiał się dziko, po czym dźgnął mocno pierwsze zwierzę. Głośny kwik przerodził się w dźwięk do złudzenia przypominający szloch. Po chwili ugodzony koń zamknął ślepią.

– Te wieprze nie zasługiwały na to, by żyć – wtrąciła się dziewczyna.

– Muszę się z nią zgodzić – mruknął Chodyna, silnym szarpnięciem halabardy kończąc męki drugiego zwierzęcia. Westchnął z wysiłku i wytarł pot zmieszany z cuchnącą krwią. Wypuścił drzewce i podszedł do wierzchowca na chwiejnych nogach, przeciągnął cugle przez kark zwierzęcia. Drgnęło, rozdrażnione zapachem krwi, lecz janczar zdecydowanie utrzymał wodze. Włożył stopę w strzemię.

– Wynośmy się stąd – rzucił.

\*\*\*

– Sądzę, że zainteresowanie Kościeleckiego Miriam może mieć związek z tym, co wygadywali na jej temat w szpitalu Świętego Gotarda w Kruszwicy.

– Czyli? – Bogumił przyjrzał się Chodynie. Ciszę przerywał jedynie trzask iskier strzelających z ogniska, przy którym siedzieli we trójkę. Tuż za obrębem światła rozciągała się złowieszczą ciemność. Nieco dalej pasły się dwa siwki i kary.

Bartłomiej wzruszył ramionami.

– Pokróćce mówiąc, twierdzili, że dziewczynę opanowały złe moce.

W odpowiedzi Miriam szturchnęła mężczyznę łokciem między żebra.

– No, o co chodzi?! – spytał. – Czy nie tak właśnie było?!

– Nie musisz tego mówić każdemu.

– Ale dobrze, że powiedziałaś to mnie – odparł Bogumił. – Jako że wiele rzeczy widzę teraz jaśniej.

Nie jest to pierwszy raz, gdy złe moce interesują starostę Kościeleckiego.

– To znaczy? – Bartłomiej westchnął zrezygnowany. – Nie mów mi tylko, że...

– Mówię o mojej podopiecznej – przerwał janczarowi stary. – Nazywała się Katarzyna Kucharczykowa i została skazana w Bydgoszczy za czary. Była również kochanką młodego podówczas starosty. Postanowiono więc, dla dobra jej i dziecka, które nosiła w łonie, że musi zniknąć. Przywieziono ją do Kruszwicy, do Oporowskich, którzy przyjaźnili się z rodziną Kościeleckich od lat. W ten sposób ja i Kasia się poznaliśmy.

– Nazywasz się Oporowski? – spytała Miriam. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Służyłem Janowi z Oporowa jako nadworny alchemik.

– Więc to o tobie mówili w Kruszwicy – mruknęła z uśmiechem dziewczka. – Ten pożar i przyzwanie diabła to wszystko twoje dzieło!

– Nie do końca – rzekł alchemik. – Pożar wywołał starosta Kościelecki. Był w noc pożaru na zamku.

Dlaczego to uczynił, nie mam pojęcia. Może był zazdrosny o Katarzynę? Bóg raczy wiedzieć.

– A co się stało z dzieckiem? – spytała Miriam.

– Zabrano je zaraz po porodzie – odparł smętnie Bogumił. – Nie wiem dokładnie, co działo się z nim przez lata. Po pożarze ukrywałem się w szpitalu Świętego Gotarda. Leczyłem poparzenia. Potem wyjechałem z powrotem w rodzinne strony, do Pragi. Siedziałem też trochę w Krakowie. Do Rzeczypospolitej wróciłem tego roku. Po to jedynie, aby się dowiedzieć, że Katarzyna przeżyła pożar i odnalazła syna. Został zakonnikiem w przybytku cystersów w Koronowie. Nie wiem, w jakich okolicznościach doszło do spotkania i czy w ogóle do niego doszło. Dziś w każdym razie oboje już nie żyją.

– Zakonnik, powiadasz? – Janczar ściągnął brwi.

– Mateusz! – wykrzyknęła Miriam. Spojrzeli sobie z Bartkiem w oczy.

– Tak miał na imię – przyznał zdziwiony alchemik.

Chodyna westchnął i w rozedrgane szczapy drewna włożył sztylet, którym odkrajał plastry suszonego mięsa. Zerknął dziko w twarz alchemika. Płomienie wiły się niczym stado węży.

– Słyszeliście o Mateuszu, prawda? – zapytał Bogumił.

Janczar parsknął kpiąco.

– Chcesz zemsty na staroście? Śmierci Kościeleckiego? Pytałem cię już o to. Nie odpowiedziałeś.

– Wszyscy ludzie, którym odebrałem życie, mieli mniejszy lub większy związek z nieszczęściem

Kasi – wyjaśnił starzec. – Brali udział w procesie albo do niego doprowadzili. Dziś za to płacą.

Miriam wsparła się na mieczu i oparła brodę na wierzchu dłoni. Wpatrzyła się w płomień i przez moment nie mogła oderwać od nich oczu. Po klindze leniwie pełzało odbicie żaru ogniska. Dziewczyna wyprostowała nogę.

– I chcesz, żebyśmy ci pomogli? – mruknęła. – Czy dlatego przyszedłeś do mnie?

Bogumił usiłował pokonać zmieszanie, choć jego oczy napełniły się łzami.

– Tak – oznajmił. – Potrzebuje pomocy. Sam do starosty nie dotrę.

– Chodyna nie ma w tym żadnego interesu – odparła Żydówka. – Nie pomoże nam. A poza tym nie ufam mu. Już raz mnie wydał. Więc na niego nie ma co liczyć.

– A potem ocalił twój tyłek – odparł Bartłomiej. – Nie zapomnij o tym. Poza tym Sara uważa, że Kościelecki ma modlitewnik, po który tu przyjechałem. Mam więc i interes, i sposobność wam pomóc.

– I co?! – parsknęła Miriam. Wzrok dziewczyny zetknął się ze spojrzeniem Bartłomieja. – Pójdziemy na zamek? Niby jak masz zamiar tam się dostać?

– W przebraniu – odparł janczar. – Żołnierze mieli pod swoimi szmatami czerwone tuniki z symbolem strzały. Przynajmniej sierżant.

– Sprawdzaleś! – wykrzyknęła Miriam. – Gdy klękałeś przy ciele! Już wtedy wpadł ci do głowy ten pomysł.

Przytaknął.

– Ktoś musi mieć głowę na karku – rzekł janczar. – Najlepiej, jeśli nie będziemy czekać. Lecz jedno z was musi udawać więźnia.

– To jest twój plan?! – oburzyła się niewiasta.

Kiwnął głową.

– W ten sposób ja się dowiem, gdzie schował książkę, a wy dostaniecie starostę w swoje ręce.

– A co z Sarą?

– A co ma być?! – Popatrzył na dziewczynę. – Na razie zostanie tam, gdzie jest.

– Ja będę zakładnikiem – zgłosił się alchemik. – Słyszałeś żołnierza. Wiedzą już, że morderstwa to moje dzieło. Musiał mnie ktoś zobaczyć z jedną z ofiar. I zapamiętać. Z moją gębą jestem zatem spalony.

– Dosłownie. – Miriam parsknęła okrutnym śmiechem. Natychmiast jednak pożałowała ostrego słowa.

# Rozdział 9

Piotr z Zagajewic nie mógł oderwać podejrzliwego spojrzenia od więźnia. Odziany jedynie w rozsznurowany kaftan narzucony niedbale na koszulę, pan Piotr drżał z zimna.

– Nie do wiary – rzucił, gładząc czarne wąsy. – To wszystko twoja sprawka? Zamordowałeś tych wszystkich ludzi?

– Jest jeszcze miejsce na mojej liście. Możesz je zająć – odparł alchemik, po czym splunął podstarościemu w twarz.

Miriam obserwowała reakcję Piotra w świetle trzymanej przez jednego z żołnierzy latarni. Bartłomiej opuścił nosal hełmu niżej, zasłaniając górną wargę. Miriam również skryła się w cieniu, ciągnąc za uzdę konia. Na opuszczonej głowie nosiła dopasowany kaptur zadymowy, którego dolny skraj zasłaniał dziewczynie usta, a na kaftan narzuciła czerwoną tunikę. Nie zsiadła z kulbaki i z trudem panowała nad koniem. Do kopyt zwierzęcia przykleiły się grudy błota, a na jego boku widniały ślady krwi. Latarnia poruszyła się w ręce żołnierza, cienie się przemieściły. Nad miastem wstał już dzień, lecz tutaj niepodzielnie panowała lodowata noc. Dachy cierpliwie czekały na pierwszą pieśczętę promieni słonecznych.

Stali wraz z żołnierzami w korytarzu, którego sklepienie tworzyła ceglana wieża bramna wiodąca do zamku. Nad głowami towarzyszy wisiały zęby żelaznej kraty.

Nie mieli problemu przy bramach, były już bowiem otwarte. Odkąd sędzia Nieciszewski przestał być podstarościm, a Karol Plotzlich hutmanem, straż miejską cechowała większa łagodność.

Przejechali opustoszałymi ulicami miasta i dotarli na wzgórze. Raz tylko stanęli i obrzucili przelotnym spojrzeniem mury. Ich wyższe partie wzniesiono z cegły, niższe stanowiły połączone zaprawą kamienie polne. Po chwili kontynuowali jazdę. Chodyna dierzył w rękę sznur, obwiązany wkoło przegubów alchemika. Strażnicy przy brance w parkanie, oddzielającym zamek od miasta, nie zdążyli zareagować, lecz okrzykami zaalarmowali żołnierzy przy moście przerzuconym przez fosę. Kiedy więc trójka towarzyszy dojechała do krytego krenelażem muru z wysuniętą czworokątną wieżą, tamci już na nich czekali. Jeźdźcy zdołali wjechać w bramę, której skrzydła rozwarły na oścież, jakby w zaproszeniu. Po krótkich, nerwowych wyjaśnieniach posłano po podstarościego, Piotra z Zagajewic.

Pojawienie się mężczyzny pokrzyżowało szyki Bartłomiejowi. Piotr z Zagajewic wynajął Wronę, aby mężczyzna odnalazł i przywiózł Miriam z Kruszwicy. Ten zadanie wykonał, lecz oto teraz pojawiał się w przebraniu, udając kogo innego. Nie pomyślał zrazu, że może do takiej sytuacji dojść. Inaczej od razu przedstawiłby się własnym imieniem.

Pozostawała jeszcze nadzieja, że Piotr nie rozpozna janczara, którego twarz skrywał hełm.

– A pozostali? – Piotr rozejrzał się i ściągnął brwi.

– Ścigają wraz z sierżantem dziewczynę – odparł Chodyna. Miriam zeskoczyła z grzbietu konia, żeby niepotrzebnie nie przyciągać uwagi.

– Więc jeszcze raz – mruknął Piotr. – Do „Zgorzelca” przyszedł alchemik i dał się wciągnąć w sidła, czy tak? Tylko że czatujący przed gospodą widzieli trzy osoby wsiadające do wozu. Nie jedną.

– Nie mam pojęcia, co się stało z pozostałą dwójką. – Chodyna wzruszył ramionami. – W każdym razie jestem zdania, że starosta powinien o wszystkim usłyszeć.

Piotr z Zagajewic obrócił się bokiem, jakby odchodził, lecz nagle coś go zatrzymało.

– Jeszcze raz, jak cię zwa? – zwrócił się do Bartłomieja.

– Każko – odparł janczar.

– A twój towarzysz?

– On? – Bartłomiej rozejrzał się, szukając Miriam. – To młody Benko.

– Każko i Benko – powtórzył podstarość i pokiwał głową. – Tylko że w straży nie ma nikogo takiego. Poznałem cię. Jesteś Wrona.

– Wrona czy Każko, jakie to ma znaczenie? – Chodyna zerwał hełm z głowy, pokazując wszystkim świeże blizny i ślady krwi na czole i policzkach. – Przyproważyłem mordercę.

– Zgadza się – przyznał Piotr z Zagajewic. – Jeno w jakim celu? I co robisz ubrany w tunikę straży?

Dał krok do tyłu, w kierunku pustego, okrytego jeszcze ciemnością dziedzińca, który okalały z trzech stron drewniane krużganki. Jedynie kryjący trzy masywne, trójkondygnacyjne skrzydła dwuspadowy dach z trójkątnym szczytem płonął złotą łuną.

– Brać ich! – zawołał.

Miriam zerwała z głowy kaptur i wyszarpnęła miecz z pochwy, a potem rozcięła nim pęta „jeńca”. Chodyna zdmuchnął dzwonem hełmu najbliższego żołnierza. Ofiara poleciała na ścianę, zachłystując się krwią.

Zza wrót dobiegły donośne kroki. Janczar szybko zmierzył odległość od karosza i rozejrzał się dokoła. Od strony furty nadbiegali żołnierze.

– Szybko! Pędź przed siebie! – zawołał. Miriam kiwnęła głową, spoglądając na Bartłomieja. Podstarość odskoczył, nie chcąc, żeby go stratował koń. Zachwiał się przy tym i padł prosto w końskie łajno pokrywające dziedziniec zamkowy.

Rozległ się tupot, któremu wtórowały ochryple głosy.

Gdy Bartłomiej dosiadł wierzchowca i ruszył dziedzińcem, grzmotnęły drzwi prowadzące z zamku, którego okna wychodziły na plac. Pojawili się zbrojni, dobry tuzin mieczy i halabard. W otworach strzelniczych stanęli kusznicy. Wszyscy wycelowali w jedno miejsce.



Chodyna ściągnął wodze. Wiedział, że nim dotrze do drugiego końca dziedzińca, zrobią z niego sito.

Dziewczyna dostrzegła żeleźce halabard mierzące w jej pierś i wypuściła miecz.

– Zastrzelić mi tego łotra! – krzyknął klęczący podstarości, pokazując na Chodynę.

– Neeeeeeeeee! – wrzasnęła Miriam. W tej samej chwili rozległ się brzęk i eksplodowała latarnia w rękach trzymającego ją żołnierza. Ogień buchnął mężczyźnie w twarz i objął całą jego sylwetkę. Podstarości zasłonił głowę. Halabardnicy odskoczyli, jakby ich także dosięgnął ogień.

– Trudno – mruknął pod nosem janczar. – Kiedyś trzeba umrzeć.

Uderzył konia w boki i głośno krzyknął „Iaaaa!”. Zwierzę zarżało i runęło pędem w kierunku głównego budynku. Kusznicy wycelowali, lecz w tym samym momencie między strzelcami a Chodyną coś wybuchło. Ściana ognia pojawiła się znikąd i liznęła płomieniami podwórze. Podmuch uderzył w karosza, na co zwierzę zarżało przenikliwie i zaczęło dreptać w miejscu. Chodyna ściągnął cugle i wierzchowiec stanął dęba. Bartłomiej położył się na karku konia i westchnął, czując, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

– I bójcie się ognia, który został przygotowany na niewiernych! Oto gehenna, palcie się w niej dzisiaj za to, że nie wierzycie! – wrzasnął, cytując wersety z Koranu. – Palcie się w żywym ogniu!

Śmiech ugrzązł w gardle janczara. Stęknęły cięciwy kusz. Bełty przecięły powietrze i rozorały brzuch zwierzęcia, które z głośnym kwikiem legło na boku, przygniatając Chodynę.

– Czarownica! – krzyknął Piotr z Zagajewic, spostrzegając wyciągniętą w stronę dziedzińca rękę Miriam. Rozcapierzone palce dziewczyny zakrzywiały się w szpony, a przez rozciągnięte w krzyku usta dochodził nieludzki, przypominający ryk lwa głos. – Zastrzelcie ją!

W odpowiedzi dziewczyna wpiła w mężczyznę płonące szaleństwem oczy. Gorący podmuch uderzył w ubranie pana Piotra, a włosy stanęły mu dęba. Po chwili kurta podstarościego zaczęła się tlić. Nie pomogło wściekłe otrzepywanie. Rękawy wybuchły płomieniem, a podstarości zawył jak ranny wilk.

– Powstrzymajcie wiedźmę! – wrzeszczał. Lecz żaden z żołnierzy nie kwapił się atakować Miriam, która spokojnie ruszyła dziedzińcem. Bogumił dołączył do niej, ogladając się raz po raz do tyłu.

Płomienie znikły tak szybko, jak się pojawiły i kusznicy byli wielce zdziwieni. W tej samej chwili spod boku wierzchowca wypełził Bartłomiej. Odepchnął się nogami od rżęącego zwierzęcia i z przerażeniem w oczach spojrzał na dziewczynę. Miriam podchodziła, jej krótkie włosy poruszały się na głowie jak naelektryzowane, podobnie płaszcz zwisający dotąd z ramion. Oczy migotały złowróżbną poświatą, a nad całą postacią płonęła przypominająca języki płomieni aureola. I choć janczar usiłował to sobie tłumaczyć grą światła wywołaną przez pierwsze promienie słońca odnajdujące drogę na dziedziniec, to nie potrafił poddać się własnemu złudzeniu.

– Zaprawdę, jestem na drodze do zguby! – wykrzyknął, zasłaniając oczy przed blaskiem. – Kim jesteś, niedobra niewiasto?! Kto cię sprowadził na moją drogę?!

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, migotanie osłabło i oblicze Bartłomieja skrył cień. Dziedziniec opustoszał, wszyscy pochowali się, gdzie mogli. Jedyne promienie słońca rozbłyskiwały raz po raz, malując sylwetki przedmiotów i ludzi złotą poświatą.

– Kim jestem? Durniu, jestem sobą – wyszeptła drżącym głosem dziewczyna przez zaciśnięte wargi.

– Do wrót, Chodyna! – zawołał alchemik, chwytając dziewczkę pod ramię. Przebiegli kilka kroków, dopadając do wzmacnianych pasami żelaza drewnianych wrót. Janczar chwycił za żelazny pierścień i szarpnięciem zmusił drzwi do ruchu.

– Ani kroku dalej! – usłyszeli. Gdy odwrócili głowy, ujrzeli Piotra z Zagajewic w towarzystwie zbrojnych. Mężczyźni stali z bronią i owalnymi tarczami z herbem Kościeleckich w ręku, choć miny mieli nietęgę, a oczy wytrzeszczone ze strachu.

– Nie poddajesz się, jak widzę – przyznał z uznaniem w głosie Chodyna. – Mało ci jeszcze?

– Jak widać – odparł podstarości. – Pojmać ich!

– Nie radzę – oznajmił Bartłomiej, szybkim spojrzeniem omiatając dziewczynę. – Chyba że chcecie wszyscy zapłonąć.

Miriam pokręciła szybko głową, sycząc do Bartłomieja przez zaciśnięte zęby.

– Zdurniałaś?! Nie powtórzę tego. Nie wiem, jak to zrobiłam!

Odpowiedzią był pewny siebie uśmiech i błysk w oku janczara.

– Do środka! – wykrzyknął alchemik. Żołnierze zacieśnili krąg, wymieniając lękliwe spojrzenia.

– Na co czekacie?! – podstarości złajał swoich zbrojnych, a potem złapał jednego za połę płaszcza i mocno nim potrząsnął. – Ogłuchliście?! Brać ich!

Staął za dwoma innymi strażnikami i pchnął obu do przodu. Miecze w dłoniach żołnierzy ożyły. Chodyna zasłonił sobą przejście, odbijając słabe, markowane ciosy jataganem.

– Co wy tu jeszcze robicie! Uciekajcie! – zawołał za Bogumiłem i Miriam. Alchemik zareagował natychmiast, ciągnąc dziewczkę za rękaw. Przystąpili próg, choć Miriam wyrywała się i wrzeszczała.

Kolejni zbrojni odzyskiwali odwagę. Tym razem na janczara runęła z góry halabarda. Bartek uskoczył, napierając na drzwi plecami. Z trudem utrzymał równowagę.

– Bartek! – krzyknęła zza zamkniętych drzwi Miriam.

– Wiejcie, głupcy! – wrzasnął Chodyna. Zmienił pozycję, odcinając drogę kolejnym atakującym. Miecze i jatagan całowały się z brzękiem, lecz dystans między mężczyznami a janczarem cały czas malał. Krótkie, zakrzywione ostrze nie mogło podołać długim klingom, a ciosy Bartka żłobiły jedynie szramy na powierzchni drewnianych tarcz lub rozlegał się brzęk, gdy jatagan odbijał się od umbów.

Rozwarły się nieco drzwi, Chodyna napał na nie plecami. W niewielkiej szparze pojawiła się twarz Miriam.

– Bartek! – zawołała. Bartłomiej szybko odwrócił się do dziewczyny. „Biegnij”, polecił jej bezgłośnie. Obrzucił wzrokiem wewnątrz. Z włosami przyklejonymi do czoła odparł kolejny atak i pchnięciem nogi zatrzęsął drzwi przed nosem dziewczyny.

– Tarczami! – wołał podstarości. – Przygnieść bękart tarczami!

Runęli na mężczyznę ze wszystkich stron. Tarcze złączyły się z głośnym gruchotem. Żebra janczara przeszły ostry ból. Ostrze jataganu zagłębiło się w bok jednego ze strażników, lecz po chwili broń wypadła z dłoni janczara. Upadając, wymalowała na ubitej ziemi długie pasmo krwi.

\*\*\*

Alchemik złapał dziewczynę za kaptur i ciągnął za sobą. Odepchnęła Czecha, spoglądając na niego spode łba. W szparze rozwieranych drzwi pojawiła się twarz pierwszego żołnierza.

– Chodźże! – zawołał starzec. Przyciągnął dziewczynę za ramię, prowadząc w kierunku krętych kamiennych schodów wiodących w ciemność rozjaśnianą jedynie przez słabe, dogasające żagwie. Puścili się biegiem, przewracając raz po raz i pomagając sobie nawzajem wstać. W mroku wymacywali zimną chropowatą ścianę.

– To była pułapka! – wysapał Bogumił, ciężko dysząc. – Janczar wciągnął nas w pułapkę! Jak inaczej wyjaśnić, że podstarości zjawił się tam tak nagle na czele małej armii?!

– Nie sądzę, żebyś miał rację, choć wykluczyć tego nie mogę – wyszeptła. Miała mętlik w głowie, a przed oczami wyraz twarzy janczara. W dole skrzykiwali się już żołnierze. Blask ich pochodni rzucał długie cienie na ściany i stopnie schodów.

– Ale o jednej rzeczy, alchemiku, jestem przekonana – dodała szeptem. – Nie możemy tu zostać. Szybciej!

Przemierzyli schody i ruszyli w ciemność wzdłuż ściany. Miriam podążała przodem, wypatrując słabego światła w korytarzu daleko przed nimi. Wreszcie dotarła do źródła migotania. Chwyciła pochodnię z uchwytu w ścianie. Syk kapiącej płonącej smoły rozległ się w ciszy. Zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie, choć nie miała pojęcia, gdzie jest. Z wysiłku lał się z niej pot.

Zauważyła płytką wnękę wiodącą do uchylonych drzwi. W dziurce od klucza tkwił długi metalowy klucz, dołączony do pęku zawieszzonego na kółku. Wyrwała klucz i przewieszając sobie kółko przez rękę, pociągnęła starego za rękaw. Kiwnął szybko głową i oboje zniknęli w izbie. Poobijali się, w pędzie wpadając na schodki prowadzące w głąb sali. Po trzech płytkich stopniach weszli do sporej, nieoświetlonej komnaty o wysokim sklepieniu. Ceglane ściany zdobiły jedynie drewniane szachulce, a sufit – przypominający skradającego się w ciemności potwora – kandelabr. Podłogę izby wysłano sianem. Poczuli smród stojącego powietrza. Okno przykrywała okiennica, a oprócz sporego skrzyniowego łóża

z baldachimem i pustego kominka jedyny sprzęt stanowił nocnik oraz ustawiony w pobliżu okna klęcznik przykryty wyszytą koronkami materią. Miriam pospiesznie wsadziła pochodnię do naczynia wypełnionego psującymi się szczynami. Pociągnęła za rzeźbioną mosiężną klamkę, zamykając drzwi. Jęknęła z wysiłku. Odszukała właściwy klucz. Różnił się kształtem od pozostałych. Włożyła klucz w dziurkę. Dwójkę uciekinierów spowiły ciemności. Alchemik kopnął przez nieuwagę nocnik i głośno zaklął, na co dziewczyna tylko cicho westchnęła.

– Co robisz? – spytała. – Chcesz, żeby nas dopadli?!

– Szczyny oblały mi nogawkę – burknął.

Nie minął pacierz, a korytarz rozbrzmiał zbliżającymi się odgłosami kroków i przekleństwami. Przez szparę pod drzwiami wlało się światło pochodni.

– A czego tam szukasz?! – z korytarza rozległ się głos Piotra z Zagajewic.

Odpowiedział mu niepewny głos żołnierza.

– Ja... Ja tylko... powinniśmy przeszukać wszystkie komnaty...

– Moje komnaty?! – odpowiedział natężony głos podstarościego. – A co niby chcesz tam znaleźć, he?!

– No... Eeee... Zbiegów?

– Zbiegów?! – wykrzyknął pan Piotr. – Idiota! Dureń! W korytarzu ich szukać, nie tam!

Buty zadudniły w korytarzyku. Klamka drgnęła, szarpnięta z drugiej strony.

– Widzisz, ośle jeden?! Zamknięte!

Serce Miriam zabiło jak oszałałe. Sądząc z odgłosu, pan Piotr wymierzył mężczyźnie cios w hełm, a po chwili kopniaka. Potem głosy przebrzmiały, razem z dudniącymi krokami.

– Mamy szczęście. – Miriam odetchnęła, opierając się całym ciężarem ciała o drzwi. Zerwała z siebie tunikę i cisnęła na podłogę. – Musiał opuścić komnatę, gdy go zaalarmowali żołnierze, i nie zamknął drzwi, a klucz zostawił.

– Mamy dużo szczęścia – odparł alchemik. – Ale na twoim miejscu nie ściągałbym tej tuniki. Może się jeszcze przydać.

– Łach śmierdzi krwią – rzuciła. – Poza tym do tej pory nic nam nie dały przebieranki. I tak nas rozpoznali.

– Może i tak – przyznał jej rację Bogumił. – Ale tutaj zostać nie możemy. Jak podstarości zauważy, że nie ma kluczy, na pewno wróci. Pryskajmy stąd czym prędzej.

\*\*\*

Korytarz wiodący do lochów pod zamkiem ciągnął się w nieskończoność, ciasny i lodowaty. Śliskie

stopnie znikają w ciemnościach rozjaśnionych jedynie kopczą pochodnią. Andrzej Kościelecki stąpił powoli za prowadzącym go oprawcą. Starosta dzierżył miecz o dzwonowatym jelcu.

Kościelecki musiał się pochylić, przechodząc przez próg dzielący schody od ciasnego korytarza. Szczury, cicho popiskując, uciekły staroście spod stóp. Andrzej zaklął. Oprawca zwrócił nań swą straszliwą, pokrytą czyrakami, zaczerwienioną twarz.

– Chodyna? – Kościelecki zbliżył się do zwisającej z łańcucha postaci. Więzień klęczał, głowę miał opuszczoną prawie do ziemi, a z nosa ciekła mu kleista krew. Starosta podciągnął swój wyszywany płaszcz, żeby nie szargał się po brudnej ziemi.

– Żyjesz, panie? – zapytał. – Czy już nie?

Janczar nie zareagował. Starosta okrążył więźnia i pochylił się do jego zasłoniętej strąkami czarnych włosów twarzy.

– Powiedz coś, proszę... – rzekł Kościelecki, niemalże łagodnie. – Co mam zrobić z głupcami, którzy zostawili cię żywego? Co mam zrobić z tobą, skoro mimo obietnic zdradziłeś mnie tak dotkliwie? Co mam zrobić z Piotrem z Zagajewic, który cię tak lekkomyślnie wynajął?!

– Wiesz, co możesz zrobić? – Janczar zaśmiał się ochryple. – Wypchać się możesz.

– Ile wiesz o powiązaniach Piotra z Węgliszkiem?

– Nie wiem, o czym mówisz, panie – odparł janczar.

– Okradali mnie, jestem tego pewny – odrzekł Kościelecki, wpatrując się w ścianę. Pokrywały ją czarne bruzdy grzyba. – Czy także brałeś w tym udział? Nie wypieraj się, mam dowody na ich winę.

Bartłomiej pokręcił głową.

– Co z dziewczyną i starym? – zapytał Chodynę starosta.

– Pan Piotr ich znajdzie – mruknął oprawca przymilnie, na co starosta zamierzył się, żeby uderzyć mężczyznę. Dozorca ukrył twarz w dłoniach i mruknął jakieś przeprosiny.

– Pytałem cię o coś?! – szepnął Kościelecki, ledwo panując nad sobą. Ciałem jego wstrząsnął dreszcz na samą myśl, że morderca ukrywa się gdzieś na zamku wraz z dziewczką, której siostrę torturował.

– Nie pytałem – odpowiedział sobie samemu. – Więc zejdź mi z oczu.

Przeniósł wzrok na Chodynę. Zmierzył janczara spojrzeniem od stóp do głów. Przez głowę przemknęły mu świeże jeszcze wspomnienia. Zaczął rozpamiętywać ostatnie wydarzenia, pobyt w Kruszwicy i śmierć Katarzyny Kucharczykowej oraz ich bękarta, Mateusza. O tym, że zabójca jest powiązany z jego przeszłością i dawną miłością, Andrzej domyślił się w chwili, gdy otrzymał list z Koronowa. Posłaniec donosił mu o tajemniczej śmierci dwóch zakonników, braci Mikołaja oraz Marcina. Obaj mnisi, podobnie jak zamordowany wcześniej w Inowrocławiu sędzia Nieciszewski, byli powiązani z procesem bydgoskiej czarownicy.

Od tej pory starosta drżał o swoje życie. A teraz? Morderca ukrywał się na terenie zamku. Czekał w ciemności na starostę, aby zadać śmiertelne pchnięcie. Tak, pan Andrzej miał powody, żeby być przerażony. Piotr z Zagajewic był idiotą, w dodatku okradał od dłuższego czasu starostwo. Nie mógł i nie chciał ufać komuś takiemu.

Właściwie nie mógł ufać nikomu. Miał wrażenie, że czuje pękający pod swoimi stopami, kruchy lód. Wzdrygnął się na samą myśl o tym i wzniósł oczy na więźnia.

– Może zadam prostsze pytanie – wyrzucił z siebie. – Co mam uczynić z Sarą? Ludzie obserwujący dziewczynę w szpitalu czekają na moją decyzję. Czy w związku z twym, panie, jawnym nieposłuszeństwem mam ją ukarać?

Ściągnął z ręki rękawicę, wcisnął ją oprawcy, a potem chwycił Bartłomieja za gardło.

– No więc?! – rzucił dźwięcznym głosem. – Wiem, że i tobie była bliska.

Więzień podniósł skrwawioną głowę i spojrzał nic nierozumiejącym wzrokiem na starostę.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł. – Nie dbam o Sarę. Była w moich rękach zabawką. Wdzięczną, ale tylko zabawką.

– Co ja mam z tobą począć, Wrona? Sześciu ludzi – oznajmił, prostując się starosta. – Tylu mnie kosztowałeś. Co ja mam z tobą zrobić?!

Chodyna chrząknął przejmująco, nim odpowiedział.

– Należało wysłać kogoś lepszego. Może wtedy oni by żyli zamiast mnie.

Zakrztusił się ze śmiechu.

Starosta spojrzał srogo na więźnia. Po namyśle kazał dozorczy zostawić pochodnię w ścianie i wyjść. Odpowiedziało mu nerwowe kiwnięcie oprawcy.

– Powinieneś sprawić sobie głuchego albo chociaż wyrwać temu język... – Chodyna odprowadził wzrokiem odchodzącego. – Będziesz miał kiedyś kłopoty przez jego długi jęzor.

– Czy ja dobrze słyszę? Dajesz mi dobre rady? Ty?! Mnie?!

– Z nas dwóch ty potrzebujesz ich bardziej. I mogą ci się jeszcze na coś przydać. Rozumiem swoje położenie, starosto. I wcale mnie nie przeraża.

– Niiieeee?! – Kościelecki chwycił jeńca za twarz. Drugą ręką wziął zamach, jakby zamierzał pchnąć Chodynę mieczem. Oblicze starosty wykrzywiło się okrutnie.

Andrzej wzdrygnął się na widok zdjętej obłudą twarzą jeńca. Chodyna wybuchnął śmiechem, ale szybko zamilkł. Spojrzał zimno na starostę.

– To już koniec – oznajmił spokojnie. – Ona przyjdzie. Jest gdzieś na zamku i czeka na ciebie. Nic cię nie uchroni przed spotkaniem z Miriam.

Kościelecki zdzielił mężczyznę na odlew, po czym wziął nieszczęśnika pod brodę. Bartłomiej splunął

mu krwią prosto w twarz.

– Przeklęty pies. – Starosta puścił więźnia, spozierając nań z pogardą. Zaczął dreptać wkoło niego. Miecz oparł sobie na ramieniu. Po chwili musiał się odwrócić od ściany. Cella była ciasna, a ściany sprawiały wrażenie, jakby napierały na siebie.

– Puszczę cię, jeśli powiesz mi, co zamierzaliście – rzekł wyniośle. – Widzę w twych oczach, że to ty byłeś pomysłodawcą tego szaleńczego planu. Czego szukaliście na zamku?!

– To tylko kwestia czasu – usłyszał głos Bartłomieja starosta. Stanął jak wryty.

– Co jest kwestią czasu? – spytał. Patrzył zupełnie beznamiętnie, mrużąc oczy.

– Wszystko – rzucił janczar. – Spójrz mi w oczy, starosto. Chcę widzieć, że na mnie patrzysz.

– Patrzę na ciebie – potwierdził cierpko Kościelecki.

Janczar zaśmiał się ochryple. Obłąd wyzierał mu z oczu. Zadzwoił szarpany łańcuch. Chodyna powoli zbliżył twarz do oblicza Kościeleckiego, na tyle, na ile mu pozwoliły skute z tyłu kajdanami ręce. Wyciągnął się jak najdalej, jakby chciał coś wyszeptać staroście na ucho. Andrzej podjął ryzyko, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

– Coś ci powiem w sekrecie, starosto. Miriam naprawdę posiada moc. Anielską, piekielną, nieważne. I ta moc pomaga dziewczce w jej zamierzeniach. Ta moc przyjdzie do ciebie. I sprawi, że twój świat spowiją płomienie.

– Kłamiesz! – Twarz Andrzeja wykrzywił grymas wściekłości. Odskoczył pod ścianę, wyprężając się jak struna.

– A mam powody, żeby kłamać? – zwrócił mu uwagę więzień.

– Dozorca! – zawołał Kościelecki, nie odrywając oczu od więźnia.

Chodyna parsknął donośnie.

– Dozorca!!!

Janczar ciągle się śmiał – szaleńczo i ochryple.

– Doz...

Kiedy spocony oprawca w końcu się zjawił, Kościelecki podał mu miecz. Nie zauważył, że tuż za dozorcą stoją jeszcze dwie inne osoby.

– Witaj, Andrzeju. Długo się nie widzieliśmy – rozległ się głos alchemika. Starosta zadrżał, ale nie miał odwagi odwrócić głowy. Poruszył się dopiero wtedy, gdy usłyszał okrzyk Miriam.

– A nie mówiłam?! – oznajmiła niemal radośnie dziewczyna. – Chodyna jest po naszej stronie. A w dodatku zaprowadził nas do starosty.

– Myślałaś inaczej? – mruknął janczar, ciągnąc za łańcuch i unosząc głowę, aby lepiej widzieć.

– Szczerze mówiąc? Tak – odparła. – Ale to, co słyszałam przez drzwi, ostatecznie mnie przekonało,

że jesteś takim samym wariatem jak my. Nawet nie zapytałeś starosty o swoją książkę.

– Książka już nie ma dla mnie znaczenia – mruknął niechętnie Chodyna. – Nie po tym, co zobaczyłem. Nie wróćę, skąd przyszedłem, a dla mnie modlitewnik nie przedstawia wartości. No dobra, kto mnie uwolni? Zwisanie w tej pozycji nie jest wygodne. Ani miłe.

\*\*\*

*Skreślam naprędce do Waści tę epistołę, aby przestrzec przed tarapatami, które mogą się stać Waści udziałem. Andrzej Kościelecki dokonał szokującego odkrycia i wie już o naszych wspólnych sprawach. Nawet teraz przegląda rachunki miejskie w poszukiwaniu dowodów mej winy. Może to się zakończyć dla nas obu bardzo źle. Jediną szansą, aby uniknąć kary, może okazać się ucieczka, do której to, Panie, cię nakłaniam. Wygnanie to nie będzie trwało długo, jako że po rychłym ożenku z Katarzyną Telnitz starosta powziął zamiar miasto nasze opuścić. Polecam więc Waści opiece świętego Krzysztofa i zaklinam, uchodź, Panie, z Bydgoszczy.*

P.

Piotr z Zagajewic drżącą ręką odłożył pióro do kałamarza. Zawahał się, posypał papier piaskiem. Odczekał chwilę, po czym dmuchnął na kartę. Westchnął i szurając krzesłem, wstał od stołu. Zdmuchnął świecę i przemierzył gabinet starosty. Ruszył korytarzem. Podeszedł do okna. Był zły jak wszyscy diabli. Mało, że po korytarzach zamku nadal krążyli zamachowcy, to zapodział gdzieś klucze do osobistych komnat, sal rozpraw w ratuszu i kilka innych. Starosta chodził wściekły jak osa. Nawet złapanie zdrajcy nie uśmierzyło tej złości. Pan Piotr zaczął już powątpiewać, czy utrzyma swój urząd. Diabli wezmą umowę z Węgliszkiem. Plany o bogactwie i władzy nigdy się nie ziszczą.

Dobrze, że miał w rękach oprawcę, Bolka. W ten sposób zawsze pierwszy dowiadywał się o wynikach przesłuchań. Zaledwie przed pacierzem Bolko przyniósł podstarościeму przerażającą nowinę. Kościelecki wiedział o jego interesach z Diabłem i przesłuchiwał w tej sprawie Wronę. Piotra czekała burzliwa rozmowa. Od jej wyniku wszystko zależało.

Pozostało wysłać do Węgliszka sługę z listem. Im szybciej Diabeł zniknie, tym większe okażą się szanse Zagajewskiego na ocalenie urzędu. Kiedy już Węgliszka nie będzie, pan Piotr sprytnie zrzuci na przestępcę całą winę.

Zbliżył twarz do szyby i wyjrzał na dziedziniec. Zakapturzony mężczyzna wyprowadzał kasztanowego ogiera ze stajni. Za nim sunęli wzdłuż budynków gospodarczych trzej inni, w tym jeden w czerwonej tunice z herbem rodziny Kościeleckich na piersi. Jeden z obcych gubił krok, jakby go ciągnięto. Na ramionach nosił barwny i z pewnością drogi płaszcz. Piotr po chwili przypatrywania był



już pewny. Starosta Kościelecki.

Podstarości runął w stronę wychodzących na dziedziniec schodów, wykrzykując imię starosty. Po drodze dołączyli do niego dwaj żołnierze. Powietrze było rześkie i mroźne, lecz wskutek wiszącej mgły wkoło panowały ciemności. Zawołał do czwórki nieznajomych, lecz żaden nie odpowiedział. Przybysz w kapturze wyprowadził kolejne dwa konie, na co jego towarzysze zbliżyli się do boków zwierząt. Niespodziewanie starosta podjął walkę. Odepchnął trzymającego go mężczyznę. Wtedy na drodze jeńca stanęła Miriam.

Podstarości rzucił się biegiem za uciekinierami. Obcy obrócił się, po czym wskoczył na siodło i popędził do rozwartych wrót.

– Zamykać, dumnie! – zawołał do roześmianych strażników Piotr z Zagajewic. Powinien od razu zawrzeć wszystkie kraty i drzwi. Dlaczego nie wydał podobnego rozkazu?! Starosta miał rację, Piotr był nie tylko nieudolny, ale i głupi. Jeździec pochylił się do szyi konia i przejechał pod opuszczoną na trzy czwarte kratą. Straże popatrzyły po sobie. Tuż za nim przegalopował drugi uciekający. Podstarości rozpoznał Wronę.

– Miriam! – zawołał mężczyzna, obracając w pędzie głowę. Piotr spojrzał w kierunku dziewczyny, która stała, tocząc nierówny bój z silniejszym od siebie starostą. Kościelecki zaczął się szaleńczo śmiać, szarpiąc się z Żydówką.

– Krata! – powtórzył Piotr, widząc, jak Chodyna staje i obraca konia bokiem, patrząc w stronę dziewczyny, którą starosta przycisnął do ściany stajni. Wreszcie janczar ruszył i przejechał pod kratą.

Dopiero wtedy rozległ się rumor poruszanego przez mechanizm kołowrotu łańcucha. Krata opadła z głuchym hukiem.

– Do mnie! – zawołał Kościelecki, wciąż trzymając Miriam za nadgarstki. Kopniak, który dziewczyna wymierzyła w krocze mężczyzny, zgiął starostę w pół. Nie przebiegła jednak dziesięciu kroków, gdy drogę zastąpili jej halabardnicy. Postawili na krzyż drzewce i odepchnęli dziewczynę w tył, gdzie już czekał na nią czerwony ze złości starosta. Mężczyzna chwycił ofiarę w pół i mocno przyciągnął. Wymierzył jej siarczysty policzek. W uszach Żydówki zadzwoniło, świat nagle poczerniał.

– Już mi nie uciekniesz, kwiatuszku! – warknął przez zęby starosta, podnosząc ogłuszoną po ciosie Żydówkę. Czerwony, migoczący blask pochodni zapiekł ofiarę w oczy. Na twarzy dziewczyny malował się strach, ręce jej drżały. Dopiero gdy spłótła palce razem, dygotanie ustało. – Nie umkniesz, mała dziwko. Ani ty, ani to, co w tobie siedzi. Zagajewski! Rusz tyłek i chodźże tu!

– Niech mi tu goniec przybiegnie, byle szybko! – wysyczał do ucha jednego z żołnierzy pan Piotr. Jednocześnie uśmiechnięty przepaszająco odwrócił się w kierunku starosty.

# Rozdział 10

Znad Brdy nadpłynęła wilgotna mgła, przez co miasto przypominało pejzaż rodem z koszmarne go snu. Budynki znikwały, roztopiając się w szarości. Od kilku pacierzy ukrywali się w zaułku. Wreszcie wychynęli i ruszyli przed siebie. Bogumił nie miał pojęcia, dokąd idą, prowadził Chodyna. Minęli ratusz i prowadząc za sobą konie, przeszli przez przypominający ogromnego pająka most. Kroki dwóch towarzyszy i uderzenia kopyt dudniły głucho. Szum rzeki nieznacznie tłumil odgłosy.

– Puste ulice – zauważył Bartłomiej, mierząc zaułki. – Żywego ducha.

– Pamiętaj, że po ulicach krąży morderca – rzekł szyderczo Bogumił. – Mieszczanie się boją.

Wprawdzie jest środek dnia, ale taka pogoda potęguje strach.

– Mówisz to tak, jakby sprawa cię w ogóle nie dotyczyła – rzucił Chodyna, marszcząc brwi.

– Bo nie dotyczy – odparł alchemik. – Pospolici mieszczanie nie mają się czego bać. Zresztą, gdy skończę z Kościeleckim, wyjeżdżam z Bydgoszczy.

– Na razie nie zapowiada się na koniec z Kościeleckim – odparł ponuro Bartłomiej. – No, pośpiesz się.

– Po co właściwie tu przyszliśmy? – Alchemik stanął i popatrzył w oczy Chodynie. Janczar niewiele mówił od ich ucieczki z zamku. Czech rozpoznał zatopione w wiszącej mgle Karmelickie Przedmieście.

– Przyszliśmy po Sarę – wyszeptał Bartłomiej, wycierając pot płaszczem. Niestety, jego ubranie także było przemoczone.

– Myślałem, że ci na niej nie zależy – zauważył Bogumił.

– Zależy mi na Miriam – odparł niechętnie Chodyna. – A Miriam nie spodobałoby się, gdybym zostawił jej siostrę własnemu losowi. Podśluchiowaliście, co Kościelecki mówił do mnie w ciemnicy.

Wiesz więc, że ludzie starosty są w szpitalu.

– Skąd wiesz, że Miriam tak zależy na siostrze? – Alchemik nie do końca rozumiał, o czym była mowa w lochu, lecz umiejętnie grał na zwłokę.

– Tylko dla niej tu przyjechała – uciął janczar. – Prosto w paszczę lwa.

Po tych słowach zamilkł, wbijając wzrok w niewyraźne zarysy mijanych budynków. Opanował go ponury nastrój. Nie pojmował, co się z nim dzieje. W jakiś osobliwy sposób Miriam przyciągała go niczym magnes. Jej buńczuczna, prostacka natura wraz z osobliwą klątwą, która wydawała się ciążyć nad losem dziewczyny, sprawiały, że krew burzyła się w żyłach Bartka. Była zupełnie inna niż Sara, a zarazem podobna. Jej dziwny urok działał na Chodynę. Przedziwna moc spłotła ich losy i sprawiła, że po raz pierwszy w życiu janczar czuł się za kogoś odpowiedzialny.

Jeszcze jedno nie ulegało wątpliwości: Miriam potrzebowała pomocy Chodyny. Była w potrzasku,

schwytała przez wroga, a Bartłomiej miał swój udział w jej uwięzieniu. Jednak powrót na zamek byłby czystym szaleństwem. Nawet Bartek się tego nie podejmie. Może Węgliszek zaradzi coś w tej sprawie. Wbrew własnej woli, bo przecież łączy go z Kościeleckim interesy. Bartłomiej znajdzie sposób, aby przekonać przestępcę do pomocy. Razem wyciągną Miriam ze szponów Andrzeja.

Ale nim cokolwiek zrobią, muszą wydostać Sarę ze szpitala. Inaczej Miriam nigdy nie wybaczy janczarowi. Życie obu siostr jest zagrożone, lecz Sara nie jest już Kościeleckiemu do niczego potrzebna. Wręcz mu zawadza. Chodyna nie wątpił, że starosta będzie usiłował w taki czy inny sposób usunąć dziewczkę.

Stanęli przy furtce w ceglany murze. Budynek zniknął w morzu białych oparów. Nawet wypatrując oczy, dostrzegali przed sobą co najwyżej spadzisty dach budynku. Ze środka, przez jedno z okien, dobiegał odgłos porannych modłów. Ponure męskie głosy recytowały słowa modlitwy.

*Niepokalana Dziewico, Królowo Karmelu  
i Matko szkaplerza świętego  
Ty okiem specjalnej opieki patrzysz na każdego,  
kto odziany jest Twą szatą – szkaplerzem świętym,  
spójrzyj i na nas łaskawie  
i okryj nas płaszczem swej macierzyńskiej opieki.*

Bartłomiej zastukał mocno w bramkę zaopatrzoną w żelazną kratę z przesuwaną zasuwą oraz trzy solidne zamki. Czekali dobry pacierz, zanim ktokolwiek odpowiedział. Trzy razy powtarzał pukanie, aż stało się tak natarczywe, że ktoś je usłyszał.

*Racz ozdobić nasze dusze  
takimi cnotami oraz łaskami,  
aby zawsze były drogie Twojemu Synowi.*

Ze środka dobiegły kroki. Po chwili ucichły i nic zgoła się nie działo. Wtem sztaba załomotała o ścianki i przez kratki wyjrzały patrzące bystro oczy. Zakonnik, którego nieogolona, obwisła twarz wyłoniła się za kratą, wyteżył wzrok, aby dojrzeć coś we mgle.

- W szpitalu nie ma miejsc – mruknął oschle. – Spróbujcie u Świętego Ducha.
- Nie szukamy miejsca. – Chodyna westchnął. – Wręcz przeciwnie. Chcemy kogoś stąd zabrać.
- Tak? – spytał z niedowierzaniem zakonnik. – A kogo?
- Dziewczynę.
- Jesteście rodziną? – nie ustawał w przesłuchaniach karmelita.

– T-tak – zająknął się Bartłomiej. – Ja jestem bratem, a to jest ojciec. Szukamy Sary.

Alchemik wysunął się z ciemności i kiwnął głową.

– Przykro mi. – Duchowny spuścił głowę.

– Jak to?! – Janczar przypadł do drzwi. Położył dłonie na brampie i zacisnął mocno pięści. Bał się najgorszego. – Co ty mówisz?!

– Wybacz, panie – odparł. – Nie wiedziałem, że ta nieszczęśnica kogoś miała. Uciekła w nocy. Prawdopodobnie oknem. Rano zastaliśmy jej siennik pusty.

Na te słowa Bartłomiej zatoczył się niczym pijany. Odwrócił się w milczeniu i podszedł do konia. Chwycił zwierzę przy pysku i zaczął prowadzić z powrotem.

– Hej! Panie! – wołał karmelita. – Poczekaj! Drogi panie! Stójże!

Drugi, starszy mężczyzna pozdrowił duchownego słabym skinieniem, wymówił bezdźwięczne: „Zostań z Bogiem” i dołączył do młodszego towarzysza, rozplývając się we mgle. Po chwili ustały nawet kroki. Duchowny wpatrywał się w ciemność, lecz nieznanymi zniknęli.

\*\*\*

– Kiedy zakonnik powiedział, że mu przykro, pomyślałem już, że...

– Wiem – wszedł w słowo Bartkowi stary Czech. – Ja także.

Chodyna odwrócił się do alchemika. Obu mężczyzn pochłonał mrok skrywający zaniedbane kamienice. Przyjechali tu konno, wprost z Przedmieścia Karmelickiego, zamieniając po drodze jedynie kilka słów. Bogumił, wiedziony instynktem, dał się prowadzić młodszemu mężczyźnie. Bartłomiej zachowywał się jak człowiek natchniony albo zgoła opętany.

Po uwiązaniu koni natychmiast podeszli do Węgliszkowej kamienicy. Pnąc się po schodach, nasłuchiwali skrzypiących stopni. Drzwi, przed którymi stanęli, były uchylone. Głośny jęk skojarzył się Czechowi z odgłosem wydawanym przez koty w marcu. Wnętrze tonęło w mroku, który wypełniał odór zgnilizny i uryny oraz dźwięk trzepoczących kotar zasłaniających okna. Wychłodzenie pomieszczeń świadczyło o tym, że w kominach dawno nie palono. Grzyb toczył ściany, a także sufit. Jedyne meble stanowiła skrzynia, na niej stało kilka pudeł, które przylepiły się do wieka pokrytego ciemną, odłóżającą materią.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – rzekł z obawą alchemik.

– To kamienica, którą wynajmował Kościelecki od Węgliszka – odparł Bartłomiej. – Może tutaj znajdziemy jakiś ślad. Cokolwiek, co pozwoli nam dowiedzieć się, czego chce starosta od Miriam.

Bogumił stanął jak wryty.

– Wystarczyło spytać – rzucił. – Tego nie musimy zgadywać. Starostę nie interesuje dziewczyna,

leczyć to, co w niej drzemie.

Chodyna się nachmurzył. W tej samej chwili alchemik uniósł rękę, nasłuchując.

– Szszszszsz... – wyszeptał, kładąc palec na ustach.

– Co się dzieje?! – wysyczał Chodyna, marszcząc brwi.

– Tam coś się rusza! – ostrzegł Czech.

– Gdzie?! – mruknął Bartłomiej.

– Zasłony. – Wskazał okno, przez którego potłuczone żebrowane szybki wpadał wiatr. Chodyna dał krok w tamtą stronę, bacznie się rozglądając. Wewnętrzne drzwi pokoju wyjęto z zawiasów. Na ścianach widniały osobliwe malowidła. Bogumił przez chwilę stał w bezruchu, jak wrośnięty w ziemię. Malowidła, szczególnie jedno, przykuły wzrok starego czarownika. Symbol przypominał gwiazdę Dawida, z tą różnicą, że miał pięć ramion, w tym dwa zwrócone do góry, na podobieństwo rogów. Bogumił podszedł do ściany i zaczął badać palcami wpisane w powierzchnię pentagramu wzory, stanowiące rodzaj kursywy.

– To hebrajski. – Alchemik spojrzał wymownie w stronę janczara. – Ktokolwiek tu był, praktykuje kabałę.

– Kabałę? – powtórzył Bartłomiej.

– To rodzaj zaklętej wiedzy, znanej jedynie Żydom – szepnął Bogumił. – Poczekaj, mam krzesiwo i hubkę, postaram się rozpaść jedną ze świec. Muszę dokładnie obejrzeć te malowidła.

Chodyna nie słuchał. Bez słowa zbliżył się do okna i rozgarnął ciężkie, sięgające podłogi zasłony, również pokryte bluźnierczymi symbolami.

Coś poruszyło się w ciemnościach. Kształt zatrzepotał. W tej samej chwili alchemik odwrócił się ze świecą w rękę. Rozbłysło migotliwe, żółte światło. Alchemik podniósł gromnicę do oczu. Chodyna wzdrygnął się, widząc wzrastający nad sobą cień. Poczuł na policzku obleśny dotyk. Zareagował instynktownie, sięgając po broń. Wyszarpnął jatagan. Zanim alchemik zdołał zareagować, stał gwizdnęła, przecinając powietrze. Uwięziona w zakrwawionych zasłonach postać upadła, zasłaniając twarz bladymi rękoma. Bogumił wykrzyknął i wyciągnął przed siebie rękę ze świecą. Ściana krwawiła, jakby sama odniosła rany.

Stanęli nad ciałem młodej, przyodzianej w brudną, pocerowaną opończę dziewczyny. Pod płaszczem dostrzegli szarą, wierzchnią suknię, przyozdobioną przez krwistoczerwoną różę w miejscu, gdzie ostrze chlasnęło ciało. Nieznajoma otwierała spękane usta niczym ryba wyciągnięta z wody. Lecz nie mogła dobyć z siebie głosu, jedynie spazmatycznie chwytła powietrze.

– An... – wybełkotała. Głos miała słaby, wymuszony, spojrzenie zapuchniętych oczu niewidzące. – An... drzej...

Raz jeszcze westchnęła, choć przypominało to raczej świst powietrza uciekającego przez dziurę w balonie. Wreszcie wykrzywiła się i zamarła w bezruchu.

– Ukrywała się za zasłoną – mruknął obcym głosem Bogumił, zaskoczony własnym opanowaniem.

– To Sara – oznajmił głucho Chodyna. Był w szoku i nie potrafił trzeźwo myśleć. Patrzył na ciało i nic nie rozumiał. – Ale co ona tu robi? Jak to możliwe, że...

– Musiała wrócić – odparł od progu obcy głos. Obaj mężczyźni obrócili głowy, alchemik oświetlił nieznajomego płonąca świecą.

– Co ja zrobiłem – wyszeptał Bartłomiej. Patrzył w oczy nieznajomemu, lecz nie rozpoznawał go.

– Zabiłeś ją, oto co zrobiłeś – odparł obcy.

– Węgliszek. – Alchemik kiwnął głową. Rzeczywiście, Diabeł stał w drzwiach blady niczym śmierć, z ręką na temblaku i płaszczem zwisającym z chorego ramienia. Na głowie nosił przekrzywiony na lewe oko czepek. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Trup nie robił na nim większego wrażenia. Bładość była skutkiem rany, którą odniósł ostatnio. Oczy mężczyzny patrzyły spokojnie, choć błyszczały chorobliwie.

– We własnej osobie. – Przystępca uśmiechnął się półgębkiem.

– Zaraz, powiedziałaś, że Sara wróciła. Do kogo? – wykrztusił Chodyna.

– Jak to do kogo? – Diabeł wzruszył ramionami. – A do kogo wy wróciliście? Nie do mnie, mam nadzieję. Choć to moja kamienica, nikogo się nie spodziewałem. Sara przyszła tu odwiedzić mężczyznę, którego imię wymieniła przed śmiercią. Tego samego bydlaka i chama, który ją tak pobił.

– W takim razie co tu robisz? – zagadnął podejrzliwie Wrona.

– Jeden sąsiad, dobry człowiek, powiadomił mnie, że ktoś myszkuje w jednej z kamienic. – Podparł się zdrową ręką ściany, żeby nie stracić równowagi. – To przyjechałem. Jeśli jednak planujecie wziąć mnie na zakładnika, obić mi mordę czy coś podobnego, stanowczo odradzam. Na dole czeka na mnie Smółka i kilku innych. Nie wyjdziecie stąd bez walki.

Chodyna uniósł z niedowierzaniem brew.

– Tak, wiem – odparł znudzonym głosem Węgliszek. – Pozabijasz ich wszystkich. Ale nic w ten sposób nie osiągniesz. Przyszliście tu, bo potrzebujecie pomocy. Trup wam jej nie udzieli. Poza tym jeden trup już jest.

– Tak po prostu? – zauważył janczar. Potrząsnął głową. – Nie próbuj swych sztuczek, Węgliszku. Nie masz interesu nam pomagać.

Diabeł posłał w kierunku mężczyzny rozbijający uśmiech.

– Nie mam? A co, jeśli nie mam interesu bronić starosty? Pomyślałeś o tym, Wrono?

– Jak to?! – zapytał janczar. – Po tym, jak osłoniłeś go własną pierś, mam ci uwierzyć?

– Ty także byś to zrobił. Jestem człowiekiem interesu, a starosta to kura znosząca złote jaja.

Przynajmniej tak było do tej pory. Niestety, sytuacja się zmieniła. Kościelecki planuje opuścić Bydgoszcz. Rezygnuje z urzędu. W ogóle opuszcza Kujawy. Na zawsze. Dostał lepszą propozycję.

– Skąd wiesz? – spytał niedowierzającym głosem Chodyna.

– Od Piotra z Zagajewic. Zanim wyszedłem na spacer, był u mnie goniec. – Wzruszył ramionami. – Płacę Zagajewskiemu, by mi donosił. Niestety, wasza ostatnia wizyta na zamku może się skończyć dla Piotra utratą urzędu. A jakby tego było mało, Kościelecki zaczął po ostatnich niepowodzeniach przyglądać się pracy podstarościego. Powiązaniom, jakie Piotr ma ze mną i z tobą, Chodyna. Spojrzał także w rachunki rady miasta. I trochę się przy tym zdziwił.

– To znaczy?

– To znaczy, że Piotr odprowadził wraz ze mną pokaźną sumę ze skarbcza miasta. Jeśli to wyjdzie na jaw, będę musiał uciekać. A mnie się podoba w Bydgoszczy. Jeśli więc Kościelecki zniknie przed podjęciem decyzji w sprawie podstarościego, lepiej dla mnie. Ale musi zniknąć natychmiast. Zanim podpisze papiery i wyda rozkazy strażom. Nie lubię więzień. Działają na mnie przygnębiająco.

– Co możesz nam zaoferować w zamian?! – wtrącił się alchemik. Diabeł zmierzył starego badawczym wzrokiem. Potem popatrzył na ciało.

– Pochowam trupa tak, aby nikt się o niczym nie dowiedział – oznajmił, a na jego szpetnej, pozbawionej uczuć twarzy malowało się szyderstwo. – Wiem też, gdzie Kościelecki dokończy z Miriam, co zaczął. Widzicie, to nie jest jedyna kamienica w mieście, którą ode mnie wynajął.

– Masz na to dowody? – zapytał alchemik. – Na twoje powiązania z podstarościm? Może jakieś dokumenty najmu?

– Mam wszystko – odparł Diabeł. – Cyrografy podpisane krwią Piotra z Zagajewic i starosty. Mogę wam pokazać, gdzie tu są.

Z tymi słowami rozejrzał się z niesmakiem po pomieszczeniu.

– O, w tej skrzyni. – Wyciągnął kluczyk z wszytej w szatę wewnętrznej kieszeni. Spojrzał pytająco na swoich gości.

– Ja mu wierzę – odparł Chodyna, zakrywając twarz dłońmi. – Nadto widziałem w rękach naszego gospodarza podobne dokumenty. Dobrze, Węgliszku, prowadź do wynajętego przez starostę domu.

– Co to, to nie. – Diabeł pokręcił głową. – Mogę wam powiedzieć, jak dojść do kamienicy. Ale nie mieszajcie mnie do tego. Sprawa mocno śmierdzi, a ja usiłuję otaczać się ostatnio tylko przyjemnymi zapachami.

– Nie widać. – Chodyna zerknął krytycznie na izbę. – Czy raczej powinienem powiedzieć, nie czuć.

Wkoło przykrytej purpurowym kobiercem kolebki stali żołnierze trzymający pochodnie. Dzień był ciemny, mglisty i pany. Starosta zbliżył się, lekko utykając. Skinieniem głowy pozdrowił hutmana straży, Angusa. Pozbawiona wyrazu twarz żołnierza natychmiast stężała.

Kościelecki parsknął szyderczo, czego w tym samym momencie, gdy dopadła go kolejna fala mdłości, gorzko pożałował. Oddychanie sprawiało mu kłopot nie tylko ze względu na mgłę. Wciąż jego wnętrznościami szarpał ból. Po kopniaku Miriam w wielkim cierpieniu oddał mocz zabarwiony krwią. Być może jego mosznę powinien obejrzeć medyk. Nie ma jednak na to czasu. Ignorując ból, rozkazał rozsunąć kotarę, za którą, przywiązana do rzemiennych pasów utrzymujących pudło, wpół stała, wpół siedziała młoda, krucha kobieta o krótkich czarnych włosach. Kościelecki z zadowoleniem popatrzyła na dziewczynę, biorąc do ręki pochodnię podaną przez jednego z mężczyzn. Z kształtnych ramion dziewczęcia, wystających spod poplamionej krwią koszuli, zwisał ubłocony płaszcz. Pod opończę niewiasta nosiła rozsznurowany męski kaftan, odsłaniający stosunkowo duże piersi. W ciemności pojazdu błyszcząły zdobiące ubranie ćwieki i bursztynowe oczy więźnia.

– Z bliska jesteś jeszcze piękniejsza, Miriam – oznajmił Andrzej, oddając pochodnię i podnosząc nogę, aby wejść do środka. Stopa mężczyzny się omsknęła. Prawie stracił przy tym równowagę, osuwając się w błoto.

– Schodki przyczepili obok, idioto – mruknęła Żydówka. Była odwrócona do mężczyzny bokiem i nie patrzyła w stronę Kościeleckiego. Starosta zacisnął zęby i odwrócił się do dziewczyny, unosząc rękę wysoko nad głowę, jakby zamierzał wymierzyć jej policzek. Zawahał się i głośno roześmiał.

– Powiniennem cię kazać zakneblować – odparł, patrząc na plamy światła przesuwane się po zasłonach. – Ale nie chcę, abyś uważała, że mam złe zamiary.

Spojrzała na sznur i prychnęła.

– Trochę na to za późno, starosto. Chyba że to naturalne, żeby przywiązywać pasażerów do wozu. Poza tym wiem już o wszystkim, co uczyniłeś. Kłamałeś. Moja siostra żyje. Zbliź się, a pokażę ci, co sądzę o twoich dobrych zamiarach.

Wypowiedziała te słowa jednym tchem i tonem tak zachęcającym, jakby rozkładała przed Kościeleckim nogi.

– Już mi pokazałaś, no co cię stać – odparł. – Nadal czuję ból w podbrzuszu.

– Jak mi przykro. – Uśmiechnęła się niewinnie. – Pomasować?

Roześmiała się wulgarnie i głośno.

– Miriam, posłuchaj mnie. – Andrzej pokręcił głową. – To co mówiłaś o Sarze to kłamstwo. Nie wiem, kto ci powiedział...

– Chodyna – wpadła mu w słowo. – Ty go chyba znasz jako Wronę czy innego ptaszka.



– Chodyna to kłamca i szpieg na usługach sułtana.

– A ty jesteś kłamcą i mordercą, który służy sobie. – Wzruszyła ramionami. – Wszystko mi jedno. Możesz się wypchać.

Pokręcił głową, a potem rozkazał ruszać. Rozległ się trzask bicia, buda drgnęła, ciągnąc dziewczynę za nadgarstki.

Dwójkę pasażerów ogarnęły ciemności. Starosta zajął miejsce i założył nogę na nogę.

– Miriam, usłuchaj mnie. Wiem, że do tej pory nie mieliśmy sposobności zostać przyjaciółmi, ale myślę, że powinniśmy zapomnieć o nieporozumieniach.

– I co? Może jeszcze lec razem nago na sianie? Powiedziałam już, starosto. Sianem to ty się możesz wypchać.

– Dziewko! – zawrzał, a jego twarz wykrzywiła się w zwierzęcym grymasie. Chwycił Miriam za tył głowy, prawie na nią wpadając, gdy powozem zarzuciło. Usiadł więc na ławie i spokojnie popatrzył na Żydówkę.

– Szlag by cię, Kościelecki – warknęła, kręcąc biodrami. Pozycja, w której się znajdowała, sprawiła, że w kolanach czuła nieprzyjemne mrowienie.

– Miriam, posłuchaj.

– Dokąd jedziemy?! – spytała, wpatrując się w starostę. – Gadaj, bo zacznę krzyczeć. Drzeć się wniebogłosy, aż usłyszą mieszczanie.

– Wiesz, że to ci nic nie da.

Kiwnęła głową.

– Przynajmniej sobie ulżę.

– Wiesz w ogóle, co się wkoło ciebie dzieje? Miriam, daj sobie powiedzieć.

– Za dużo gadasz. – Uniosła brwi. – W tym twój problem, starosto. Samym gadaniem daleko nie zajedziesz. A co do jeżdżenia... Powiesz mi w końcu, dokąd się wybieramy?

– Do jednej z kamienic Węgliszka. – Odwrócił głowę.

– Tam złożysz mnie w ofierze diabłu? – parsknęła.

– Próbujesz mnie ośmieszyć?

– Zrozumiałeś moje intencje? Tak.

– W takim razie nie mogłabyś się bardziej mylić – odparł surowo. – Miriam, dotknęła cię niesamowita moc. Nie rozumiesz?! Razem moglibyśmy...

Ich spojrzenia się spotkały. Wyzywająco patrzyła w rozszerzone oczy starosty.

– Razem?! – wykrzyknęła. – Wbij sobie, matolku, do głowy, że ja ci w niczym nie pomogę. W dupie mam niesamowite siły i nie mam zamiaru z niczego korzystać. Jasne?

Andrzej pokręcił głową.

– Nie będziesz miała wyboru.

– Zawsze mam wybór.

– Nie tym razem. – Pewność przebijająca ze słów Kościeleckiego nieco ją speszyła. Przeszedł ją dreszcz.

– Mów, co masz do powiedzenia – rzuciła niechętnie.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która opanował Harel. Pierwszą była, z tego, co wiem, kobieta nazywana Sybillą Tyburtyńską. Według źródeł greckich, Abulnea, albowiem takie nosiła imię, była wieszczką. Wywróżyła pierwszemu cesarzowi rzymskiemu, Oktawianowi, że narodzi się Chrystus. Z kolei, według źródeł żydowskich, Sybilla, nosząca imię Sabbe bądź Sambethe, była Żydówką, w prostej linii potomkinią Noego.

– I jesteś pewny, że opętał ją ten sam duch co mnie? – spytała powątpiewająco, zerkając na starostę. Poczowała dotkliwy ból. Coś strzeliło jej w karku, gdy odwracała głowę.

– Nie ja tak twierdzę, tylko źródła. – Kiwnął głową, a dziewczyna przez moment poczuła, jakby znowu rozmawiała z Alfredem Ostenwaldem. Skurcz, który ścisnął jej żołądek, był efektem nie tylko głodu.

– Sybilla знаła sekretne imię Boga, które miał jej rzekomo wyszeptać anioł Harael – ciągnął starosta. – Ostateczna postać dzieła, wspominającego o postaci wieszczki, pochodzi sprzed około tysiąca lat. Imię mogło się nieznacznie zmienić pod wpływem przeinaczenia greckiego historyka Plutarcha. Plutarch nie tylko uczynił z Sybilli Abulneę, ale zmienił hebrajskie imię anioła, który ją opętał, na bardziej greckie.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała rzeczowo.

– Abyś uczestniczyła w pewnym rytuale. Dobrowolnie. Potem odejdziesz lub, jeśli tylko będziesz chciała, pojedziesz ze mną do Krakowa. Jak mówiłem, możemy razem wiele osiągnąć.

– Do Krakowa?

– Żenię się z pewną wpływową kobietą. I co za tym idzie, opuszczam Kujawy. Mam nadzieję, że na zawsze.

– Rytuał, powiadasz?

Przytaknął.

– Ten sam, który miał być pogrzebem Sary?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Teraz rozumiem – odparła, krzywiąc się. – Ja przyszedłbym na pogrzeb, a tu czarne świece i czarna msza.

– Nie, to nie tak... Nie rozumiesz moich intencji, dziewczyno.

W chwili, gdy wypowiedział ostatnie słowa, powóz raptownie zahamował. Kościelecki runął do przodu, chwytając się ramion dziewczyny, żeby nie paść na twarz. Miriam wrzasnęła z bólu.

– Co tam się dzieje?! – krzyknął pan Andrzej, odciągając zasłonę. W tej samej chwili czyjaś para rąk chwyciła starostę za płaszcz.

Wylądował w rozmokłej ziemi, tak wałnął, że aż mu dech odebrało, a jego usta wypełniły pomyje. Upadł wprost pod ubłocony brzuch łaciatego konia.

– Dzień dobry! – zawołał siedzący na koniu mężczyzna. Andrzej nie zdążył zobaczyć twarzy. Za to drugi jeździec, objeżdżający powóz, od razu rzucił mu się w oczy. Był stary, siwy jak gołąbek i garbił się niemiłosiernie do karku wierzchowca, trzymając w ręku lejce stojącego wozu. Głośnym, rozkazującym tonem uspokajał uwiązane do szorów, drepzące niespokojnie konie. Kiedy zwierzęta przestały się opierać, starzec przejechał obok kozła, gdzie z opuszczoną głową wydawał się drzemać woźnica. Dopiero sztylet, wbity po samą rękojeść w pierś biedaka, co nieco wyjaśnił Kościeleckiemu.

– Kim wy... – powiedział, na co jeździec pochylił się w siodle, by starosta mógł mu się przyjrzeć. – No tak. Wrona.

– Wroooona! – dobiegło z powozu. – Rusz dupę i uwolnij mnie!!!

Kościelecki zerwał się, lecz w tym samym momencie poczuł smród końskiego oddechu. Starzec zajechał mu drogę, zmuszając starostę do pozostania przy wozie. Poczuł za sobą budę i zachwiał się. Przed oczami miał tonące we mgle domy i wypełnione towarem stragany. Nie potrafił określić odległości do nich ani szerokości ulicy. Nie wiedział też, czy dotarli powozem do rynku, czy stoją na jednej z bydgoskich ulic. Nieliczne przekupki nie zwracały na nich uwagi, poruszając się jak we śnie.

Bartek przeskoczył wprost z siodła na wóz. Kościelecki wykorzystał ten moment i runął pod pojazd, turlając się w grudach błota. Woda chlapnęła mu w oczy, nozdrza wypełnił smród.

– Chodyna! No co tak stoisz?! On wieje! – wrzasnął stary.

Usłyszał wystrzał i poczuł zapach siarki, lecz nie przystanął. Tuż za uciekającym zadudniły kopyta i zarżał koń. Starosta wpadł w wypełniony wypiekami stragan i przewrócił jeden z pieńków, przez co pachnące słodko rogatele zsunęły się na ziemię. Przekupień krzyknął donośnie, podobnie pomagająca mu kobiecina. Oboje rzucili wypełnione chlebem wiklinowe kosze i skoczyli na starostę. Między nich wjechał Chodyna. Starosta dał susa w zaułek i popędził wzdłuż jednej ze ścian. Słyszał za sobą narastający tętent kopyt. Skręcił chyba ze dwa razy. Czuł, że traci oddech i za chwilę zwymiotuje. Dopadł do ukrytych z tyłu budynku wrót, wzmocnionych kratownicą z żelaznych listew. Nacisnął klamkę, po chwili dopiero spostrzegając kłódkę zamkniętą na grubej sztabie żelaza łączącej drzwi z ościeżnicą. W dali rozległ się tętent kopyt i wściekłe parskanie. Starosta rozejrzał się przerażonym wzrokiem. Niemal od razu spostrzegł stojącą przy drzwiach beczkę, odór jej zawartości niósł się po okolicy. Przez pozbawiony denka otwór spoglądały nań rybie łby. Kościelecki odwrócił głowę,

nasłuchując rzenia. Bez namysłu kopnął beczkę, przewracając ją i pozwalając zawartości wylać się na ziemię i mieszać z pomyjami. Potem chwycił oparte o ścianę denko i wpełzł do beczki. Wstrząsnęły nim torsje i zwymiotował na swój płaszcz. Zasłonił dłonią usta. Pogoń była blisko. Czuł gorąco pod pachami i kwaśny odór wymiocin. Rzygowiny przelewały się między palcami mężczyzny.

Nastała cisza, przerywana jedynie odgłosem dyszącego wierzchowca. W końcu odgłos kopyt zaczął się oddalać.

\*\*\*

– Gdzie starosta?! – Alchemik odstąpił od boku konia. Stał przy wierzchowcu wraz z Miriam, która sznurowała kaftan. Dziewczyna także posłała Chodynie pytające spojrzenie.

– Wyparował – oznajmił zdyszany Bartłomiej. – Zgubiłem drania w zaułkach. Nic ci nie jest, Miriam? Coś ci zrobili?

– Załaskotali na śmierć – odparła uszczypliwie Żydówka. – A jak ci się zdaje? Byłam więźniem szaleńca.

Rozmasowała czerwone od więzów przeguby.

Chodyna zeskoczył z siodła i ruszył w stronę dziewczyny sprężystym krokiem. Cofnęła się i popatrzyła na niego zaskoczona. Bartłomiej drgnął. Mógłby tak patrzeć jej w oczy i chłonać każde spojrzenie, choć oczy dziewczyny przypominały sople lodu. Janczar nie wiedział, co zrobić ani jak się zachować.

– A ty co?! – rzuciła.

Słowa niewiasty zbiły go z pantaląku. Zamarł, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z jednej strony zamierzał wziąć ją w ramiona i mocno nią zakręcić. Do tej pory o nikogo tak się nie bał. Gdy ujrzął ją całą i zdrową, niepokój zastąpiła ulga. Z drugiej strony przez skórę wyczuwał rozwierającą się między nimi przepaść. Głos dziewczyny ostudził jego pożądanie. Sprawił, że wrócił myślami do chwili, gdy Sara oddała przy nim ducha. Co prawda nie rozmawiał na ten temat z Bogumiłem, lecz przypuszczał, że stary wszystko Miriam powie. Chodyna bał się reakcji przyjaciółki.

– Daj spokój Kościeleckiemu – zaproponował Bartłomiej. – Oboje go zostawcie. To gra niewarta świeczki. Lepiej nam ująć z miasta cało i zdrowo. Zemsta nic nie zmieni, wpakujemy się jeno w kłopoty.

– Ty nic nie rozumiesz. – Miriam potrząsnęła głową. – Nie wiesz, co on chciał zrobić. Co, jak przypuszczam, uczynił Sarze.

Na dźwięk tego imienia janczar spuścił mimowolnie wzrok. Choć natychmiast próbował przybrać obojętny wyraz twarzy, Żydówka spostrzegła wahanie.

– O co chodzi?! – Zerknęła w stronę alchemika. Bogumił także spuścił głowę. Zmarszczyła brwi. –

Dlaczego on odwraca wzrok?! Co się stało? Chodzi o Sarę?!

– Nie, my tylko... – zaczął Czech.

– Chcę do Sary, Chodyna – rzuciła ostro Miriam. – Masz mnie tam natychmiast zaprowadzić!

– To niemożliwe – odparł twardo janczar.

– A to dlaczego?!

– Słuchajcie, zabierajmy się stąd, zanim przyjdą strażę! – zaproponował alchemik, choć tak naprawdę pragnął jedynie zmiany tematu. Przez chwilę z oczu starca biła trwoga. Przetarł czoło drżącą dłonią.

– Nie, poczekaj! – Miriam wyciągnęła rękę, nawet nie patrząc w stronę starca. – Niech on dokończy.

Wpiła wzrok w Chodynę.

– Ona nie żyje, Miriam – wykrztusił głosem pełnym cierpienia.

– Kto ją zabił? Chcę znać imię.

– Kto wie – skłamał Bartłomiej. – Jakiś człowiek Kościeleckiego. Przybyliśmy za późno. Już nie żyła.

Niewiasta zmierzyła alchemika wzrokiem.

– To prawda? – spytała ostro.

– Tak – odparł bezbarwnym głosem Bogumił.

Miriam bez słowa podeszła do konia i przerzuciła uzdę przez kark, a potem przełożyła nogę nad łękami siodła.

– A ty dokąd?! – spytał Chodyna. Podeszedł do dziewczki.

– Na zamek – wyrzuciła z siebie. Zatrzymał się tak blisko, że mogli sobie patrzeć w oczy. W jej płonął osobliwy ogień.

– To obłąd, Miriam – wyszeptał, spoglądając na grzywę konia.

– W takim razie nie jedź. Mam już towarzysza.

– Kogo?! – Podniósł głowę. W tej samej chwili uderzył go gorący podmuch. Wroną wstrząsnął dreszcz, a stojący obok koń prawie stanął dęba, głośno rżąc. Janczar z trudem powstrzymał drepczące niespokojnie zwierzę. Także cisek Miriam wierzgnął mocno, rozrzucając błoto. Zarżał przenikliwie i podrzucił łbem, a potem podskoczył, jakby usiłował zrzucić siedzącą na nim Miriam. Żydówkę podrzuciło, stanęła w siodle, a potem zeskoczyła na ziemię. Poczwała trzask stawów, gdy wylądowała na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma w górze. Ledwo złapała równowagę. Zarzuciła płaszcz na jedno ramię. Chodyna zaparł się całym ciałem, przyciągając konia za cugle.

– Miriam, nie! – wrzasnął. W tej samej chwili dziewczyna błyskawicznie wysunęła prawą rękę i przykurczając palce, po raz kolejny spłoszyła zwierzę. W odpowiedzi na następny podmuch gorąca koń stanął dęba, młócąc kopytami powietrze i porywając za sobą trzymającego uzdę Bartłomieja.

Niesamowita siła oderwała stopy janczara od ziemi i odrzuciła go do tyłu, posyłając na ścianę jednego z domów. Walnął plecami w deski. Zgiął się, czując, że popękały mu żebra.

Miriam spokojnie ruszyła ulicą.

– Poczekaj! – Chodyna zerwał się z ziemi, ale ból go na moment obezwładnił. Niewiasta odwróciła się lekko, lecz nie stanęła. Za to włosy stanęły jej dęba, a płaszcz podniósł się jak naelektryzowany.

– Chodź ze mną, jeśli pragniesz – usłyszał. Głos był modulowany, niski, a ton jego w osobliwy sposób uroczystry. Nie należał do dziewczyny. – Ale nie próbuj mnie zatrzymywać. Nie zdołasz.

Janczar popatrzył na alchemika. W szklistych oczach starca ujrzał przerażenie.

– Na co czekasz? – warknął Chodyna. Chwycił konia przy pysku i zaczął go prowadzić, choć przestraszone zwierzę kroczyło niechętnie, cały czas rozglądając się w poszukiwaniu zagrożenia.

– Widziałeś jej spojrzenie? – rzucił Bogumił, nie ruszając się z miejsca. Twarz miał nabrzmiąłą strachem, oczy wytrzeszczone. – Ta dziewczyna oszalała. Mówię ci, Chodyna. Zupełnie oszalała.

Ale janczar nie słuchał.

# Rozdział 11

Kiedy strażnicy nadbiegli do furtki, nieznajomy już tam stał. Całą jego postać okrywał płaszcz, a nisko opuszczoną głowę ukrył pod kapturem. Pod płaszczem rozbłyskiwały czerwone ćwieki. Spod dachówek i strzech domów otaczających bramkę łączącą miasto z zamkiem starosty unosił się dym. Tu i ówdzie buchały płomienie. Raz po raz pękało szkło.

Kto był odpowiedzialny za pożary, nie ulegało wątpliwości. W dłoni przybysza dymiła żagiew.

Kobiety wrzeszczały wniebogłosy, wynoszono dzieci i starców. Na ulicy za plecami podpalacza w ciągu kilku chwil zaroilo się od mieszczan.

Żołnierze popatrzyli po sobie. Stał sam jeden, z dymiącym drągiem w jednej dłoni i mieczem w drugiej.

– Zostać na miejscach! – usłyszeli. Między mężczyznami zjawił się nagle hutman straży, Niemiec imieniem Angus. Jasne oczy mężczyzny błyszczały bystro z nijakiej twarzy o ziemistych policzkach i wysokim, pokrytym bruzdami czole.

– Jak to? – Cała szóstka się obróciła. Kolejni żołnierze nadchodzili od strony fosy, śladem hutmana.

– Janko, Rudy, Kuba – rzucił rozkazująco. – Wasza trójka to aż za dużo na tego wariata.

– A jeśli to pułapka? – wysyczał Kuba.

– Trzeba gasić pożar, durniu – rzekł hutman. – Nie ma chwili do stracenia!

– Biegiem, po wodę! – warknął Rudy, patrząc na Janka. Wymierzył topór w stronę chudego, zylastego chłopaczka o łasicowatej twarzy i zmrużył oko. Potrząsnął toporem. – Włodek, biegnij z chłopakami do fosy! Szybko, zanim ogień się rozprzestrzeni!

– Kościelecki! – rozległ się kobiecy krzyk. Żołnierze popatrzyli na obcego. To jego czy raczej jej głos usłyszeli.

Rudy wyjrzał zza ramienia Kuby, który zaczął się cofać, zasłaniając twarz, jako że obawiał się uderzenia hutmana.

– Chcę się widzieć ze starostą! – wykrzyknęła podpalaczka.

– Oszalałaś?! – odparł Angus.

– Ten ogień... – zawołała dziwnym, mrocznym głosem niewiasta, wskazując płonące dachy – ...to moja sprawka! Co macie zamiar z tym począć? Wołać mi Kościeleckiego, psułaty!

Angus zaklął pod nosem. Spojrzał na swoich ludzi.

– Ma tupet... – mruknął do nich. Wskazał nieznajomą. – Zastrzelić mi tę sukę z kuszy! – wykrzyknął. – Kto trafi, ma u mnie beczkę piwa. Kto nie trafi, w mordę oberwie! Cholera, strzelać! Przecież to blisko!

Nie dokończył. Dym zasłonił kobietę. Rozległ się odgłos kroków. Żołnierze popatrzyli po sobie.

– Idzie ku nam! – wykrzyknął Kuba.

– I to całkiem szybko – dodał Rudy, po czym opuścił strzemie kuszy i włożył but w jedno z ramion stalowego łuczyska. Drżącymi palcami naciągnął cięciwę na hak. Pozostali rozstąpili się, zerkając po sobie.

– Tu jest! – zawołał jeden z żołnierzy. W głowę mężczyzny uderzyła żagiew. Biedak zawył, zatoczył się do tyłu i upadł.

Zaatakowana przez dwóch żołnierzy jednocześnie niewiasta odskoczyła do tyłu. Przyjęła oba ciosy na klingę, po czym dała krok do przodu i zrewanżowała się ciosem rozżarzonej pochodni, która poparzyła napastnikom twarze. Obaj mężczyźni padli na ziemię, rżąc z bólu i trzymając za zaczerwienione oblicza.

Angus wrzasnął i doskoczył do kobiety, unosząc wysoko nad głowę miecz. Niewiasta puściła pochodnię, chwyciła swój sztylet w obie ręce i wbiła go głęboko pod brodę nadbiegającego napastnika. Nikt nie spodziewał się tak silnego pchnięcia po drobnej dziewczce. Rozległ się chrzęst miażdżonej kości. Bryznęła krew, mężczyzna zatoczył się i upadł. Jeszcze przez chwilę podrygiwały mu nogi. Znowu odezwały się krzyki, zewsząd dobiegał swąd dym.

Świsnął bełt, odrzucając dziewczynę do tyłu. Przez chwilę żołnierze stali, wpatrując w leżącą niewiastę z niedowierzaniem. Ciało drgnęło i dźwignęło się z ziemi. Rudy, wciąż trzymając w górze kuszę, ruszył ku dziewczynie. Kopnął miecz, po który sięgała drżącymi, okrwawionymi palcami, a potem kopnął ją w zebra. Zgięła się, plując na buty mężczyzny krwią.

– Bydlak – wycharczała, usiłując objąć palcami promień bełtu tkwiącego głęboko w piersi.

Kolejny kopniak trafił dziewczkę w brzuch. Tym razem jedynie wystękała coś niezrozumiałego.

– Przytrzymać mi ją – burknął Rudy, odrzucając kuszę i luzując pas z mieczem.

– Co masz zamiar... – wyrzucił Janko, zatrzymując się za Rudym.

– A jak ci się zdaje? – odparł żołnierz. W rękach trzymał odpięty pas. Pochwa z mieczem uderzała go o udo. – Pokażę dziwce jej miejsce, zanim z nią skończymy. Zrobię jej tak dobrze, że będzie kwiczeć jak zarzynane prosię. Jak ktoś jeszcze ma ochotę, niech się ustawi w kolejce.

Wulgarniej propozycji zawtórowały śmiechy, błyskawicznie jednak ustały.

Nieznajomy pojawił się tuż przy Rudym, stając z nim twarzą w twarz. Żołnierz go nie zauważył. Dopiero gdy kompani ostrzegli kamrata krzykiem, instynktownie uskoczył i zamachnął się trzymanym w rękach pasem. Śmignęła skóra. Lecz przybysz spokojnie, płynnym ruchem zszedł z linii uderzenia, a potem obrócił się i wyprowadził cięcie z boku. Ofiara drgnęła, a potem złapała oburącz za brzuch. Jatagan zatrzymał się dopiero na mostku. Nieznajomy zamarł na chwilę. Żołnierze zaczęli się



wycofywać. Przypominał ducha w tym kapturze i rozwianym płaszczu, pod którymi nosił zbroczoną krwią tunikę ozdobioną przez strzałę Kościeleckich. Mężczyzna zapał się nogą i wyrwał klingę. Długi pas czerwieni ubarwił zabłoconą ulicę. Głowa Rudego opadła na ramię przybysza. Chwilę stali spleceni. Krew ofiary ciekła po nogawce zabójcy, kapiąc mu na buty.

Żołnierze obejrzeni się po sobie. Stracili już ochotę do walki. Stali, bojąc się zrobić choć krok. Byli pewni, że widzą ducha jednego z poległych kamratów. Jedyne kilku zachowywało trzeźwy umysł. Ci sięgnęli po kusze.

Przed oczami żołnierzy wstawała luna, ogień przeskakiwał z domu na dom, mieszczanie przeraźliwie wrzeszczeli. Z domów wybiegały kobiety i dzieci. Fosa odbijała blask pożogi, przez co wydawało się, jakby także stała w płomieniach. Nad miastem unosił się czarny dym.

Za to w dole powietrze trochę się oczyściło, odsłaniając stojących w gotowości kuszników. Mężczyźni otaczali dwójkę intruzów, mierząc do nich z bliska.

– Już po was – rzucił Janko. Mężczyzna pomógł kobiecie wstać z ziemi. Jęknęła z bólu, zataczając się do tyłu.

Obcy zerwał kaptur z głowy i spojrzał na kuszników. Miał kruczoczarne włosy i smagłą twarz.

– Nie boję się śmierci, głupcy – powiedział z uśmiechem obłąkańca. W oczach śniadego szaleńca lśniły łzy. – Allah już na mnie czeka. Kto zabija człowieka, który nie był mordercą i nie szerzył zgorzenia na ziemi, czyni tak, jakby zabił wszystkich ludzi. Zapłacicie więc za zbrodnie, gdy przyjdzie właściwy czas.

Obrócił się do Miriam, patrzył jej w oczy, ale nie był pewny, czy dziewczyna w ogóle wie, co się dzieje.

– A kto ratuje jedno życie, ten jakby ratował cały świat – oznajmił łagodnie, lekko się uśmiechając.

\*\*\*

Obudziły go jakieś wrzaski, szczeł mieczy ścierających się ze sobą, gryzący dym. Potem do środka izby wpłynął cień. Usłyszał ochrypły i mrukliwy głos. Chwilę jeszcze Piotr z Zagajewic pojedyńkował się z własną świadomością i tęnym bólem z tyłu głowy. Zasnął w krześle, stąd ból wywołany naciskiem niewygodnego mebla na żebra podstarościego. Rozległ się chrupot kości, gdy bezwładnie rozciągnięte członki drgnęły.

Napięcie wywołane ostatnimi wydarzeniami wywołało głębokie znużenie. To miała być jeno drzemka. Nawet nie wiedział, kiedy odpłynął. Zdrzemnąłby się chętnie we własnym łóżu, niestety, ślusarz jak do tej pory nie potrafił sforsować zamka w komnacie podstarościego.

Rozejrzył się. Przez okna przesączało się blade światło wraz z innym, dziwnym poblaskiem. Luna,

pomyślał ze zdziwieniem Piotr. Przez chwilę bezmyślnie patrzył na osobliwy blask. Ktoś szarpnął go za kaftan i szepnął mu coś niezrozumiałego do ucha. Podstarości poczuł cuchnące dymem ubranie.

– Co takiego? – Skrzywił się. Mężczyzna stojący przed nim nosił na głowie kolczugę. Podzwaniał też karwaszem spoczywającym na gałce miecza. Dłoń niemal bezwiednie dotykała broni.

– Ludzie złapali dwójkę podpalaczy. Angus i kilku innych nie żyją, panie.

Piotr spojrział w górę, próbując coś dojrzeć w ciemnościach. Zadrżał i zaczął się szarpać. Dopiero po chwili rozpoznał znajome oczy jednego z żołnierzy, niejakiego Roberta.

Spoglądał cały czas w twarz strażnika. Mężczyzna zerwał kolczugę ze spoczonej głowy. Jasne włosy miał w nieładzie, przypalone z lewej strony, przy skroni.

– Jacy znowu podpalacze? – warknął.

– Mężczyzna i kobieta – zrelacjonował strażnik. – Podeszli pod furte, uprzednio podpalając okoliczne domy.

– No i co? – Podstarości przewrócił oczami.

– Jak to co? – Robert ściągnął brwi. – Miasto płonie, a pana Kościeleckiego nie sposób znaleźć.

– Co ci się stało we włosy? – spytał pan Piotr.

– To przy próbie gaszenia pożaru.

– Jak rozległe są straty? – Zerwał się z krzesła i stęknął z bólu, bo się zasiedział.

– Znaczne – usłyszał.

Coś obudziło czujność Piotra.

– Nie jesteśmy sami, żołnierzu – oznajmił. Robert syknął, dobywając miecz i odwracając się. Cień poruszył się w kącie. Stalowe łuczysko kuszy, trzymanej przez nieznanego, rozbłysło odbitym blaskiem ognia.

– Gdzie Kościelecki? – zapytał świszczącym głosem cień.

– Wyjechał gdzieś powozem – odparł obojętnie Piotr z Zagajewic. – Kim jesteś i jak się tu dostałeś?

– Było zamieszanie – rzekł mężczyzna, ściągając kaptur z głowy. Na twarzy nieznanego zalśnił liszaj blizn, przez który twarz wydawała się osobliwie napięta.

– To ty – mruknął pan Piotr. – Pamiętam cię. Byłeś z Wroną i tą kobietą.

– To ja – przyznał mężczyzna. – Zwą mnie Bogumił. Mam do pomówienia z Kościeleckim. Przestań więc grać na zwłokę i prowadź mnie do niego, nim sprawię ci drugi pępek.

– Odłóż to lepiej – ostrzegł Robert, uderzając się klingą po udzie.

– Ja nie żartuję – oznajmił alchemik, patrząc spode łba. – Obaj pod ścianę, ale już!

– Posłuchaj mnie. – Podstarości ruszył w kierunku intruza.

– Zostań, gdzie stoisz – ostrzegł go Bogumił. W jego oczach błyszczało szaleństwo. – To sprawa

między mną i Kościeleckim. Lecz nie zawaham się, by dopiąć swego. Jeśli ci miłe życie, zaprowadzisz mnie do starosty. Nie za tydzień, natychmiast!

– Daj spokój! – parsknął podstarość, cały czas podchodząc. – Nie jesteś na to za stary? Odłóż broń, zanim zrobisz komuś...

W chwili, gdy to wypowiedział, odrzucony siłą uderzenia runął na ścianę. Bełt przebił mu szyję. Przez chwilę Piotr dusił się własną krwią, wreszcie upadł na klepisko.

Alchemik zaczął się cofać. Z korytarza dobiegły go męskie głosy i dźwięki kroków. Robert wznosił miecz. Bogumił zachwiał się. Spojrzał na żołnierza szeroko otwartymi oczami.

– Nie chciałem wystrzelić – rzekł napiętym głosem. – Nie chciałem. On był niewinny. Niewinny...

– Może – odrzekł Robert, widząc, jak w świetle padającym z progu w drzwiach stają dwaj inni zbrojni. – Ale to nie ma żadnego znaczenia. Chwytać go, chłopcy. To morderca, którego szukaliśmy. Zabił podstarościego Piotra z Zagajewic.

Twarz alchemika wykrzywiła się jeszcze mocniej.

– Nie dostaniecie mnie żywcem! – wykrzyczał. – Nie po tym, com uczynił.

Skoczył w kierunku mężczyzn. Poczul ukłucie w okolicy żeber i dziwne zimno przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Ból przyszedł dopiero po chwili, gdy puścił się tuniki trzymającego zakrwawiony miecz zbrojnego i padł plecami na posadzkę.

\*\*\*

Chodyna obserwował ruch żeleźca halabardy blisko swojej twarzy. Stał w rozkroku, z Miriam opartą o plecy. Z wszystkich stron otaczali ich żołnierze. Najbliższy był oddalony może o trzy kroki. Żar bił od ognia, w nozdrza uderzał swąd dymu.

– Bierzemy tych dwoje żywcem? – spytał jeden ze strażników. Wymienił szybkie spojrzenia z kamratami.

– Głupiś?! – odkrzyknął stojący z tyłu kusznik, odsuwając kolbę od niechlujnej brody. – Tych dwoje nie da się wziąć żywcem. Żywcem mu się zachciewa! Chyba po to, żeby powiesić żywcem za szyje.

– Strzelać! – wykrzyknął inny mężczyzna, celując. – Niech zapłacą za Angusa!

Miriam zacisnęła powieki i upadła z powrotem na kolana, zanosząc się cichym łkaniem. Ukryła twarz w dłoniach. Dźwięki i obrazy przychodziły stłumione przez halucynacje. Ogień szeptał do dziewczyny, nucił jej cichą kołysankę. Czula gorączkę ogarniającą ciało. Ostrze janczara rozblęzło wzniesione nad jej głową. Gotowe na sparowanie ciosu. Nastąpiła cisza, przerywana jedynie szlochem.

– Patrzcie na tego bękarta! – wykrzyknął ktoś z tłumu. – Myśli może, że odbije bełty!

– Lepiej niech zmówi paciorek! – wykrzyczał kusznik, mrużąc oko i przykładając nos do łoża broni.

– Na co czekacie?! Strzeeeeelać!

Zbliżyli kolby do policzków. W tej samej chwili płacz Miriam przemienił się w głośny śmiech. Dziewczyna odrzuciła głowę w tył. Nie mogła przestać. Wyglądała przerażająco z czarną od sadzy twarzą i ogniem migoczącym w oczach.

Żołnierze dali krok w tył.

– Boicie się mnie. – Zmrużyła oczy, podrywając się do góry. Mówiła niskim głosem, bynajmniej nie niewieścim. Słowa cięły przerywaną szumem ognia ciszę jak nóż. – Tak. Boicie się po tym, co widzieliście. Lecz strach w niczym wam nie pomoże. Oto radosny czas, gdy dokona się zemsta! Moja zemsta!

Przeszyła żołnierzy intensywnym spojrzeniem migdałowych oczu. Stała przed nimi z bełtem sterczącym z piersi. Ubranie na niej zaczynało się tlić. Nie zwracała na ten fakt najmniejszej uwagi. Czowała przepęlniającą kolana sztywność. Drżała na całym ciele, trzęsącymi się palcami obmacywała ramiona, czując pod palcami coś miękkiego i przemieszczającego się tuż pod skórą. To nie był zwykły chłód, raczej coś obcego i złego, co szukało sobie drogi do wnętrza duszy. Nie czuła strachu ani obrzydzenia, tak jakby było to naturalne, że jej ciało się zmienia. Koszula całkiem przesiąkła krwią. Włosy opętanej podniosły się, jakby uderzył w nie podmuch rozgrzanego powietrza.

Z trudem chwyciła powietrze. Od kopnięcia pękły jej żebra, które teraz ją uciskały. Obraz uciekał dziewczynie sprzed oczu. Wyraźnie widziała jedynie ogień huczący wszędzie wkoło. Zimny pot kleił jej włosy do twarzy.

Jak okiem sięgnąć, zapadały się spalone dachy. Wszędzie harcowały dzikie cienie.

Usta dziewczki wypełniła krew. Parsknęła obłąkanym głosem.

– Umrzecie dziś wszyscy – powiedziała z taką nienawiścią w głosie, że Chodynę przeszły ciarki. – Całe to przekłete miasto spłonie w ogniu oczyszczenia. Spłonie za wszystkie przewiny swoich mieszkańców. Gorzko pożałujecie swojej hipokryzji i ciężkich grzechów. Żyliście w ułudzie, niewarciu pyłu, po którym stąpa święty. Będziecie krwawić z ran, a wasze ciała pokryją wrzody, w ten sposób opłacę błędy, które stały się waszym udziałem.

– Miriam... – usłyszała. Spojrzała w tył. Na twarzy Bartłomieja ujrzała mieszaninę zaskoczenia i strachu. W tej samej chwili dmuchnęło gorącym powietrzem. Janczar osłonił oczy. Nad dziewczyną rozległ się dźwięk przypominający trzask gigantycznych skrzydeł.

Wrzasnęła rozzdzierająco.

– Miriaaaaam! – usiłował ją przekrzyknąć janczar. Całkiem ochrypł. Gardło bolało go od krzyku. Żydówka wierzgnęła, walcząc z siłą, która usiłowała zawładnąć jej ciałem. Zaczęła dygotać i trząść się jak opętana. Szalona szamotanina ustała prawie natychmiast. Miriam obrzuciła przyjaciela zaskoczonym

i trochę nieprzytomnym spojrzeniem. Jej wzrok miał nieludzką moc. Tak wielką, że janczar nie mógł odwrócić oczu. Przeszedł go zimny dreszcz. Łzy paliły policzki. Już sam nie był pewny, czy to, co widzi, jest prawdą, czy ułudą.

Żołnierze odsuwali się w stronę ściany jednego z domów. Owionął ich kwaśny dym bijący z okien. Zaskoczeni, stłoczyli się przy murze, nerwowo sięgali do kołczanów po bełty, lecz wahali się strzelać.

Ich uszy wypełniał huk ognia, usta i oczy zalepiał tłusty dym wirujący nad piekłem płomieni.

– Miriam, walcz z tym! – wrzasnęła Bartłomiej. Pokręciła głową. Janczar spojrzał spomiędzy palców. Rozległ się dźwięk pękającego w szwach materiału, odgłos chrupoczącej kości, a potem rozwinęły się nad nimi obojgiem ogromne, pierzaste skrzydła. Janczar nie wierzył własnym oczom. Potarł powieki pięściami, lecz przerażający obraz nie znikał. Wśród gry światła i cieni nadal widział ogromny, ruchliwy kształt. W białych rozbłyskach zimnego ognia skrzydła uderzały o siebie, wachlując rozgrzane powietrze i strzępy tłącego się materiału. Zawisły nad dziewczyną niczym stary łachman, podarte, pełne dziur i naciągnięte na gołą, miejscami wystającą kość. Źrenice dziewczyny stały się dwoma przekrwionymi, wąskimi szparkami, a głos przypominał wizg. Krew pulsowała boleśnie w skroniach. Krzyk dziewczki sprawił, że Chodyna zerwał się uwolniony z paraliżującego przerażenia.

– Za późno na walkę – powstrzymał go głęboki pomruk. Dochodził z ust dziewczki, lecz nie był jej głosem. – Miriam należy do mnie.

Kilku żołnierzy przeżegnało się, jeden padł nawet na kolana i zaczął się żarliwie modlić. Wszystkich ogarniał obłęd, jakby szaleństwo dziewczyny udzieliło się każdemu.

Jatagan ślizgający się w dłoni Chodyny wydał mu się ciężki i nieporęczny. Podniósł go do oczu. Poczł się tak, jakby ścisnął jadowitego węża. Puścił broń z obrzydzeniem. Nie zrobi tego. Nie zrani Miriam nawet po to, aby powstrzymać to... coś.

Stwór sapał donośnie. Wznosząca się i opadająca pierś wydawała świszczące odgłosy wywołane przez tkwiący w piersi bełt.

– Miriam. – Głos uwiązł w gardle Bartka. Gdy w końcu zmusił się do wypowiedzenia kolejnego zdania, zabrzmiało ono słabo i głucho. – Oni nie są winni śmierci Sary.

Popatrzyła na niego z furią malującą się w oczach.

– Jak to? – Po raz pierwszy przemówiła własnym głosem.

– To był wypadek – wyrzucił z siebie. – Ja...

Jęknął.

– Miriam...

Pokręciła głową.

– Miriam, powiedz, że tam jesteś – wyrzucił z siebie Chodyna. – Powiedz, że to ty.

– Ja już nie wiem, kim jestem – mruknęła słabo. – To coś każe mi robić straszliwe, okropne rzeczy.

I wiem, że będę je robiła. Jestem pionkiem w grze mrocznych sił.

– Nie musisz się poddawać.

– Za późno – odparła lodowato. – Nie mam po co walczyć. Nawet ty... Nawet ty mnie zdradziłeś.

Nic już nie ma. Jedynie ciemność i ogień. Ogień, który pochłonie to miasto. I wszystkie istnienia.

Twarz dziewczyny wykrzywiła się przy ostatnim słowie w coś, co przypominało zwierzęcą maskę.

Bartłomiej krzyknął i nie myśląc wiele, rzucił się po leżącą w błocie mokrą pochodnię. Złapał ją i wstał, nogi pod nim drżały. Spojrzeli na siebie. Jego oczy przepelniał żal, jej – ogień obłędu.

– Co chcesz zrobić? – spytała szyderczo. Nie odpowiedział. Stał przez chwilę z opuszczoną żagwią.

– To, co muszę – rzekł. Uderzenie zaskoczyło ofiarę. Żydówka zatoczyła się i odwróciła z wyrazem zdziwienia na twarzy. Kolejny cios sprawił, że legła na wyciągniętych rękach. Skrzydła wyrastające z przemieszczonych, okrwawionych łopatek całkiem przykryły dziewczynę.

Wrzasnęła z ustami pełnymi krwi, a jej ręką złapała nogawki Chodyny.

– Zapłacisz mi za to – warknęła zmienionym głosem, w którym słychać było obcość i głębię. Rąbnął ją z całej siły żagwią, tak że ukazały się białka oczu i na moment znieruchomiła. Jeszcze raz z rozmysłem uderzył ją w twarz, tym razem na odlew. Upadła w błoto i zachłysnęła się nim. Zagarnęła ziemię rękami. Jej umazane włosy zlepione były krwią, ręce drgnęły jeszcze raz czy dwa, a potem dziewczyna znieruchomiła.

– Przepraszam, Miriam, ja... – Wyciągnął rękę, walcząc z obrzydzeniem na widok okrwawionych skrzydeł. – Nie mogę ci pozwolić na spalenie całego miasta. Nie mogę.

W tej samej chwili Miriam uniosła głowę i jakaś niewidzialna siła zwała ją z nóg.

– Zdrajca! – warknęła kilkoma głosami naraz. Dźwięk przypominał ryczące wściekle płomienie. – Drugi raz mnie zdradziłeś. Drugi i ostatni!

Z trudem przekonał do posłuszeństwa swoje nogi.

– Diablica! – zawołał ktoś z tłumu.

– Diabelski pomiot! – zawtórował inny.

Chodyna obrzucił spojrzeniem dygoczących kuszników. Przygotowywali się do strzału. Ręce mężczyzn drżały, palce niezdarnie poruszały kołowrotkiem. Bartłomiej usiłował coś krzyknąć, ostrzec odwróconą dziewczkę.

– Strzelać! – krzyknął ktoś ochryple. Kilku mężczyzn podniosło broń, wymierzyło. Rozległ się dźwięk zwalnianych cięciw. Bełty ugrzęzły w plecach dziewczyny, sprawiły, że zatoczyła się, lecz nie upadła. Ta sama niesamowita siła, która zawładnęła ciałem Żydówki, utrzymywała ją nadal na nogach. Niewiasta obróciła się w kierunku żołnierzy i przyjrzała każdemu, jakby usiłując ich zapamiętać.

Broczyła krwią z wielu miejsc. W jej oczach zobaczyli ogień, złość i niedowierzenie. Wzdrygnęli się. Usta dziewczyny znowu wypełniła krew. Chodyna wyciągnął ramię, lecz nie zdołał zrobić kroku. Stał więc jak słup soli. Dziewczyna padła na kolana, a potem runęła na bok, na rozciągnięte ręce i okrwawione skrzydła.

Żołnierze wpatrywali się w klęczącego Bartłomieja. Janczar nie mógł się poruszyć. Wciąż czuł na sobie wzrok Miriam. Spojrzenie opętanej niewiasty paliło go w środku.

Za plecami strażników płonęło już całe miasto.

# Epilog

Strażnicy poczuli się obserwowani. Odwrócili halabardy. Wyciągnęli miecze.

Nieznajomy lekceważąco pchnął do dołu mierzący w niego bełt. Był niski, krępy i korpulentny. Głowę ukrywał pod kapturem, poję szarego, ubłoconego płaszcz trzymał przy twarzy, aby uniknąć przeraźliwego fetoru rozkładającego się ciała, który wisiał w powietrzu.

– Odwróć to, chłopcze... – rzekł.

Żołnierz jedynie podreptał w miejscu, przyjmując bardziej zaciętą minę.

– Nie wiesz, kogo masz przed sobą, synu?! – spytał, dłonią odbijając kolejny grot. Gdy to nie przyniosło efektu, zasyczał, chwytając do ręki drewniany krzyż wiszący na jego piersi. Skurczył palce. – Jestem zakonnikiem z Kruszwicy. Benedyktynem. Mam na imię Onufry.

Na potwierdzenie odrzucił płaszcz za ramiona, odsłaniając czarny habit ze szkaplerzem.

– Czego tu chcesz, klecho? – zapytał zaczepnie jeden z żołdaków.

– Przyszedłem po ciało. – Nieznajomy uśmiechnął się. – Zmarłej należy się pochówek. Inaczej nie tylko jej dusza szejnie. Narażacie miasto na zarazę. I inne boskie kary.

Popatrzył twardo na mężczyzn. Strażnicy opuścili głowy, lecz nie ustąpili.

– Nie wiemy, panie, kto cię przysłał – rzekł jeden z wartowników. – Ale ciało ma zostać niepochowane do momentu, gdy obejrzy je dokładnie starosta Kościelecki. Nad tą kobietą ciąży podejrzenie o czary. Świadkowie twierdzą, że siłą woli wywołała pożar miasta. Inni, że przeistoczyła się na ich oczach w skrzydlatego diabła. Zatem konieczne jest badanie. Tak przynajmniej twierdzi nasz dobry starosta.

– Przeistoczyła się? W coś skrzydlatego? – Onufry ściągnął brwi.

Inny zbrojny skrzywił brzydką i bez tego facjatę.

– Ognia piekielnego, który roznieciła ta diabllica, nie mogła ugasić woda. Polewalim, panie, ale to jeno podsycalo płomienie – rzucił inny zbrojny.

– Głupoty pleciesz, Wolter!

– Ja plotę głupoty?! – warknął Wolter.

Żołnierz, który wypowiedział słowa oskarżenia, zmierzył ostro towarzysza.

– Przecie powiedziałem. – Żołnierz rozejrzał się wśród kamratów w poszukiwaniu poparcia. Mężczyźni pokiwali skwapliwie głowami. – Ludzie różne rzeczy widzą, kiedy dzieje się im nieszczęście. I różnie opowiadają. Ciało, jak ciało. Cuchnie, bo to rzecz normalna. Ale żadnych skrzydeł nie ma. Co najwyżej trochę krwistych ran na plecach i brzuchu. Od bełtów, którymi straż ją naszpikowała.

– Kiedy starosta ma zamiar dokonać badania? – zapytał duchowny.



– Na razie na to się nie zanosi. Do miasta zjechała jego narzeczona, pani Katarzyna.

– Więc wysłał was do ciała?

– Pilnujemy go. Takie mamy rozkazy.

– I naprawdę pilnujecie trupa? Sześciu mężczyzn? W dzień i w nocy? Chyba nie boicie się, że zmarła ucieknie? – Zakonnik się rozejrzył. Oczy mężczyzny wołały o odpowiedź. Jedno wydawało się bardziej łaskawe i wyczekujące, drugie – bezlitośnie złe. Brat Onufry chuchnął sobie w dłonie. Potarł ich wierzchy, spoglądając w górę na ogromny mur zamku i dymiące, spalone dachy Bydgoszczy. W okolicy zamku nie ocalał choćby jeden dom. Dalej było tylko trochę lepiej. Jedynie Przedmieście Poznańskie i Wyspa Młyńska obroniły się przed ogniem. Żaden z żołnierzy nie odpowiedział.

– A dlaczego nie trzyma się jej w kaplicy zamkowej? Czemu się nie pochowa tej nieszczęsnicy?

– Ze strachu przed tym, że pani Katarzyna odkryje zwłoki – odparł jeden ze zbrojnych. Czytając z twarzy pozostałych, Onufry zrozumiał, że mężczyzna powiedział za wiele.

– Nie słuchaj Kuby, to głupek – odwrócił uwagę benedyktyna inny żołnierz. – Ta kobieta była zła. Dziwne rzeczy działy się przez nią w mieście. Dlatego starosta zarządził, że otworzy się jej ciało, aby sprawdzić, czy nie miała, na przykład, dwóch serc. Wie brat, czy jej narządy były w porządku.

– Po co komu wiedzieć, ile miała narządów i jak ułożonych w ciele, skoro już poniosła karę?

– Ja tam nie wiem.

– Nie wolno zwlekać z badaniem. Ciało się rozkłada.

– Nie mnie oceniać. Mamy rozkazy. Do miasta zjechali goście. No i wybuchło zamieszanie. Straż sprząta jeszcze po wielkim pożarze. Sam widziałeś, jak wyglądają ulice. A tu w dodatku zjawili się goście, i to znamienici. Wyobraź sobie, ojczulku, w takim momencie.

– Znamienici? – powtórzył Onufry.

– Z Krakowa – odparł żołnierz.

– Na pewno jest wam zimno – rzekł z westchnieniem zakonnik, wpatrując się błyszczącymi oczami w ogień. – Noce są zimne jak na ten miesiąc. Mam gdzieś trochę wina.

Uśmiechnął się. Jego uśmiech był zimniejszy niż powietrze. Cierpki. Woleliby go nigdy nie zobaczyć.

– Starosta nakazał czuwać przy zwłokach tej wiedźmy – wyjaśnił oschle jeden z żołnierzy. – Zabronił wypytywać. Pić też nam nie wolno. Pod groźbą batów. Pan Kościelecki uznał, że przez pijaństwo straży zdarzyło się w mieście wiele złych rzeczy.

– Tak jakbyśmy wszystkiemu byli winni – rzucił tonem usprawiedliwienia inny mężczyzna. – To nie nasza wina, że hutman i podstarości byli nieudolni.

– Ta suka podpałała miasto i zabiła kilku strażników. Jej kompan gnije w lochu, ona gnije tutaj –

mruknął kolejny żołnierz. Onufry wpił w niego niesamowite spojrzenie. Mężczyznę oblał zimny pot.

Benedyktyn wyjrzał zza pleców strażnika, po czym niezgrabnie ruszył pod sam mur. Ten sam strażnik, który wypowiedział bezczelną uwagę, zastąpił mu drogę. Był chudy jak kościotrup i szpakowaty. Zerknął, czy ktoś jeszcze postawi się obcemu.

– Masz tyle odwagi, żeby stawać na drodze słudze bożemu? – spytał Onufry, dotykając dłonią muru.

Otoczyli go żołnierze.

– Idź już stąd, braciszku. Nie chcemy twojej krzywdy – wyjaśnił usprawiedliwiającym głosem mężczyzna o bardzo jasnych brwiach.

– Mojej krzywdy? – udał zdziwienie zakonnik. – A co dokładnie macie na myśli?

Zbrojny spojrzał na kamratów, unosząc pytająco brwi, po czym nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Idzie dowódca. – Jeden ze strażników wskazał nadchodzącą postać. Wszyscy poczuli ulgę. – Z nim rozmawiaj. Nie z nami.

Dowódcą był wysoki, postawny mężczyzna. Podszedł, chrzęszcząc kolczymi spodniami. Ciągnąc za pas, przesunął pochwę z mieczem do tyłu, po czym spojrzał na obcego, ściągając brwi. Nie wyglądał na zadowolonego. Szczerze powiedziawszy, był zły jak osa.

– Co tu się wyrabia?! – warknął. – Ktoś ty?

Dłoń Onufrego przesunęła się po twarzy, jakby ziewał. Dowódca stanął jak wryty. Poczul drżenie warg.

– Twoje... Twoje oczy... – Spuścił głowę w misiurce. Żołnierze spojrzeli po sobie. Kiedy popatrzyli zakonnikowi w twarz, natychmiast zdjął ich lęk tak wielki, że odwrócili głowy. Oczy mężczyzny płonęły żywym ogniem.

– Na miłość boską! – zawołał bezczelny żołnierz. Kolana miał jak z waty. Kiedy popatrzył w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał zakonnik, odkrył, że mężczyzna zniknął.

A z nim znikł także odpychający smród unoszący się z przykrytego płótnem ciała. Okropny fetor, do którego nie sposób się przyzwyczaić, nie atakował już nozdrzy, jakby rozplynał się w powietrzu.

Padli na kolana, gdy spostrzegli, że trupa nie ma.

\*\*\*

– Nie chcesz uwolnić swojego śniadego przyjaciela? – zapytał, stając przy miejskich bramach odziany w habit otyły mężczyzna. Jego ciało przelewało się pod zakonną szatą, tłuste palce obejmowały kostur wędrowca. Drugi, zakapturzony podróżny pokręcił głową, poprawiając płaszcz wiszący wraz z pokrzwawioną koszulą na chudych ramionach. Materiał gnieźla drażnił niezabliźnione rany i wywoływał okropne swędzenie.

– To nie jest mój przyjaciel – odparł kobiecy głos.

– A jednak...

– Przestań – wyrzuciła z siebie. – Nasz Pan nie chce, abym się dodatkowo narażała. Niech zdrajca gnije w lochu. Zasłużył sobie swoimi postępkami. Nie kiwnę palcem, aby go uwolnić.

W głosie dziewczyny brzmiała głucha zawiść.

– Nie mnie oceniać twe plany, ale myślałem, że byliście blisko – zauważył braciszek.

– Blisko? – powtórzyła. – Blisko to ja jestem z Panem. Posłuchaj, bracie Onufry. Przyszedłeś tu, tak jak się umówiliśmy. Uwierzyłeś w to, co zobaczyłeś w snach. I jestem ci za twą wiarę wdzięczna. Powiedz, czy mam pokazać tobie rany po bełtach, abyś mi uwierzył, niczym święty Tomasz Chrystusowi? Czy może mam cię ukarać za to, że próbowałeś mnie udusić pod dachem Świętego Gotarda?

– Ja... – zająknął się Onufry. Spłonął rumieńcem. – Ja tylko...

Nagle wybuchnął.

– Wiesz, co mi przyświecało! – wykrzyknął. – Biblia mówi, że niewiasta...

– Matka Zbawiciela była niewiastą – przerwała mu z irytacją. – Tak jak Maria Magdalena i święta Jadwiga. Nie powątpiewaj we mnie. Nigdy więcej, Onufry. Zawsze pamiętaj o znaku, który ujrzalesz. I wielkiej łasce, której dostałam. Nie wydarzyło się to bez powodu. Raz jeszcze zwątpisz, a obiecuję, spotka cię kara stokroć gorsza od tej, która spotyka grzesznika mającego za nic boskie prawa i postępującego wbrew przykazaniom i własnemu sumieniu.

Zakonnik pokiwał nerwowo głową.

– To gdzie teraz? – spytał, usiłując szybko zmienić temat.

– Do Prus. Tam zaczniemy naszą świętą pracę. Niech wielki mistrz Albrecht skłoni głowę przed ogniem oczyszczenia.

– Ale przecież wielkim mistrzem jest Fryderyk Wettyn!

– Już niedługo – odparła dziewczyna. – Chodź, przed nami daleka droga. Kiedy tu wrócimy, wieść o moim cudzie będzie już wszystkim znana. Zanim wrócę tu, wyniosą mnie na ołtarze. A kiedy już przybędę, wyplenię grzech i obłudę z tej ziemi. Apokalipsa, rozpoczęta w Prusach, ogarnie wszystkie katolickie kraje.

Ruszyli gościńcem. Na drodze panowała złowróźbna cisza. Kamienie pod stopami Onufrego przypominały miejscami klingi zakrzywionych mieczy, a wicher dął nieprzerwanie, wywołując w uszach dziwne odgłosy. Zerwał się silniejszy podmuch. Materiał płaszcza załopotał mocno na plecach kobiety. Wiatr zagwizdał jej w uszach. Weszli w las szumiący delikatnym odgłosem odpowiadającym na westchnienia wiatru.

Pierwsze, co poczuł, gdy się ocknął, to twarde, pokryte sianem klepisko ocierające się o jego policzki. Był w ciemnicy bydgoskiego zamku. Wszędzie poznałby ten zapach. Powietrze wypełniał mdły i ciężki fetor, od którego janczarowi zebralo się na wymioty. Zamrugał. Obraz zaczął wirować. Słyszał krakanie setek wron nad głową. Z trudem wstał. Naciągnął prawą rękę, skrepowaną z tyłu pleców razem z lewą. Poczul, że traci równowagę, i z łoskotem zwałił się na łokieć. Zawył głośno z bólu.

Dopiero wtedy spojrzal ku górze. Obraz był mętny. Zobaczył nogi od zydla i wyczyszczone na wysoki połysk, gustowne czarne buty z wywiniętymi cholewami. Podniósł głowę wyżej. Sylwetkę mężczyzny spowijał mrok. Dostrzegł jedynie nogi, założone jedna na drugą.

Rozległ się dźwięk odsuwane go zydla.

– O proszę! Któż to się obudził? – usłyszał niski, gardłowy męski głos. Właściciel butów wstał i podszedł do leżące go w kącie Bartłomieja, po czym odwrócił więźnia tak, żeby ten mógł zobaczyć coś więcej niż podłogę.

Spora cela tonęła w ciemności. W zakratowanym oknie odbijał się blask pochodni. W jej świetle janczar rozpoznał pomarszczony fizys nieznanego.

– Węgliszek – mruknął niechętnie. – Przyszedłeś napawać się moim nieszczęściem, tak? Przyznaj, ukartowałeś to wszystko, Diabie jeden.

Przestępca ściągnął brwi.

– Jak możesz?! – rzucił oburzonym tonem. – To ja tu przychodzę cię uwolnić, a ty tak niewdzięcznie...

– Gdzie Miriam?

– Co tak obcesowo?

– Pytanie ci zadałem. Racz odpowiedzieć.

– Pokorny sługa szanownego pana – odparł, kłaniając się dwornie Diabeł.

– No to gdzie jest?

Z ust Węgliszka wydobyło się ciche parsknięcie.

– Diabli wiedzą, gdzie jest ta suka, ale nie ręczę za siebie, jak ją znowu spotkam. Ukradła mi sześć baryłek ognia greckiego. Pojęcia nie mam, skąd wiedziała, gdzie go trzymam. No, ale nie o tym przyszedłem prawić. Jak ci się podoba odsiadka? Może już pora wyjść?

– Skończ przedstawienie – burknął Chodyna. – Czego chcesz w zamian? Zakładając, że możesz naprawdę wpłynąć na moje uwolnienie.

– Ja, mój kochanku, mogę wszystko – odparł Węgliszek. – Wszystko, co musisz zrobić, to podpisać

o ten tu, mały dokumencik.

Z tymi słowami podstawiał czerpany papier pokryty drobnymi znakami przypominającymi hieroglify. Drugą rękę mężczyzny krępował przewiązany płótnem temblak.

– A to co?! – usiłował cokolwiek rozczytać Bartłomiej. Wzrok nie przenikał ciemności.

– Nie próbuj czytać, to hebrajski – odparł Węgliszek. – I tak nie zrozumiesz.

W dłoni Diabła pojawiło się długie gęsie pióro.

– Może nie zwróciłeś uwagi, ale jestem związany – rzucił sarkastycznie Chodyna. – Zębami nie podpiszę.

– Wiem, że nie – odparł przestępca. – Zaraz uwolnię ci rękę.

– A inkaust?

W mroku rozbłysły zmrużone oczy Węgliszka. Złote płomienie zaiskrzyły się złowrogo, a Bartłomieja przeszył nieprzyjemny dreszcz.

– Cyrografy podpisuje się krwią.

<sup>1</sup> Płytką wnęką w ścianie, o wykoju arkady lub okna, stosowana przede wszystkim w celach ozdobnych.

<sup>2</sup> Strój dworski, modny w późnym średniowieczu, charakteryzujący się szerokimi, lejkowatymi rękawami i wysokim kołnierzem. U kobiet spinany ozdobnym pasem pod biustem, u mężczyzn mógł mieć długość do kolan lub większą, spinany był pasem nisko na biodrach.

<sup>3</sup> Powóz rozpowszechniony wśród warstw wyższych zwłaszcza w XVI wieku, Jego podstawowym elementem było zawieszona na rzemiennych pasach pudło, w którym zasiadali podróżni.

<sup>4</sup> Z wł. *pavese* – rodzaj tarczy w kształcie czworokąta, wysoka (nawet do wysokości ramion dorosłego mężczyzny).

<sup>5</sup> Suknie wierzchnie z krótkim, sięgającym powyżej łokcia rękawem, z którego zwiesza się pas futra lub materiału. Suknie te często miały charakterystyczne, obrębione futrem, pionowe rozcięcia z przodu.

<sup>6</sup> Damski czepiec płócienny ozdobiony kilkoma warstwami falbanek.

<sup>7</sup> Rodzaj kaftana, na ogół atłasowego noszonego przez mężczyzn przez okres renesansu.

<sup>8</sup> Typowa dla niektórych krajów islamu jednosieczna broń biała średniej długości.

<sup>9</sup> Tur. *yeniçeri* – dosł. *nowe wojsko* – doborowe oddziały piechoty tureckiej stanowiące trzon wojsk imperium osmańskiego od XV wieku.

<sup>10</sup> Dopasowany w korpusie wierzchni lub spodni ubiór męski, szyty z czterech części plus rękawy. U dołu dłuższy i poszerzany klinami. Może być wawowany.

<sup>11</sup> Rodzaj długiego noża, prostego lub zakrzywionego, stosowanego jako broń biała lub ceremonialna.

<sup>12</sup> Hutman – urzędnik miejski przewodzący tzw. wojsku miejskiemu (straży).

<sup>13</sup> Maszyna do obróbki (folowania).

<sup>14</sup> Wierzchni ubiór mnichów, w postaci szerokiego płata materiału, okrywa barki oraz sięga na plecy i na piersi.

<sup>15</sup> Ogród kwiatowo-ziołowy w klasztorze.

<sup>16</sup> Rodzaj szkaplerza noszonego przez mnichów benedyktyńskich; różni się od zwykłego szkaplerza długim kapturem.

<sup>17</sup> Gruby sznur z frędzlami na obu końcach, używany przez duchownych i usługujących w kościołach chrześcijańskich, jako element stroju.

<sup>18</sup> Miejsce, w którym śpią mieszkańcy klasztoru.

<sup>19</sup> Fr. „na pół przedzielony” – kontrastowy kolorystycznie i niesymetrycznie podzielony na części ubiór średniowiecznego giermka, a później także wasala i rycerza.

<sup>20</sup> Jest to tak zwany szachulec, typ ściany szkieletowej drewnianej, której wypełnienie stanowi glina wymieszana i zarobiona z wiórami. Rezultatem jest specyficzny wizerunek białego budynku, poprzecinanego ciemnymi belkami, ułożonymi w kratownicę, z ukośnymi zastrzałami. Niektóre źródła podają, że szachulec to sam biał, element ściany.

<sup>21</sup> Szata wierzchnia noszona przez mężczyzn i kobiety w średniowieczu. Znane były zarówno surcoty szyte bez rękawów, z dużymi otworami po bokach, jak i surcoty z rękawami, które dla ułatwienia wkładania miały rozcięcie boczne na górze zapinane na guziki. Ubiór wkładano przez głowę, był długi przynajmniej do pół łydki.

Copyright © 2012, Jarosław Klonowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne: Wydawnictwo MG

ISBN 978-83-7779-109-7

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)